

Waldemar Witkowski
Nie powtarzam frazesów

Winston Churchill
Polacy, chcecie za dużo

Jarosław Makowski
Tischner wygrał,
przegrał Kościół

Prof. Tadeusz Klementewicz
Jaka Ameryka
po protestach

DUDACZYŃSKI



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299



9 771509 311003



ZA TYMI DRZWIAMI MIESZKA MAJA

Zamiast w szkole czy na podwórku, spędza teraz czas w domu. Ale życie Mai jest inne niż jej rówieśników.

**BO MAJA MIESZKA Z KIMŚ,
KTO JĄ KRZYWDZI.**

**JEŻELI MAJA MIESZKA
OBOK CIEBIE, ZADZWOŃ POD 112.**

Każde zgłoszenie może pomóc.

współpraca:



ZAGREB CHILD AND YOUTH
PROTECTION CENTER

CYTATY

RAFAŁ DUTKIEWICZ,
były prezydent Wrocławia
*Trzeba być otwartym
na świat. PiS tego nie
zrobi. Dlatego PiS trzeba
odwołać. Im wcześniej,
tym lepiej.*
„Polska The Times”

ANDRZEJ SOŚNIERZ,
były prezes NFZ,
poseł Porozumienia
*Straty, jakie poniesie
nasza gospodarka,
obciążają rząd, a przede
wszystkim naszego
najlepszego na świecie
ministra zdrowia i jego
błądą politykę.*
„Angora”

DANIEL PASSENT,
komentator
*Od przemówień Dudy
w Koziej Wólce
po stołeczny tygodnik
– wszędzie straszą
Trzaskowskim i seksem.*
„Polityka”

REINHOLD MESSNER,
himalaista
*Wiedzie nam się tak
dobrze, jak jeszcze nigdy,
a ludzie mają dokładnie
odwrotne wrażenie.*
„Forum”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański



Mocne wejście Witkowskiego

Jeśli był jakiś powód, by oglądać kuriozalnie beczelną ustawkę, którą przygotowała telewizja rządowa, był to Waldemar Witkowski. Dla tych telewizorów, którzy od paru lat są skazani na propagandę PiS, jak i dla tych, którzy nigdy nie widzieli go ani w TVN, ani w Polsacie, jest on prawdziwie pozytywnym odkryciem. Wystarczyło, że był sobą. No i że ma własne, a nie marketingowe poglądy. Dla czytelników naszego tygodnika zarówno Witkowski, jak i to, co sobą reprezentuje jako szef Unii Pracy, nie było niespodzianką. Bo jako jedyne medium pamiętaliśmy o tej części lewicy. Dlaczego Witkowski? Bo w polityce na długi dystans najważniejsza jest wiarygodność, a ta bierze się ze świata wartości i konsekwencji w ich przestrzeganiu. Bywa, że ludzie idei długo dostają po głowie od przebiegaczy zmieniających stroje i barwy polityczne, byle być blisko półki z konfiturami.

Wielu polityków, którzy wdrapali się do samorządów i parlamentu pod szyldem lewicowym, traktuje go jako rekwiwit. Przydatny w karierze. I bez skrupułów wymieniany na lepiej rokujący. Do eurowyborów Unia Pracy i Razem poszły pod szyldem Lewica Razem. Witkowski z Zandbergiem. A Czarasty ze Schetyną i Kosiniakiem-Kamyszem. Nie przypominajbym o tym, gdyby nie haniebne wyrugowanie Unii Pracy i Witkowskiego przez trzech tenorów.

Był to ruch na bardzo krótkich nóżkach. Zmarnowano czas i część potencjału lewicy. A Witkowski przeżył i to on jest tenorem.

A tak na marginesie chciałbym zapytać tych publicystów, którzy pieją hymny na cześć Witkowskiego (lista w tekście Roberta Walenciaka), gdzie to zimowaliście przez ostatnie lata? Jakie słoneczka tak was oślepiły, że nie widzieliście lidera Unii Pracy?

Kończy się pięcioletnia kadencja Dudy. Żaden polski prezydent nie miał tak marnego bilansu. I tak wielkiego tupetu, by namawiać ludzi na przedłużenie mu mandatu. Duda jeździ i wciska słuchaczom kit, że to on jest supermenem władzy. Politykiem, który wszystko może. Czegóż to on ośobiście Polakom nie załatwił?

Jeśli te wygibasy ogląda Kaczyński, to musi setnie się bawić. Co robi z Dudą, gdyby ten wygrał? Z rozdętego balonu zostanie znowu tylko sflaczały balonik. Celem Kaczyńskiego jest utrzymanie władzy za wszelką cenę. Jego władzy. To on jest prezydentem, premierem, marszałkiem Sejmu. A ci, którzy formalnie są na tych stanowiskach, to atrapy. Do odwołania w każdej chwili. Według kalkulacji czy kaprysu prezesa. I to jest istota polskiego problemu. Głosując na Dudę, wybierasz Kaczyńskiego. I będzie, jak było przez ostatnie pięć lat. A pewnie i gorzej.

DZIĘKUJEMY DARCYŃCOM,

którzy ufundowali bibliotekom
prenumeratę PRZEGLĄDU.
Nasz tygodnik trafił do 23 bibliotek
i czytelni, ale lista nie jest zamknięta.
Zgłosiło się ponad 100 placówek.
Pomóżcie nam w dotarciu do
nowych czytelników. A może
chcecie ufundować PRZEGLĄD
swojej ulubionej bibliotece?

Chcielibyśmy Wam
podziękować, ale musimy
mieć zgodę na podanie nazwisk.
Napiszcie do nas!
darowizny@tygodnikprzeglad.pl
Pełna lista bibliotek na
www.tygodnikprzeglad.pl

Prosimy o wpłaty z dopiskiem „Biblioteka”.
Fundacja Oratio Recta
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



BAKOWSKI



W NUMERZE

PUBLICYSTYKA I OPINIE

- 8 Robert Walenciak**
Wybory w kraju afer rządowych
- 28 Tadeusz Klementewicz**
Komu wystawić rachunek za protesty po śmierci George'a Floyda
- 30 Jarosław Makowski**
Tischner wygrał, przegrał Kościół

KRAJ

- 10 Jarosław Kaczyński to maniak, który niszczy Polskę**
– rozmowa z Waldemarem Kuczyńskim
- 14 Władza powinna być skromniejsza**
– rozmowa z Waldemarem Witkowskim
- 16 Czeski film na granicy**
Polacy zawracani do domu
- 20 Górnicy podwójnymi ofiarami**
– rozmowa z Patrykiem Białasem
- 24 Ocieramy się o siebie w szatniach**
Ognisko COVID-19 w magazynach DHL
- 39 Idź do „Klasy”**
Program dla zdolnej młodzieży

ZAGRANICA

- 26 Dyplom z internetu**
Szkolnictwo wyższe przenosi się do sieci

ZDROWIE

- 36 Nie pchajmy się tam, gdzie są tłumy**
– rozmowa z prof. Włodzimierzem Gutem

HISTORIA

- 40 Burzliwe dzieje pomnika Kościuszki**
Dar dla narodu amerykańskiego
- 42 Churchill: „Chcecie za dużo”**
Gdyby nie Stalin, granica byłaby inna

NAUKA

- 46 Z kim na orbitę?**
– rozmowa
z dr. hab. Markiem Czajkowskim

KULTURA

- 50 Syndrom grupowego myślenia**
– rozmowa z Florianem Hencklem von Donnersmarckiem
- 54 Tato**
Polskie kino portretuje ojców
- 57 Kulturalia**
- 66 Secret Lives**

EKOLOGIA

- 58 Śmieci nie znają granic**
Oceany toną w plastiku

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Mocne wejście Witkowskiego
- 13 Jan Widacki**
Kto rozliczy PiS
- 19 Roman Kurkiewicz**
Drugą turę racz nam dać, Polsko
- 23 Wojciech Kuczek**
Jedenastka roku
- 49 Tomasz Jastrun**
Na progu
- 53 Agnieszka Wolny-Hamkało**
Życie w kuli



CZESKI FILM NA GRANICY

Polacy zawracani do domu

30
OPINIE

JAROSŁAW MAKOWSKI

Tischner wygrał,
przegrał Kościół



TATO

Polskie kino portretuje ojców

54
KULTURA

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER, MARCIN BRUNIECKI/REPORTER, ADOBE STOCK



HISTORIA

Ci od Bieruta i ci od Mikołajczyka

Pracownicy biedują, Biedronka kwitnie



✉ Naród ma dość

Kampania wyborcza dobiega końca. Kandydaci na urząd prezydenta poruszają wiele kwestii, zarówno istotnych, jak i błahych. W zasadzie z niewielkimi wyjątkami mówią o tych samych sprawach, prześcigając się jedynie zapewnieniami, który z nich zrobi lepiej, który czego da więcej, i jakie ważne dla narodu reformy przeprowadzi. Naród chyba ma tego już dość. W dodatku dla każdego z kandydatów pojęcie narodu ma nieco inną treść. Brak mi wśród tych planów przyszłych prezydentów choćby napomknienia o reformie struktur władzy. Jeśli nawet nieśmiało wspominają o odpartyjnienu, nie precyzują tego pojęcia. Najwyższy czas doprowadzić do rzeczywistego trójpodziału władzy! To nie jest kwestia przyjęcia odpowiedniej ustawy i głoszenia haseł, to kwestia personalnego rozdziału między władzą ustawodawczą a wykonawczą. To wprowadzenie zasady, że parlamentarzysta nie będzie równocześnie ministrem, a w rządzie nie będzie zastrżonych aktywistów partyjnych.

My mamy prezydenta, oni większość parlamentarną (niezależnie od tego, kto to my, a kto oni), a rząd jest techniczny, w jego skład wchodzi niezaangażowani partyjnie eksperci. I nie przekonuje mnie tłumaczenie, że w innych państwach taki system nie obowiązuje. Możemy popełniać własne błędy, więc możemy wprowadzać własne zasady. Kandydat z takim programem uzyskałby pełne poparcie nie na zasadzie wyboru mniejszego zła. Ja oczywiście popieram kandydata Lewicę, ale z nadzieją że zastanowi się nad rzeczywistym trójpodziałem władzy, choćby dopiero w przyszłych wyborach.

Maria Berny

✉ Który polityk powinien stanąć przed Trybunałem Stanu i za co

Przed Trybunałem Stanu powinien stanąć tylko Jarosław Kaczyński, ale to będzie niemożliwe i przyniesie niewiele korzyści. Większość polityków Zjednoczonej Prawicy powinna stanąć przed sądami powszechnymi za przestępstwa i łamanie prawa, ale postawić ich tam może tylko niezależna od władzy, a zależna od prawa prokuratura. Do tego konieczne jest jak najszybsze powołanie przez parlament, kwalifikowaną większością głosów, prokuratora generalnego na pięcioletnią kadencję.

Andrzej B. Izdebski

Politycy PO, którzy nie przyszli na głosowanie w sprawie Trybunału Stanu dla Zbigniewa Ziobry. Tak na początek.

Maria Łakomy



ZDJĘCIE TYGODNIA

Marsz Rycerzy Chrystusa Króla Traktem Królewskim w Warszawie pod hasłem „Królowa idzie do Sejmu”, 17 czerwca.





www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Dlaczego Polacy tak masowo porzucili środki ochrony przed COVID-19?

DR N. MED. GRAŻYNA CHOLEWIŃSKA-SZYMAŃSKA,
Wojewódzki Szpital Zakaźny w Warszawie

Na pewno jedną z przyczyn jest dezorientacja sprzecznymi przekazami medialnymi. Minister raz mówi, że druga fala epidemii nas zaleje, innym razem, że jesteśmy już po jej szczycie itd. Problemem są także eksperci, którzy chcą mieć swoje pięć minut przed kamerami, mimo że akurat na koronawirusie nie znają się wystarczająco dobrze. Druga przyczyna jest czysto psychologiczna: ludzie przez dwa miesiące byli zmuszeni siedzieć w zamknięciu i nagle ich wypuszczono, dlatego zachowują się trochę jak psy spuszczone z łańcucha – tym bardziej że z powodów historycznych Polacy bardzo nie lubią, kiedy ktoś decyduje o ich losie. Reakcje społeczeństwa są zupełnie nieadekwatne do zagrożenia, które nadal jest poważne. Ludzie, którzy byli zdrowi w marcu i kwietniu, teraz zaczynają chorować, co oznacza, że zarazili się np. w galeriach handlowych. Stąd mój apel o noszenie maseczek i rękawiczek, które w przypadku odwiedzin w sklepie są nawet ważniejsze.

PROF. JANUSZ CZAPIŃSKI,
psycholog społeczny, Akademia Ekonomiczno-Humanistyczna w Warszawie

Politycy na to przyzwolili, a ogromna liczba Polaków ma do koronawirusa stosunek taki jak prezydent Łukaszenka: czego nie widać, tego nie ma. Poza tym społeczeństwo uznało, że skoro zmarło ok. 1,3 tys. osób, a w Polsce mieszka ich 38 mln, ryzyko utraty zdrowia albo życia jest minimalne. Ponadto docierają do nas informacje, że są wyraźne ogniska epidemii. To uruchamia myślenie: nie mieszkam w DPS, jestem zdrowy, nie jestem górnikiem, pracuję w domu lub w firmie, gdzie są sami zdrowi ludzie – czego się obawiać? To zresztą dosyć racjonalne myślenie, bo gdyby nie ono, gospodarka by stanęła.

DR PAULINA GÓRSKA,
psycholożka, Uniwersytet Warszawski

Dotarło do nich, że koronawirus nie jest tak dużym zagrożeniem, jak myśleliśmy na początku, kiedy w telewizji pokazywano obrazki z Włoch i można było się spodziewać najgorszego. Zobaczyli też, że nie chorują ich bliscy, a to o zdrowie rodziny i przyjaciół baliśmy się naj-

bardziej. Minął okres lęku, w psychologii politycznej nazywany reakcją autorytarną. W momencie zagrożenia szukamy silnego lidera, co było jedną z przyczyn wysokiego poparcia dla urzędującego prezydenta. Elementem reakcji autorytarnej jest także postępowanie zgodnie z nakazami i normami grupy, do której się należy, oraz wrogość wobec tych, którzy zasad nie przestrzegają. Reakcja autorytarna jednak z czasem zanika. W miarę postępowania tego procesu osłabiają się też tendencje do postępowania zgodnie z normami. Obserwujemy to obecnie w odniesieniu do środków bezpieczeństwa zalecanych przez autorytety.

Czytelniczki PRZEGLĄDU



NINA BARTKIEWICZ,

Przyszło lato, więc ludzie weszli w koleiny letnich zachowań. COVID przestał być sensacją i wyszedł z mody.

BOŻENA MIERNIK

Nie wierzą rządzącym. Kilkakrotnie zmieniali oni zdanie na temat konieczności stosowania maseczek, robią mało testów, zatają liczbę chorych i zmarłych. Ludzie mają tego dosyć.

Not. Michał Sobczyk

Wybory w kraju afer rządowych

TVP nie miała zamiaru organizować uczciwej debaty

Robert Walenciak

Czy nie jest tak, że kampania wyborcza nawet jeszcze dobrze się nie rozkręciła, a już się zamyka? Że jest kontrolowana? Mogliśmy to zaobserwować na przykładzie telewizyjnej debaty 11 kandydatów. Tych, którzy zostali zarejestrowani przez Państwo-wą Komisję Wyborczą.

Debata odbyła się w siedzibie TVP i to telewizja publiczna ustaliła jej regulamin. Sprowadzał się on do jednego – debatę prowadzi dziennikarz TVP, także TVP ustala pytania, zadaje je, na każdą odpowiedź daje 30 sekund (!), a dziennikarz ma prawo przerwać odpowiadającemu albo odebrać mu głos.

TVP miała przygotować taką debatę, podczas której główny rywal Andrzeja Dudy, Rafał Trzaskowski, złamałby nogę.

Upokarzające? To dopiero początek. Bo pytania dotyczyły posyłania dzieci do komunii, małżeństw osób homoseksualnych, adopcji dzieci itp. W czasach epidemii koronawirusa i związanych z tym zagrożeń dla gospodarki, stabilności społecznej oraz problemów Europy, w czasach narastającego konfliktu USA-Chiny, globalnego ocieplenia, przy rosnącej fali populizmu kandydatów na urząd prezydenta RP pytano o religię w szkołach i podobne sprawy.

Dlaczego? Odpowiedzi są dwie, obie prawdziwe. Po pierwsze, TVP nie miała zamiaru organizować uczciwej debaty. Miała przygotować taką, podczas której główny rywal Andrzeja Dudy, Rafał Trzaskowski, złamałby nogę. Po drugie, takie są horyzonty myślenia telewizyjnych decydentów. Ich obchodzi tylko wyborczy wynik Dudy. Reszta jest poza świadomością.

Wiemy, jakie zamiary miała telewizja publiczna, i wiemy, że jej nie wyszło. Bo nawet trzymanie kandydatów na tak krótkiej smyczy do końca się nie powiodło. Mogliśmy

poznać zarys ich poglądów, ich osobowości. Dla widzów telewizji publicznej to był szok, bo przez cztery lata wkładano im do głowy, że jest jedna prawda, pisowska, a reszta to źli ludzie z PO. Tymczasem widzowie mogli zobaczyć aż 11 kandydatów, a każdy z nich mówił inaczej. Ludzie zobaczyli, że świat nie jest czarno-biały. Że jest wielokolorowy. I że tematy do rozmów odbiegają daleko od tego, co zaordynuje przekaz dnia z Nowogrodzkiej.

Oglądało to ponad 7 mln Polaków. Jeżeli więc tylu ludzi zgromadził program, który z debatą, wymianą myśli i poglądów, niewiele miał wspólnego, to ilu widzów zgromadziłby program, w którym widzowie usłyszeli by poważną rozmowę

o Polsce? Ta widownia pokazuje zresztą głąd programów publicystycznych. Ale nie takich, jakie robi TVP.

W minionych latach telewizja publiczna potrafiła tygodniami ciągnąć programy z kandydatami na prezydenta. Prowadzić z nimi wywiady, prześwieślać ich życiorysy. Teraz tego nie ma i nie będzie. Bo po tym jednym programie w TVP sztaby Dudy i Trzaskowskiego umówiły się, że więcej debat przed pierwszą turą już nie będzie.

To jest oczywiście skandaliczna umowa, pokazuje, że i PiS, i PO chciałyby polską politykę sprowadzić do jednego pojedynku. Zamknąć życie publiczne przed innymi. *De facto* więc zamknąć je w ogóle, bo jeżeli mamy pojedynek dobra ze złem, to jakkolwiek debata nie ma racji bytu. Bo gdy jest bój jeden na jeden, to nie potrzeba się dogadywać, z tym trzecim, czwartym, piątym... Tylko trzeba się bić.

Kiedy mamy dwie walczące ze sobą partie, rola prezydenta jest też bardzo ograniczona. Wspominałem

o tym tydzień temu – twórcy konstytucji dali polskiemu prezydentowi jasno zarysowane uprawnienia. Są one na tyle niewielkie, że prezydent nie ma możliwości wchodzenia w kompetencje premiera albo nadzorowania jego działań, ale wystarczające, by spełniał funkcję arbitra między różnymi siłami politycznymi.

W systemie bipolarnym o roli arbitra nie ma mowy – prezydent może być albo z większością sejmową, albo przeciw niej. Dlatego czasy Bronisława Komorowskiego, a zwłaszcza Andrzeja Dudy, były okresem upadku roli prezydenta. Czy więc ewentualny sukces Rafała Trzaskowskiego, bo to jemu sondaże dają drugą rundę, w której zmierzyłby się z Andrzejem Dudą, nie zagraża nam, że będziemy mieli prezydenta, który wszystko będzie blokował?

Taki jest zresztą przekaz PiS, to mówi premier Morawiecki. Ale to jest przekaz fałszywy.

Rzecz bowiem w tym, że Jarosław Kaczyński w ciągu czterech i pół roku rządów wyszedł poza schemat PO-PiS. Mówi o tym Waldemar Kuczyński, pokazując, jak Rzeczpospolita jest paraliżowana nowotworem autorytaryzmu. A w takiej sytuacji rola prezydenta będzie szczególna. Bo nie o to chodzi, żeby był on długopisem, podpisującym czy wetującym ustawy, ale żeby był strażnikiem konstytucji i strażnikiem demokracji. Żeby mądrymi działaniami odbudowywał Polskę. Żeby hamował wszelkie autorytarne i bezprawne działania PiS, żeby patrzył tej ekipie na ręce, bo okazują się one lepkie, żeby wzmocnił wewnątrz obozu PiS tendencje demokratyczne, no i żeby odbudował obecność Polski w Europie. Ewentualnie do tych zadań Andrzej Duda się nie nadaje. Przez pięć lat był prostym wykonawcą woli Jarosława Kaczyńskiego, razem z nim demonstrował III RP. I trudno przypuszczać, by nagle się zmienił.

O to więc toczy się gra.

W jej cieniu toczą się mniejsze gry. Na lewicy mamy dwóch kandydatów, Roberta Biedronia i Waldemara Witkowskiego. Obaj walczą o coś innego, mają inny pułap wyborczych oczekiwań. Biedroń dobrym wynikiem chciałby potwierdzić pozycję Lewicy na polskiej scenie, Witkowski – obecność Unii Pracy i skupionych wokół niej organizacji. Jak pokazuje kampania, kłopoty może mieć Biedroń, któremu wyborcy pamiętają obietnicę, że mandatu eurodeputowanego nie przyjmie, i ją złamał.

Co z tego będzie? Przekonamy się po pierwszej turze. Nawet uwzględniając, że spór Dudy i Trzaskowskiego zasysać będzie wyborców, wyniki Biedronia i Witkowskiego będą punktem wyjścia do rozmów o teraźniejszości i przyszłości polskiej lewicy.

O swoje walczy też Władysław Kosiniak-Kamysz – on również musi wiedzieć, czy PSL zatrzymało ofensywę PiS na wsi, i jakie perspektywy stoją przed formacją na prawo od PO, konserwatywną, a jednocześnie demokratyczną, i antypisowską.

Do wyborców przebijają się informacje, że Polska nie wygląda tak jak w „Wiadomościach”.

Interesujący będzie też wynik Szymona Hołowni, kreującego się na kandydata pozapartyjnego, za to otoczonego grupą fachowców, którym bliskie są idee silnego, sprawnego państwa. Zresztą już zapowiada, że zebrany kapitał będzie chciał zagospodarować, budować polityczne ugrupowanie. Niby to nic nowego, kapitał z wyborów prezydenckich zagospodarowali swego czasu i Andrzej Olechowski, i Paweł Kukiz. Ale innym, np. Henryce Bochniarz, to się nie udało. Wyborczy wynik Hołowni pokaże więc, czy będzie on dysponował odpowiednim kapitałem na kolejny etap, czy też nie.

Krzysztof Bosak, lider konfederatów, też ma swoją grę. Po pierwsze, walczy o osobistą pozycję w Konfederacji, która wygląda tak jak się nazywa, tworzą ją luźno powiązane ugrupowania, narodowcy, korwinowcy i inni. Dobra kampania, dobry wynik zbudują Bosaka. Po drugie, walczy o pozycję Konfederacji na polskiej prawicy. Sprawa jest jasna – Jarosław Kaczyński jest gotów

niemal na wszystko, byle tylko zlikwidować siłę polityczną, która mija PiS od prawej flanki. Z kolei konfederaci mogą się rozwijać jedynie poprzez przejmowanie wyborców PiS. Jak więc ten dylemat miłości i nienawiści rozwiązać? Jak zachowają się wyborcy Konfederacji w drugiej turze? Sondaże pokazują, że zaczynają się skłaniać ku Trzaskowskiemu. A według niektórych opinii to ich wybór zadecyduje, kto ostatecznie zwycięży.

Te wielkie i mniejsze gry mają jedną zaletę. Polacy zobaczyli, że polityka, ta prawdziwa, ma sens. Że jest kogo wybierać.

Mam też nadzieję, że interesując się bardziej niż zwykle sprawami politycznymi, zorientowali się, jak bardzo są manipulowani i oszukiwani. Telewizja publiczna dzień w dzień prezentuje Andrzeja Dudę jako wielkiego prezydenta i Rafała Trzaskowskiego jako człowieka złego do szpiku kości. Innych kandydatów nie ma.



dać rady z pandemią koronawirusa, z kolejnymi aferami. Ostatnia z nich dotyczy respiratorów. Oto bowiem Ministerstwo Zdrowia kupiło 1200 respiratorów za niemal 200 mln zł. Od nieznanej firmy spod Lublina. Na jej konto przelano od razu 130 mln zł, a do tej pory do Polski trafiło 50 urzędzeń.

Widać więc gołym okiem, że ten propagandowy szum, te tematy zastępcze są właśnie po to, by odciągać uwagę, by ludziom mieszać w głowach. Bo od frontu jest krzyk, a od zaplecza wynoszone są miliony.

Wojna o prezydenturę jest więc też wojną o prawdę w życiu publicznym. O to, czy królować tu będzie propaganda, szczucie na innych, permanentny stan wyjątkowy, czy też wrócimy do norm europejskich. Stawka jest więc większa, niż to wcześniej bywało. ■

„Kuźnica”: Idźmy na wybory

Prezydium Rady Stowarzyszenia „Kuźnica” wzywa do udziału w wyborach prezydenta RP. W obliczu zagrożenia dla podstawowych wartości demokratycznych w Polsce oraz stałego osłabiania pozycji naszego kraju wewnątrz Unii Europejskiej, wobec notorycznego łamania konstytucji oraz cynicznego budowania poparcia politycznego przez obóz rządzący na polaryzowaniu społeczeństwa i na mowie nienawiści – w ostatnim czasie zwłaszcza wobec osób LGBT – najważniejsze jest, aby nadchodzące wybory wygrał kandydat szeroko pojętego obozu opozycji demokratycznej.

Wzywamy do głosowania w pierwszej turze wyborów prezydenckich na kandydata, który reprezentuje wartości lewicowe. Niezależnie od tego, kto będzie kontrkandydatem urzędującego prezydenta w drugiej turze wyborów, wzywamy do oddania wówczas głosu na kandydata opozycji demokratycznej.

Prezydium Rady Stowarzyszenia „Kuźnica”

Jarosław Kaczyński to maniak władzy, który niszczy Polskę

Andrzej Duda jest bezwolnym manekinem w Pałacu

Rozmawia Robert Walenciak

Ogląda pan „Wiadomości” TVP?

Wie pan, jak w nich wygląda Polska?

– Oglądam wyrywkowo. To wystarczy, by wiedzieć, jak wygląda ta polityka informacyjna, jeśli można ją tak nazwać.

Czy Polska z propagandy dużo się różni od Polski prawdziwej?

– W sprawach, które nie mają politycznego potencjału, nie różni się. W pozostałych różni się bardzo. Tam, gdzie można władzę chwalić, mamy natrętą, często groteskową propagandę sukcesu, wszystko idzie jak po maśle, rząd jest bezbłędny. Tam, gdzie coś idzie nie tak, jest przemilczanie lub fałszowanie. Trzonem przekazu politycznego jest wróg, głównie wewnętrzny: Platforma Obywatelska i stosownie do potrzeby „pederaści”, „kasta sądownicza”, ale i lekarze, nauczyciele oraz inni. Oczywiście jest też wróg zewnętrzny: Bruksela, Niemcy, muzułmanie, czasami też Żydzi. Muszę powiedzieć, że tego typu propagandy, tak agresywnej, tak jednostronnej, opartej na zasadzie konstrukcji wroga, nie pamiętam od czasów, gdy jako chłopiec słuchałem w radiu audycji „Fala 49” Stefana Martyki i Wandy Odolskiej. To moim zdaniem jest propaganda oparta też wprost na modelu Józefa Goebbelsa.

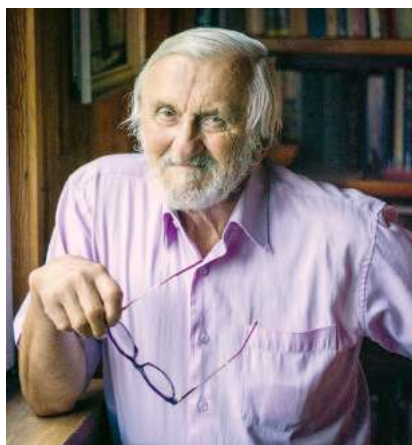
Na długiej smyczy

Ale jakoś ludzie tę propagandę i te rządy akceptują. Wyniki sondaży pokazują, że wielu ludziom to się podoba.

– Wielu ma dostęp tylko do telewizji naziemnej, jak my na wsi. Poza tym ogromna część społeczeństwa ma realne powody, by być z rządów PiS zadowolona. Dla ludzi zawsze ważne jest, by było lepiej, a lepiej dla większości, to więcej pracy i więcej w portfelach. To rozumiałe. Z punk-

WALDEMAR KUCZYŃSKI

– publicysta, minister w rządzie Tadeusza Mazowieckiego



tu widzenia interesu materialnego pięć minionych lat jest świetne, istna labą. Po raz pierwszy od 1989 r. w Polsce praktycznie znikło bezrobocie. Ponadto ludziom dosypano do portfeli bardzo dużo pieniędzy.

I z ich punktu widzenia od pięciu lat nic złego w Polsce się nie dzieje?

– Jak widać. Gdyby czuli, że coś złego dla nich się dzieje, to notowania PiS by spadały, a tak nie jest. Bo na dodatek do pracy i pieniędzy mamy znowu silnego człowieka na czele państwa, naczelnika, który nie pozwala, by nam obcy dmuchali w kaszę itd.

To się podoba?

– Jestem po lekturze świetnej książki „Wojna Niemców”. Niemcy w 1933 r. weszły na drogę do katastrofy. Nie wyobraża pan sobie, jaki piękny był wtedy faszyzm dla Niemców. Nie porównuję, ilustruję – za labą może podążać dramat. Sytuację w Polsce dobrze oddaje parafraza znanego powiedzenia „jak za króla Sasa, państwo słabnie, lud popuszcza pasa”. Kaczyńskiemu udało się

zabetonować wokół siebie wielką część społeczeństwa. Rozbicie tego betonu może się okazać bardzo trudne. Bo mamy też do czynienia ze zblatowaniem Kościoła katolickiego, Polski proboszczów, z tą władzą. Rok 2007 może teraz się nie powtórzyć.

A czy jest ważne, żeby się powtórzyło?

– Bardzo ważne. Już piąty rok w obrębie państwa konstytucyjnego rośnie nowotwór, który stopniowo pozbawia samodzielności instytucje demokratyczne, zamienia je w transmisję PiS do mas. Piąty rok zanika Rzeczpospolita, czyli republika. Bo republika to państwo, którego najwyższą władzą, prawem jest konstytucja. Konstytucja, czyli wola narodu wyjątkowo szeroka i trwała co do kształtu ustroju. Jak długo nie pojawia się wystarczająco szeroka wola, by konstytucję zmienić, jest ona święta. Dzięki temu ludzie mogą się czuć bezpiecznie w stosunkach z władzą, bo bez tej kontroli może się ona zmienić w najgorszego zbira. I tym właśnie zagraża ów rozrastający się nowotwór, nawet jeżeli pozwala on na dużą swobodę, taką, że wielu nie widzi, by coś złego działo się z ich wolnością.

Bo oni nadal czują się swobodnie?

– Właśnie! To jest swoboda, ale to nie jest już wolność. To mniej więcej taka różnica jak między psem, który biega bez obroży, i takim, któremu nakładają obrożę i biorą go na smycz. Ta smycz może być tak długa, że pies nie odczuje zmiany. Ale różnica jest taka, że w każdej chwili smycz może zostać ściągnięta. I taką mamy sytuację w Polsce.

Ten nowotwór niszczy Polskę

Czyli jaką? Jak wygląda ten nowotwór?

– Co powstaje na miejsce republiki, czyli państwa, w którym *de facto* rządzi konstytucja i na mocy tej konstytucji każdorazowa większość? Powstaje państwo, którego podstawą

jest przywódca. Jednostka, caudillo, führer, I sekretarz KC. To jest główny zwornik państwa – przywódca, który jest osobą postawioną ponad prawem. I on *de facto* prawo tworzy, wykorzystując taki lub inny mechanizm tę smycz ludziom może popuścić albo ściągnąć. Taki system stopniowo powstaje w Polsce. To nie jest jeszcze zbudowane do końca, bo nadal są miejsca, na które naczelnik nie ma wpływu, ale ma wpływ na coraz więcej instytucji państwa i ośrodków budowania opinii społecznej. W ten właśnie sposób znika republika, a powstaje państwo autorytarne, którego podstawą jest jednostka i drużyna wokół tej jednostki.

Ta drużyna też jest ponad prawem?

– Tak. Oni też, jak długo naczelnik to uznaje. On decyduje! Żaden prokurator w Polsce nie odważy się wezwać na przesłuchanie Jarosława Kaczyńskiego bez jego zgody. A jak się odważy, to szybko wyleci. To samo dotyczy każdej osoby z tej nowej nomenklatury, która coś przeskrobała. Jeżeli wódz uzna, że jest nadal użyteczna, żaden prokurator śledztwa przeciwko niej nie wdroży. Taka jest w tej chwili sytuacja. A jak powiadam – to jest w toku budowy. Jeszcze brnią się mury Grenady.

A jaką pozycję w tej drużynie ma Andrzej Duda?

– Jest niezbędnym do kontynuowania budowy autorytaryzmu bezwolnym wobec Kaczyńskiego manekinem w Pałacu. Można powiedzieć, że to jest „nicieś o dużej sile niszycielskiej”. Jeżeli przegra wybory na rzecz kandydata opozycji, niszczenie Rzeczypospolitej zostanie zatrzymane, naczelnik zostanie wzięty w kąt bezpieczeństwa.

Mówił pan, że bronią się jeszcze mury Grenady. Ale spółki skarbu państwa się nie obroniły.

– Stały się rezerwuarem rządzącej partii. To nie są spółki skarbu państwa, to są spółki skarbu PiS. To właśnie jeden z elementów państwa autorytarne – przekształcenie własności państwowej, która powinna



być publiczna, we własność w istocie partyjną. Tę patologię widać w wysysaniu pieniędzy z tych spółek na cele utrzymania władzy, co pogarsza ich kondycję. To jest dokładnie to samo, co się stało z Trybunałem Konstytucyjnym, z mediami publicznymi, z Krajową Radą Sądownictwa, z Sądem Najwyższym, z całą administracją państwa, policją, służbami specjalnymi... To wszystko jest w tej chwili imperium partyjnym, wyjętym z gestii społeczeństwa.

Hamulce moralne im puścić

A może coś za coś? Zauważmy, że oni się chwala, że ich państwo odzyskało 200 mld zł od mafii vatowskich.

– To jest kłamstwo. Prymitywne, trywialne. Od czterech i pół roku wszystkie służby śledcze gorliwie szukają złodziei tych 200 mld zł z niezapłaconego podatku VAT i nie znalazły nikogo! Wpadły płotki, na 10 mln, 15 mln itd. A gdzie złodzieje miliardów? Nie było wielkich mafii vatowskich, bo gdyby były, coś by z tego wykryto w mafii X, Y czy Z. Luka w VAT wiąże się prawdopodobnie z działalnością szarej strefy. Z setkami milionów codziennych transakcji między Polakami, gdzie pieniądze przechodzą z ręki do ręki bez paragonu. Opowieści o 200 mld zł to propagan-

Andrzej Duda liczy się na tyle, na ile jest użyteczny dla Jarosława Kaczyńskiego.

dowa bzdura. Jeśli już kogoś złapali, to z PiS lub z okolic.

Kiedy złapali?

– Mało jest różnego rodzaju afer, które się ujawniły w ciągu tego czasu? Przecież niemal co tydzień wychodziła jakaś historia, która miała posmak korupcyjny.

Ostatnie były związane z koronawirusem. Maseczkowa, respiratorowa...

Dlaczego tak się dzieje?

Mechanizm państwa nowotworu temu sprzyja?

– To może się wiązać ze zjawiskiem nowej nomenklatury. Zwycięstwo PiS w 2015 r. pociągnęło za sobą największe chyba czystki kadr. Kto wie, czy nie więk-

sze niż w roku 1989?! Być może jest to porównywalne z czystkami z początku lat 50. Wtedy to był głównie dobór klasowy, szansę mieli ludzie z nizin społecznych, zwykle niewykształceni. Tym razem był to dobór, można powiedzieć, z odrzuconych. Z tych, którzy z różnych względów, najczęściej osobowościowych, nie zaszli tak wysoko, jak by chcieli, często uważając się za bardzo skrzywdzonych. I nagle otworzyły się przed nimi drogi awansu! Nieprawdopodobnego, z fantastyczną poprawą życia materialnego, z różnego rodzaju okazjami, z poczuciem zwycięstwa. Niewykluczone, że ten klimat osłabił czy wręcz zlikwidował hamulce moralne w tej nowej nomenklaturze.

A Szumowski? Niby fajny, a co się pogrzebie, to wychodzą dziwne historie z pogranicza biznesu i władzy. Czy w normalnym państwie taki człowiek mógłby funkcjonować jako minister?

– Oczywiście, że mógłby. Takie patologie zdarzają się wszędzie. Kiedy jednak zostają ujawnione, a rzecz dzieje się w państwie demokratycznym, to presja opinii publicznej, mediów i niezależne sądownictwo, niezależna prokuratura, skutecznie uniemożliwiają trwanie tych patologii. Natomiast w dzisiejszej Polsce może to trwać tak długo, jak długo Jarosław Kaczyński będzie uważał, ▶

► że pan Szumowski jest użyteczny na tym stanowisku. I na tym polega różnica. W systemie demokratycznym są i przestępstwa, i zbrodnie. Ale dzięki wielu ośrodkom wpływu, niezależnym od siebie i wzajemnie się kontrolującym, trwanie takich patologii władzy jest trudniejsze, bo nie zależy od woli jednego człowieka w państwie.

ZMP-bis, czyli lekka kawaleria

Ale przecież kadry PiS nie są w całości zdemoralizowane. Tam muszą być ludzie myślący. I oni na to się godzą?

– Oczywiście, że są tam też ludzie porządni. Ale co ma zrobić człowiek, który wie, że jak się wychyli, to wyleci? Dopiero co dostał świetną posadę, poziom materialny wzrósł mu kilka razy i teraz coś mu się nie podoba. Zastanawia się, co robić. I sam sobie odpowiada – powiem, nic nie osiągnę, a wylecę. Wielu na pewno ma świadomość, że uczestniczy w czymś złym, więc dorabia do tego usprawiedliwienie, jakąś ideologię. Widzę też zjawisko pisowskich ZMP-owców. To jest odprysk młodego pokolenia, którym obecny zaciąg do nomenklatury dał szansę. Oni przypominają ZMP-owców z wczesnych lat 50., którzy tworzyli tzw. brygady lekkiej kawalerii, tak to się nazywało. I te brygady, bardzo zmotywowane ideologicznie, szły na wieś zaganiać chłopów do kołchozów, robić im rewizję, zabierać ostatni worek ziarna.

Młodzi pisowcy też są tacy?

– Do złudzenia przypominają tamtych ZMP-owców. Trwają, ale strach chyba narasta. Bo, po pierwsze, „złe siły” odbiły już Senat. A po drugie – zanoszą się, że Duda może nie wygrać i wszystko diabli wezmą. Panika po tamtej stronie jest widoczna i przekracza, co widać w pisowskich mediach, wszelkie granice. Bo jak Duda przegra, to budowla państwa PiS zacznie się sypać.

A pan będzie wiwatował.

– Po naszej stronie jest ogromna nadzieja. Ja też ją żywię, ale obawiam się jednocześnie, że ona się nie spełni. Ale po tamtej stronie jest gorzej. My przeżyjemy ogromny zawód, im świat się zawali. To może sprawić, że

tym bardziej będą gorączkowo trzymać się władzy i bronić jej wszystkimi sposobami. Strach to dodatkowy czynnik, który cementuje tę ekipę.

Kaczyńskiemu musi to się podobać. Bo wymusza na jego drużynie dyscyplinę, bojowość, posłuszeństwo.

– To zgodne z jego sposobem myślenia i celami. Często słyszę, że Jarosław Kaczyński za coś się mści, że on jest w traumie. To są bajki! Ktoś, kto tak mówi, w ogóle go nie zna. On przestał mieć traumę pięć minut po tym, jak się dowiedział, że jego brat zginął. Trauma od razu przekształciła



Zachowujemy się w Unii jak menel na eleganckim osiedlu. Andrzej Duda, Emmanuel Macron i Angela Merkel na szczycie NATO, 25 maja 2017 r.

się w wolę politycznej wojny. Jarosław Kaczyński to maniak władzy. Nie ma w Polsce osoby, której paranoiczne pragnienie władzy splotłoby się tak bardzo z talentem do jej zdobycia. Powiedziałbym, że to bardzo zły, wybitny człowiek. Osobowość podobnego typu, do którego należą największe dranie XX w. Tyle że ma bardziej skrupowane ręce. Dla niego realne zagrożenie upadku jego ekipy to gorzej niż śmierć. Bo to jednocześnie i śmierć, i widzenie, jak jego dzieło się rozsypuje. A to jest dzieło groźne dla Polski. Polska traci przez Polaków! Nie przez obcych!

Dziadek do orzechów

Co traci?

– Traci wielką szansę historyczną, która polega na tym, że Polska powinna być pierwszym krajem broniącym zwartości i rozwoju Unii Europejskiej. Powinna dążyć do tego, żeby być w samym środku Wspólnoty, w strefie euro, szanowana, słuchana i mają-

ca wpływ na najważniejsze jej gremia. Dlatego że nie ma niepodległości Polski bez Unii Europejskiej. Dzięki Unii niemiecko-rosyjski „dziadek do orzechów”, w którym tkwiliśmy od początku XVIII w., przestał istnieć. Gdyby coś się stało z Unią, ten „dziadek do orzechów” się odtworzy. Bo Niemcy poza Unią będą o wiele potężniejsze niż w niej i o wiele bardziej niebezpieczne. Unia powstała także po to, by Niemcy okiełznać.

Wtedy zbudują sobie małą Unię, czyli Mitteleuropę.

– Dzisiaj Unia, jej trzon, który jest za tym, żeby ona się rozwijała, potrzebuje Polski. Dlatego Angela Merkel przyjeżdżała, żeby szaleńca z Żoliborza przekonać, że miejsce Polski jest wewnątrz Wspólnoty, w sojuszu z Niemcami, z Francją, po stronie Unii, a nie w próbach jej podgryzania.

A pisowcy ciągną Polskę w stronę Białorusi, w tamte klimaty?

– Z całą pewnością odciągają Polskę od Zachodu. Bo dla nas Zachodem nie jest Waszyngton. To daleki Zachód. Dla nas Zachodem jest Unia Europejska. Tymczasem już piąty rok mamy do czynienia z zachowywaniem się w Unii, tak jak menel zachowuje się na eleganckim osiedlu. To budzi niechęć do Polski, ożywia stare stereotypy. I rzecz niezmiernie groźna – trwająca piąty rok antyniemiecka propaganda, szczucie na Niemcy. To wywołuje po drugiej stronie Odry demony antypolonizmu. To gra śmiertelnie niebezpieczna dla Polski. A oni są tak zacietrzewieni, że tego demona budzą.

Budzą, bo chcą podgrzewać nastroje antyniemieckie, nacjonalistyczne, żeby zachować władzę.

– Ale trzeba mieć jednak choćby elementarne poczucie interesu 38 mln ludzi, którzy tu żyją! I którzy nie mogą pozwolić sobie na to, by mieć na wschodzie ciągle gigantyczne mocarstwo, które nie wyzbyło się ambicji, żeby dyktować, co się dzieje nad Wisłą, i pozbywać się jedynego od kilkuset lat bezpiecznego siedliska. To jest polityka, której autorzy powinni stanąć przed narodowym trybunałem i pójść za kraty do końca życia.

Robert Walenciak

Z Galicji



Jan Widacki

Kto rozliczy PiS?

Na tak postawione pytanie odpowiedź jest jedna. Nikt. Chyba że kryzys gospodarczy jako konsekwencja pandemii będzie tak wielki, że dotknie boleśnie większość Polaków. Wtedy PiS rozliczy ulica. Ale na to bym nie liczył, co więcej, wcale tego bym nie chciał. Po takim „rozliczeniu władzy” przez ulicę rządziłoby większe od pisowców populiści i więksi zamordyscy. A skutki samej ulicznej rewolucji byłyby opłakane. Byłoby to niszczące dla państwa i dla społeczeństwa.

Niech więc wreszcie przyjmą to do wiadomości wszyscy przeciwnicy PiS, że nawet gdyby wybory wygrał Rafał Trzaskowski – czego jemu, sobie i Polakom życzę – to w tej kadencji Sejmu, a więc jeszcze przez bite trzy lata, nikogo przed Trybunałem Stanu się nie postawi.

Oczywiście za naruszenie konstytucji lub ustawy w związku z zajmowanym stanowiskiem lub w zakresie swojego urzędowania odpowiedzialność konstytucyjną przed Trybunałem Stanu ponoszą prezydent, premier, ministrowie, a nadto prezes NBP, prezes NIK, członkowie KRRiTV, naczelny dowódca Sił Zbrojnych.

To, że prezydent wielokrotnie naruszył konstytucję, podobnie jak premier czy niektórzy ministrowie, jest faktem powszechnie znanym. Powinni za to stanąć przed Trybunałem Stanu. Zgoda. Ale nie staną. Dlaczego? Bo zgodnie z ustawą, aby postawić prezydenta przed Trybunałem, potrzebny jest wniosek Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej. W tej komisji (jak w każdej ważnej) PiS ma większość. Gdyby komisja wnioskuje o postawienie prezydenta w stan oskarżenia (już widzę, jak z takim wnioskiem występuje ta komisja), wniosek ten musiałoby przyjąć Zgromadzenie Narodowe (połączone izby Sejmu i Senatu) większością dwóch trzecich głosów. Do postawienia przed Trybunałem premiera lub ministra też trzeba najpierw wniosku sejmowej Komisji Odpowiedzialności Konstytucyjnej, a później wniosek ten musiałoby przyjąć Sejm większością dwóch trzecich głosów. Opozycja ani w Zgromadzeniu Narodowym, ani w Sejmie nie ma większości, nie mówiąc już o większości dwóch trzecich głosów. Na koniec w Trybunale Stanu prezesem jest z urzędu I prezes Sądu Najwyższego (czyli ostatnio Małgorzata Manowska, neosędzia, jak mówią starzy sędziowie, swego czasu wice-Ziobro w Ministerstwie Sprawiedliwości), a większość sędziów to nominaci PiS, jako że wybrał ich Sejm.

Zamiast roić o postawieniu Dudy, Morawieckiego, Szydło czy Ziobry przed Trybunałem Stanu (ostatnio zrobił to niestety kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski, zapowiadając postawienie Macierewicza przed Trybunałem), lepiej pomyśleć, jak w konstytucyjnych ramach naprawiać

państwo, kiedy prezydent i Senat byłoby w opozycji, a PiS zachowa rząd i większość w Sejmie, i jak odbudowywać wspólnotę. Polska jest dziś rozdarta na pół. Nawet jak PiS przestanie kiedyś rządzić, blisko połowa Polaków, która na PiS głosuje i – co gorsza – myśli tak jak PiS, zostanie. I to jest prawdziwy problem, nad którym trzeba poważnie się zastanowić. Zrobić z nich drugi sort? Obywateli drugiej kategorii? Zaproponować kolejne rozliczenia? Urządzić kolejną czystkę w urzędach, w wojsku, w służbach? Wprowadzić odpowiedzialność zbiorową?

Nie ma wyjścia, trzeba jakoś z nimi się pojednać, nakłonić do wspólnej pracy dla Polski, przekonać, że Polska jest jedna i jest dla wszystkich, także dla nich. Trzeba więc stworzyć wizję takiej Polski i zaproponować ją ludziom. Trzeba uszanować ich narodowo-katolickie przekonania i jakoś je uwzględnić w funkcjonowaniu państwa.

I trzeba się pogodzić ze smutnym faktem, że chociaż wielu zasługuje na pociągnięcie do odpowiedzialności konstytucyjnej, nikt przed Trybunałem Stanu nie stanie.

Nawet jak PiS przestanie kiedyś rządzić, blisko połowa Polaków, która na PiS głosuje, zostanie. Nie ma wyjścia, trzeba jakoś z nimi się pojednać.

Co innego odpowiedzialność karna konkretnych osób za konkretne czyny. Ale tym niech się zajmą prokuratura i sądy, a nie politycy.

Politycy niech myślą, jak poprawić służbę zdrowia, jak naprawdę zreformować wymiar sprawiedliwości z Sądem Najwyższym i Trybunałem Konstytucyjnym na czele i przywrócić mu autorytet, jak odbudować służbę cywilną, publiczne media, edukację, jak mądrze wspierać naukę. Rozliczenia naprawdę nie są tu najważniejsze.

Czy my z historii, nawet tej najnowszej, nauczyliśmy się czegoś? Po przewrocie majowym sanacja rozliczała endecję, po klęsce wrześniowej Sikorski rozliczał się z sanacją, po wojnie komuniści rozliczyli się z jednymi i drugimi. Po 1989 r. rozliczaliśmy się z PRL. IV RP rozliczała się z III RP. Za każdym razem niszczone wspólnotę, dzielono i krzywdzono ludzi. Może naprawdę już wystarczy!

Panie Rafale Trzaskowski, życzę Panu, aby wygrał Pan te wybory, ale Macierewiczowi niech Pan już da spokój. Niech go Pan zostawi biologii i historii. One są nieubłagane. Przed Trybunałem Stanu i tak go Pan nie postawi. Przecież Pan to wie. To po co Pan to mówi? Niech Pan wygra te wybory i myśli o odbudowywaniu narodowej wspólnoty, a nie o rozliczeniach, które tylko jeszcze bardziej podzielią Polaków. Po raz kolejny.

Władza powinna być skromniejsza

Ja do Unii Pracy wstąpiłem ze względu na wielkie nazwiska
– Karola Modzelewskiego, Aleksandra Małachowskiego, Marka Pola...

Rozmawia Robert Walenciak

Wybory prezydenckie! Debaty! Największą niespodzianką ostatnich kilku dni okazał się Waldemar Witkowski, przewodniczący Unii Pracy. To on, w opinii wielu dziennikarzy, wygrał debatę w TVP i został objawieniem finiszowych dni kampanii prezydenckiej.

Za zwycięzcę debaty uznał go Sławomir Sierakowski z „Krytyki Politycznej”. Chwaliła Monika Olejnik. Jacek Nizinkiewicz z „Rzeczpospolitej” stwierdził z kolei: „Waldemar Witkowski bardzo ładnie mówi o uchodźcach i przypomina słowa Karola Modzelewskiego. Czasem lepiej przegrać, ale się nie ześwinić szczuciem”. „Objawił się lewicowy kandydat, Waldemar Witkowski” – to opinia Przemysława Szubartowicza. „Waldemar Witkowski, jeden z najstarszych kandydatów, mówi językiem młodych. Dziś jego słowa brzmią jak z innego świata. Za 10-15 lat w Polsce będą oczywistością – napisał Janusz Schwertner z Onetu, dodając: – Jezu, jak pięknie o uchodźcach mówi Pan Witkowski. Usłyszeć tyle dobrych słów na temat innych ludzi w TVP – szokujące doznanie”.

„Witkowski w sprawie małżeństw homoseksualnych lepszy od Biedronia” – to z kolei ocena Renaty Grochal z „Newsweeka”. W pewnym sensie podobna do oceny ks. Kazimierza Sowcy: „Uwaga dla wyborców Lewicy – macie fajnego lidera, a ponieważ nie jest to ani Biedroń, ani Zandberg, ani Czarzasty, dlatego wam gratuluję!”.

Tyłu miłych słów od dziennikarzy Witkowski pewnie wcześniej nie słyszał. Ale uczciwie na nie zapracował, prezentując się podczas środowej debaty. Niewiele zresztą brakowało, a Witkowskiego by tam nie było – jest bowiem jedynym (obok Rafała Trzaskowskiego) nowym kandydatem. Przy czym o ile Trzaskowski zastąpił Małgorzatę Kidawę-Błońską, zbierając w kilka dni 1,6 mln głosów poparcia, o tyle Witkowski uzupełniał głosy pod swoją kandydaturą z maja. I na pewno nie zalicza się do grona faworytów. Inny cel mu przyświeca. Jaki? Niech to sam powie.



**WALDEMAR
WITKOWSKI**

– przewodniczący Unii Pracy

Dlaczego wysunął pan swoją kandydaturę w wyborach prezydenckich?

– A jaki jest potencjał polskiego społeczeństwa, jeśli chodzi o poglądy lewicowe? Na pewno ma je co piąty Polak, a może i co trzeci. A polscy socjaldemokraci, których bazą są pracownicy, spółdzielcy i inne osoby zrzeszone w partiach pozaparlamentarnych, odrzucone przez SLD w zeszłym roku, przed wyborami parlamentarnymi, uznali, że nie można stać z boku. Że jeżeli w debacie publicznej nie będzie ideowej socjaldemokracji, która nie walczy o stółki i pieniądze publiczne, to będzie bardzo źle.

Dlatego w interesie tysięcy pracowników, którzy nie mogą w obecnej Polsce się odnaleźć, trzeba zrobić wszystko, żeby wystawić swojego kandydata. Po to, by sprawdzić, czy lewicowy program jest w stanie przekonać lewicowych wyborców, aby zagłosowali inaczej, niż chciałby Włodzimierz Czarzasty. No i próbujemy.

I jak to się udaje?

– Początki mieliśmy trudne. Zwłaszcza z zarejestrowaniem mojej kandydatury. Kłody pod nogi rzucono przez cały czas.

Mała partia ma kłopot, żeby zebrać w terminie taką liczbę podpisów.

– Pomagali nam spółdzielcy. Pomagali nam działkowcy. A na końcu włączyli się działacze SLD.

Lewicowe poglądy na pewno ma co piąty Polak, a może i co trzeci.

Porozmawiajmy o debacie telewizyjnej. Był pan nadzwyczaj spokojny.

– Lata pracy. Występuję publicznie od czasów studenckich. Jeszcze od czasów ZSP, a doszedłem do funkcji wiceprzewodniczącego Ogólnopolskiej Rady Młodych Pracowników Nauki. Zanim ta debata się zaczęła, już było ciekawie. Nie było tak, że weszliśmy wszyscy razem, wchodziło się po kolei. Ja razem z Andrzejem Dudą. W pewnym momencie siedziałem razem z nim w jednym pokoju.

I dopiero po jakimś czasie zorientowano się, że dla mnie jest inne pomieszczenie. Ale jak byliśmy razem, rozmawialiśmy. I on mnie pytał, czy jestem zdenerwowany. – Nie – odpierałem. – Nie jestem. To pan może być zdenerwowany. Bo to pan może stracić. Ja mogę tylko zyskać. Więc nie mam powodu, by się denerwować. Tak mu odpowiedziałem. A on, biedak, był taki zdenerwowany, spocony, z Bielanem siedzieli razem...

Wiele w tej debacie nie wygrał.

– A to dziwne. Bo podejrzewam, że znał pytania.

ryzm. To we mnie tkwi. Zatem takie odpowiedzi narzucają się same.

A siedmiogodzinny dzień pracy, postulat Unii Pracy?

– Siedmiogodzinny dzień pracy realizuję u siebie od lat. Więc z praktyki wiem, że przez siedem godzin można zrobić więcej niż przez osiem.

W jaki sposób?

– Człowiek przez osiem godzin nie jest w stanie się skupić na swojej pracy, potrzebuje przerw. I u mnie w spółdzielni ludzie przez siedem godzin wykonują tę samą pracę, którą wcześniej wykonywali przez osiem.

Siedmiogodzinny dzień pracy realizuję u siebie od lat.

A jak pan ocenia te pytania?

– Były ułożone w taki sposób, żeby uderzyć w Trzaskowskiego. To każdy widział. Oczywiście spodziewałem się pytań bardziej merytorycznych, miałem taką nadzieję. A były, jakie były.

Więc niczego sobie pan nie przygotował?

– Regulamin przedstawiono nam taki, że nikt nie może wejść ze ściągą. Potraktowałem to poważnie. Ale inni... Niektórzy mieli swoje hasła napisane wielkimi literami. Jak kamera nie była na nich skierowana, to czytali, powtarzali, mruzcili. A potem gadali te hasła do kamery.

Czyli coś wiedzieli na temat pytań?

– Nie znaliśmy pytań. Wiedzieliśmy tylko, że będą o takiej polityce, o innej... Same ogólne hasła. Przed debatą więc nie trenowałem, nie miałem żadnych coachów. Owszem, gdy przyjechałem do Warszawy, koledzy z partii chcieli ze mną ćwiczyć. To im odpowiedziałem, że nie jestem aktorem, nie będę powtarzał frazesów.

A słowa Karola Modzelewskiego, że czasem lepiej przegrać, niż się ześwinić szczuciem, miał pan przygotowane?

– Proszę pana, ja do Unii Pracy wstąpiłem właśnie ze względu na te wielkie nazwiska – Karola Modzelewskiego, Aleksandra Małachowskiego, Marka Pola... Ze Zbigniewem Bujakiem jeździłem po województwie, przekonywałem, żeby na niego głosowali. Moja żona była fanką Modzelewskiego. Pamiętam spotkania z nim, rozmowy. Te hasła, które głosiliśmy – wolność, równość, solida-

Zimą przychodzimy później do pracy, latem wcześniej. Człowiek jest wydajniejszy, kiedy działa w zgodzie z naturą. Poza tym osiem godzin pracy wprowadził Ignacy Daszyński ponad 100 lat temu. I chyba najwyższa pora, żeby więcej czasu poświęcić sobie.

Siedmiogodzinny dzień pracy to element hasła ogólnego Unii Pracy

– człowiek ważniejszy od kapitału.

Inne elementy to równa płaca dla kobiet i mężczyzn...

– Kolejny to postulat, że emerytura i płaca minimalna powinny być zwolnione z podatku. I trzeci element – leki na receptę powinny być za złotówkę. Moi znajomi pokazują mi rachunki – 300-400 zł wydają co miesiąc na leki, które muszą regularnie zażywać, żeby żyć. Więc to trzeba uregulować. Inne nasze hasło to środowisko ważniejsze od biznesu. Chcemy uwolnić miasta od węgla w paleniskach domowych.

Emerytura i płaca minimalna powinny być zwolnione z podatku. A leki na receptę powinny być za złotówkę.

Czym innym jest wykorzystywanie węgla w celach przemysłowych czy na wolnych przestrzeniach, tam smog ma gdzie się rozproszyć. Ale w miastach jest przyczyną śmierci wielu ludzi. Popieram też rozwój elektromobilności we wszystkich formach. I postulujemy, żeby w centrach miast ograniczyć prędkość wszystkich pojazdów, samochodów, motocykli, rowerów do 30 km na godzinę. Żeby zrobić tzw. strefę 30. To będzie i bezpieczniejsze, i bardziej przyjazne dla środowiska. Mniej będzie kurzu, który wzbijają w górę jadące szybko pojaz-

dy. Nie bójmy się też atomu, wszyscy wokół mają elektrownie atomowe. Kolejną sprawą jest przeciwdziałanie stepowaniu Polski, a szczególnie Wielkopolski. Popieram programy małej retencji, trzeba zrobić wszystko, żeby osłabić odpływ słodkiej wody do morza.

Widzi pan politykę przez pryzmat realizowania kolejnych ulepszeń, lepszego gospodarowania, poprawy życia.

– Przecież po to żyjemy. Jeżeli w Szwecji potrafią tak działać, systematycznie poprawiają raz jedno, raz drugie, to dlaczego nie można u nas? Kapitał nie musi być ważniejszy od człowieka, od środowiska. Wie pan, tam często nawet nie wypada mieć samochodu. A jednostki samorządowe nie mają samochodów służbowych, bo po co, skoro można inaczej, można się przejść. A u nas flota samochodowa przyrasta i przyrasta. Gdyby jej połowę zlikwidować, ożyłoby się to bez żadnej szkody dla tzw. VIP-ów, a każda gmina dostałaby karetkę pogotowia.

Bo w Polsce jest więcej samochodów służbowych niż gmin.

– Przecież to jest kpina! W każdym urzędzie wojewódzkim, w każdym urzędzie marszałkowskim, w każdym ministerstwie pełno jest samochodów służbowych. Po co? Władza nam się zepsuła, rozochociła.

A powinna działać po europejsku.

– Oczywiście. Zresztą zdecydowanie opowiadamy się za wzmocnieniem współpracy z Unią Europejską, a także z sąsiadami. To lepsze niż szukanie na siłę przyjaźni za wielkim

Czeski film na granicy

Decyzje podejmowane przez polski i czeski rząd podczas walki z epidemią pokazały, że oba kraje nie są zbyt chętne do współpracy



15 czerwca cieszyńianie protestowali na Moście Przyjaźni przeciw wyłączeniu mieszkańców województwa śląskiego z możliwości swobodnego przekraczania granicy.

Łukasz Grzesiczak

Na polsko-czeskiej granicy znów wrze. Trudno już zliczyć, ile razy w ostatnich tygodniach mieszkańcy Cieszyna i Czeskiego Cieszyna protestowali. Najpierw podczas kilku demonstracji, oficjalnie nazywanych spacerami, domagano się otwarcia polsko-czeskiej granicy dla pracowników transgranicznych, którzy w wielu przypadkach przez decyzje Warszawy i Pragi o całkowitym zamknięciu państw stracili pracę i jedyne źródło dochodu. W najliczniejszym proteście na granicy „spacerowało” nawet tysiąc osób. Kiedy rząd Mateusza Morawieckiego pozwolił wreszcie części polskich pracowników transgranicznych wrócić do swoich zajęć w Czechach, tłum żądał tego samego prawa dla lekarzy i pielęgniarek, którzy pracują w kraju sąsiada.

Kiedy to wywalczono, wydawało się, że to koniec protestów. W miniony poniedziałek jednak znów kilkaset osób demonstrowało w Cieszyńcu, tym razem przeciwko decyzji

czeskiego rządu, który zamknął granicę dla mieszkańców województwa śląskiego. W manifestacji wzięli też udział samorządowcy, m.in. burmistrz Cieszyna Gabriela Staszkiwicz i starosta cieszyński Mieczysław Szczurek.

Nikt nic nie wie

Wszystko zaczęło się optymistycznymi zapowiedziami o otwarciu granicy, a skończyło się w stylu czeskiego filmu, czyli nikt nic nie wie. Polskie władze podjęły decyzję o otwarciu polsko-czeskiej granicy od 13 czerwca (sobota). Dlaczego nie uzgodniły tego z Czechami, którzy zapowiedzieli otwarcie granicy z Polską dopiero dwa dni później, od 15 czerwca (poniedziałek)? Na to, jak i na inne pytania dotyczące tej sprawy polskie MSZ nie zdążyło odpowiedzieć przed oddaniem tekstu do druku.

Zatem od minionego poniedziałku po wielu tygodniach sytuacja na granicy miała wrócić do normalności, a turyści i zwykli mieszkańcy – bez żadnych przeszkód podróżować do kraju sąsiada. Wcześniej możliwe

było jedynie przekroczenie granicy przez pracowników transgranicznych czy w celach służbowych. Kiedy rzesza polskich fanów czeskiego piwa szykowała się do odwiedzenia Czech, a rodziny żyjące – zwłaszcza na Śląsku Cieszyńskim – po obu stronach granicy planowały pierwsze od połowy marca spotkania, w piątek niespodziewanie rząd w Pradze poinformował, że granica polsko-czeska zostanie otwarta, ale nie dla osób mieszkających w województwie śląskim. Powód? Czesi uważają, że Polacy nie radzą sobie z epidemią koronawirusa na Śląsku. Czeski minister zdrowia Adam Vojtěch ogłosił, że wysokie ryzyko zarażenia koronawirusem jest w Portugalii, Szwecji i w polskim województwie śląskim. Dodał też, że także Czesi wracający z tych miejsc do swojego kraju muszą przy przekroczeniu granicy okazać aktualny negatywny test na COVID-19 albo czekać ich dwutygodniowa kwarantanna.

– Polski i czeski rząd podjęły nieszcześliwe decyzje. Najpierw nie potrafiono ustalić jednej daty otwarcia granicy. Potem rząd czeski zaskoczył nas decyzją w sprawie zamkniętej granicy dla mieszkańców województwa śląskiego i Czechów, którzy chcieliby odwiedzić to województwo – mówi Gabriela Hřebačková, burmistrz Cieszyńcu. – Przecież o koronawirusie wśród pracowników polskich kopalń wiemy od dawna. Dlaczego takie decyzje podejmuje się w ostatniej chwili? – zastanawia się Hřebačková. Jej zdaniem decyzja czeskiego rządu jest przesadzona. – Chorzy w Polsce są leczeni, osoby z podejrzeniem COVID-19 są na kwarantannie. Granica powinna zostać otwarta, a władze powinny apelować o rozsądek i zachowanie zasad higieny – uważa.

Decyzję rządu w Pradze krytykują też polscy samorządowcy. – Jesteśmy zdumieni i wstrząśnięci. Wypatrywaaliśmy otwarcia granicy, powrotu do funkcjonowania w sposób naturalny po obu stronach Olzy. Nie ma w nas zgody na dzielenie Polaków na mieszkańców Śląska i resztę kraju – mówi Gabriela Staszkiwicz, burmistrz Cieszyńcu. Władze Cieszyńcu mają także zastrzeżenia do działań polskiej dyplomacji. Prawdopodobnie naszym interesom nie pomaga fakt, że polska ambasador w Pradze Barbara Ćwiro została odwołana po zarzutach

o mobbing. – Mamy dużo żalu, że nasza dyplomacja nie zareagowała natychmiast. Negatywnie oceniam działanie osób odpowiedzialnych za politykę międzynarodową. Niestety, kolejny raz sprawy bezpośrednio nas dotykające rozwiązywane są bez naszego udziału. Ewentualne rozmowy od początku ogłoszenia epidemii

Cały weekend przed wejściem w życie nowych regulacji zdeorientowani polscy internauci zasypywali oficjalną stronę czeskiej ambasady w Warszawie pytaniami. „Przyjechałam odwiedzić rodziców w Małopolsce. Niestety samochodem na śląskich numerach rejestracyjnych. Mama, która będzie jechać

granicznej. Powinny być jednak wskazane jakieś konkretne dokumenty (np. urzędowe potwierdzenie zameldowania lub zamieszkania), a jeżeli ktoś go nie ma, mieć nie chce, wtedy inne sposoby – tłumaczy Kasperek. I zwraca uwagę, że czeskie służby nie zbadły wcześniej tego problemu. – Zapewne nie miały świadomości braku obowiązku meldunkowego w Polsce czy nawet braku obowiązku przerejestrowania samochodu po jego zakupie na rynku wtórnym. Już docierają do nas niepokojące sygnały, że jest z tym problem na granicy. Zresztą na różnych przejściach wygląda to różnie – dodaje.

Bogdan Kasperek odnosi wrażenie, że władze w Polsce, jak i w Czechach mają problem ze zrozumieniem specyfiki regionów przygranicznych, a już na pewno takich jak Śląsk Cieszyński. Jego zdaniem problemy, których doświadczyli mieszkańcy polsko-czeskiej granicy w czasie walki obu państw z koronawirusem, pokazują dobitnie brak transgranicznych procedur współpracy w obszarze zarządzania kryzysowego. – Podobne problemy mają nasi partnerzy na innych granicach europejskich. To oczywiście nie jest pocieszające, ale pokazuje, że to wciąż tematyka skomplikowana mimo tylu lat współpracy w ramach Unii Europejskiej i strefy Schengen – uważa ekspert.

– Czeski rząd informuje, że oficjalnym powodem jest sytuacja epidemiczna w województwie śląskim. Nie szukałbym w tej decyzji drugiego dna. Po prostu ktoś podjął decyzję,

Polaków czekają wyrwykowe kontrole – nasi obywatele muszą udowodnić, że nie mieszkają w województwie śląskim.

odbywają *post factum*, ma to znamiona gaszenia pożaru, a nie reagowania i rozwiązywania problemów. Nikt nie mówi o tym, że aktualnie Śląsk jest najlepiej przebadanym regionem, ogniska zakażeń są zdiagnozowane, a osoby chore i potencjalnie narażone na zakażenie są odizolowane bądź w kwarantannie – dodaje Gabriela Staszkiwicz.

Protestuje też starosta cieszyński Mieczysław Szczurek. – Starosta jest zszokowany tym, że po drugiej stronie Olzy obowiązuje prawo, które dyskryminuje osoby zamieszkujące terytorium Śląska w porównaniu z resztą województw. W jego odczuciu mieszkańcy województwa śląskiego zostali głęboko skrzywdzeni przez praskie władze wyłącznie za to, gdzie mieszkają – informuje Sylwia Pieczonka, rzeczniczka cieszyńskiego starosty.

Od poniedziałku na granicy polsko-czeskiej panuje chaos. Przejścia, które nie leżą na terenie województwa śląskiego, są otwarte. Jednak tam i w głębi kraju na Polaków czekają wyrwykowe kontrole – nasi obywatele będą musieli udowodnić, że nie mieszkają w województwie śląskim. W jaki sposób? Nie wiadomo. Czeska strona nie wzięła pod uwagę, że w polskich dowodach, paszportach czy prawach jazdy nie ma adresu zameldowania. Ciężar udowodnienia, że nie mieszka się w województwie śląskim, leży po stronie osoby kontrolowanej. Jeśli się to nie powiedzie, możemy zapłacić karę w wysokości do 1 mln koron (ok. 170 tys. zł). Dodatkowo Polacy informują, że choć przejścia graniczne na terenie województwa śląskiego miały być otwarte dla mieszkańców pozostałych rejonów Polski, Czesi zamknęli je zupełnie dla Polaków i odsyłają ich, by granicę przekroczyli w województwie opolskim lub dolnośląskim.

ze mną, nie ma już adresu zamieszkania w dowodzie. Jak mamy udowodnić, że nie byliśmy na Śląsku?”, pyta internautka. Inna osoba zastanawia się: „Co jeśli ktoś ma zameldowanie od wielu lat w domu rodziców w Częstochowie, ale mieszka i pracuje od pięciu lat w Krakowie? Chce jechać do Chorwacji bez zatrzymania się w Czechach?”. Wszystkie pytania zostały bez odpowiedzi ze strony czeskich dyplomatów.

Zawróceni

– Sytuacja jest zła. Czeskie służby graniczne mają, moim zdaniem, problem z właściwą interpretacją własnych przepisów prawa. Stanowisko Ambasady Republiki Czeskiej w Polsce było jednoznacznie: teren województwa śląskiego może być terenem tranzytu dla mieszkańców innych regionów Polski do Republiki Czeskiej jako kraju docelowego. Prawdą jest, że wiele osób, które powinny zostać przepuszczone przez granicę

Wiele osób, które powinny zostać przepuszczone przez granicę np. w Cieszynie, zostało zawróconych.

np. w Cieszynie, zostało z tej granicy zawróconych. Sam byłem świadkiem takich sytuacji na Moście Przyjaźni – informuje Bogdan Kasperek ze Stowarzyszenia Rozwoju i Współpracy Regionalnej Olza, które działa na rzecz współpracy transgranicznej.

Kasperek zwraca uwagę, że czeskie organy administracji rządowej podały, że ewentualnym dowodem na zamieszkanie poza województwem śląskim jest kopia najmu mieszkania lub wyciąg z księgi wieczystej. Problem w tym, że te dokumenty sporządzone są po polsku. – Wiele zależy od oceny osoby dokonującej odprawy

nie mając świadomości, że Polacy nie mają w dokumentach napisane, gdzie mieszkają – mówi czeski dziennikarz i publicysta Martin Ehl. Jego zdaniem działanie czeskiego rządu obliczone jest na PR. – Andrej robi wszystko, by udowodnić, że jego rząd najlepiej na świecie radzi sobie z epidemią koronawirusa – tłumaczy Ehl.

Moi polscy rozmówcy zwracają uwagę, że inicjatorem zamknięcia czeskiej granicy dla mieszkańców województwa śląskiego jest Ivo Vondrák, marszałek województwa morawsko-śląskiego, który w ten sposób chciał odwrócić uwagę Czechów ▶

► od problemów zakażeń koronawirusem w zarządzanym przez niego województwie, zwłaszcza w kopalniach. Martin Ehl jest innego zdania. – To decyzja Pragi, nie Ostrawy. Tak samo jak Warszawa w marcu

Jego rzecznik prasowy Sławomir Gruszka informuje, że już w sobotę marszałek wystosował dwa pisma do premiera Czech i hejtmmana (czeski odpowiednik marszałka województwa – ŁG) kraju morawsko-śląskiego.

– Jak oceniają państwo relacje polsko-czeskie przez pryzmat współpracy między władzami województwa śląskiego i morawsko-śląskiego? – pytam rzecznika prasowego marszałka Jakuba Chełstowskiego.

– Współpraca układa się bardzo dobrze. Odbywa się wiele spotkań merytorycznych. Realizowane są wspólne wyzwania – informuje Sławomir Gruszka. Podobne zdanie ma, zdaje się, premier Mateusz Morawiecki. 12 czerwca podczas szczytu Grupy Wyszehradzkiej pod Brnem napisał na swoim Twitterze „#V4 po raz kolejny mówi jednym głosem! Państwa Czwórki są gotowe poprzeć Europejski Fundusz Odbudowy, ale musi odpowiadać potrzebom regionów. Dodatkowe środki na budowę dróg i rolnictwo wesprą gospodarkę po Covid. Cieszę się, że nasza siła jest cały czas spójna i coraz mocniejsza”.

Dzień później Czesi zaskoczyli Polaków zamknięciem granicy dla mieszkańców województwa śląskiego.

Łukasz Grzesiczak

Władze w Polsce i w Czechach mają problem ze zrozumieniem specyfiki regionów przygranicznych, a już na pewno takich jak Śląsk Cieszyński.

zdecydowała o zamknięciu granicy bez konsultacji z Czechami, polskimi samorządowcami z rejonów przygranicznych i z polskimi pracownikami transgranicznymi. Decyzje podejmowane przez polski i czeski rząd podczas walki z epidemią COVID-19 pokazały, że oba kraje nie są tak chętne do współpracy, jak to wcześniej nam przedstawiano – uważa czeski publicysta.

Bardzo dobra współpraca?

W rozwiązywanie problemu zaangażował się też Jakub Chełstowski, marszałek województwa śląskiego.

Dodatkowo w poniedziałek marszałek Chełstowski rozmawiał z marszałkiem Vondrákiem, a we wtorek zorganizowana została wideokonferencja z udziałem marszałka Chełstowskiego, sanepidu strony polskiej i czeskiej oraz władz województwa morawsko-śląskiego. Na razie bez efektu. Za to Jakub Chełstowski ma pomysł. W rozmowie z TOK FM stwierdził, że „jeśli Ślązak za przekroczenie granicy zapłaci karę, solidarnie należy się na nią złożyć”. Polscy politycy jednak na przekór faktom lubią powtarzać, że współpraca polsko-czeska układa się wzorowo.

W bieżącym numerze także:

- Sadek Boussena
Świt nowego reżimu naftowego?
- Filip Brzeźniak
Przednowoczesne źródła zbuntowanej melancholii
- Vivek Chibber
Jak uratować klasy przed zwrotem kulturowym
- Filip Springer
Deweloper nigdy nie traci
- Luis Sepúlveda
Chile, oaza suszy

Do nabycia w salonach prasowych empiKu
Roczna prenumerata (6 numerów): 92 zł
Konto: 44 1500 1777 1219 1033 3847 0000
Santander Bank Polska
Instytut Wydawniczy „Książka i Prasa”
ul. Twarda 60, 00-818 Warszawa, telefon: 22 624 17 27
e-mail: redakcja@monde-diplomatique.pl
www.monde-diplomatique.pl



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Drugą turę racz nam dać, Polsko

Jak dotąd zawsze jest to „jakoś to będzie”. Historia i świat się nie kończą, nawet Polska się nie kończy, choć ma się nie najlepiej. Będzie tak i tym razem. Będzie raczej więc druga tura wyborów prezydenckich, choć jeszcze kilka miesięcy temu wyglądało na to, że najgorszy prezydent III RP ma reelekcję w kieszeni. Jednak pandemia koronawirusa zrobiła w kieszeni dziurę i dzisiaj już nie jest to oczywistością, a co dopiero oczywistą oczywistością. Władza, nie chcąc zdobytej władzy oddać, robi wszystko, żeby te wybory wygrać. Nie trzymając się reguł, naginając je, wykorzystuje wszystkie przejęte moce (media publiczne walczą o jednego, swojego kandydata jak lwica o małe), zaprzęga do tego wysiłku wszystko, co da się uruchomić. Można zrozumieć – ma zbyt wiele nawet nie do stracenia, ale do odpokutowania lub odsiedzenia. Odsunięcie Dudy od Pałacu Prezydenckiego pozbawia PiS wszechwładzy i naraża na realne poniesienie odpowiedzialności za swoje rządy. Bynajmniej nie za prospołeczne decyzje, których kilka zmieniło polską politykę na plus (500+). Samouwłaszczanie, które urosło do monstrualnych rozmiarów, zwykle przekręty i malwersacje, których nawet nie ma potrzeby wyliczać – to wszystko będzie miało kres w sytuacji utraty bezpośredniego kontaktu z samopodpisującym piórem prezydenta, a *de facto* taką rolę wybrał, zaakceptował i rozsmakował się w niej Andrzej Duda. Uwierzył zresztą sam, że jest piórem myślącym, samodzielnym, odważnym i wolnym. Psychologowie nazywają ten proces racjonalizacją, pewnie można sięgnąć głębiej, ale nie jesteśmy psychologami. Miał przeciętny polityk swoje pięć lat i je popisowo zmarnował, politycznie nie jest nawet wrakiem, wyduszką raczej. Ale, ale rzecz jasna – nie mamy pewności, że Rafał Trzaskowski (bo to on ma realne szanse wejść

do drugiej tury) ostatecznie wygra. Paradoksalnie to Szymon Hołownia, nie mając realnych szans na drugą turę, ma większe szanse na zwycięstwo w niej. Duda więc jeszcze na deskach nie leży, choć, jak to mówią złośliwi, ciężarna zakonnica (której to ewentualne przejechanie przez pijanego prezydenta Komorowskiego mogło odebrać mu reelekcję w 2015 r.) już wędruje w stronę prezydenckiej kolumny samochodowej, która na razie systematycznie ćwiczy zderzenia na innych obiektach.

Polska scena polityczna ma szansę na radykalną zmianę po ewentualnej klęsce atrapy prezydenckiej.

Polska scena polityczna ma szansę na mocną, radykalną zmianę po ewentualnej klęsce atrapy prezydenckiej – w tej roli Andrzej Duda, czyli po porażce Jarosława „emerytowanego zbawcy narodu z tylnej kanapy” Kaczyńskiego. Ale czy i jak Polska może na tym skorzystać, tego już nie możemy być pewni. Rafał Trzaskowski, gdyby zdołał pokonać armię PiS, ma szansę na realizację bardzo wielu obiecujących scenariuszy, w moim przekonaniu również w ocenie lewicowego wyborcy, obywatela/obywatelki. Z całego poplatformerskiego establishmentu jest osobą wyróżniającą się sporym potencjałem, dobrym przygotowaniem merytorycznym i nadaje się bardziej do tej roli niż do rządzenia Warszawą. Chyba jednak inaczej niż Robert Biedroń, na którego zapewne oddam głos w pierwszej rundzie, bo tak w PRZEGLĄDZIE zadeklarowałem, kiedy jeszcze nie wiedziałem, że teoretycznie mógłbym oddać głos na prezesa spółdzielni mieszkaniowej im. Hipolita Cegielskiego, Waldemara Witkowskiego z Unii Pracy, który jak *deus ex machina* objawił się w popandemicznej, nowej odsłonie wyborów. Wolałbym, żeby to

kandydat lewicy miał taki moment polityczny na odebranie polskiej prawicy monopolu na władzę i urządzenie Polski, i mam głębokie przekonanie, że osób takiego formatu na lewicy jest więcej niż gdziekolwiek indziej, ale to jeszcze nie teraz.

Pandemia PiS niestety nie doprowadziła nas do podjęcia fundamentalnej rozmowy o Polsce XXI w., Polsce w dobie kryzysu klimatycznego, energetycznego, finansowego, społecznego i uchodźczego. Ale, warto przypomnieć, Polska nie jest samotną

wyspą i najmocniej one wszystkie nas dotyczą. Tę rękawicę rzuconą globalnie przez ludzkość trzeba podnieść. To w większości lewicowe odpowiedzi niosą szansę na realne zmierzenie się z tymi wyzwaniami. Czyli chciałbym móc wierzyć, że przyjdzie czas lewicy. Dzisiaj zapewne możemy tylko liczyć na lepszego partnera w tym dziele. Nie są nim, nigdy nie były i nie będą ani PiS, ani inna skrajna prawica. Stąd parę ciepłych myśli dla Trzaskowskiego w drugiej turze. Ale o tym może jeszcze napiszę w kolejnym tygodniu, kiedy będzie to ważny i dostępny wybór.

Górnicy podwójnymi ofiarami

Na Śląsku są obawy, że wstrzymanie wydobywania w kopalniach może być pretekstem do ich zamknięcia i zwolnień grupowych

Rozmawia Jan Opielka

Zdaje się, że wskutek wydarzeń ostatnich miesięcy górnicy ze Śląska będą ofiarami w kilku wymiarach: zakazili się koronawirusem, są stygmatyzowani i są celem hejtu, a na koniec jeszcze stracą pracę?

– Zdecydowanie tak, górnicy, ale też inni mieszkańcy Górnego Śląska, wskutek zaniedbań mogą stać się podwójnymi ofiarami obecnego kryzysu. Przede wszystkim trzeba było znacznie wcześniej słuchać prawdziwych ekspertów. Łudzono górników, że nie ma zagrożenia i koronawirus nie pojawi się w kopalniach. Sami górnicy mieli zastrzeżenia do możliwości wdrożenia procedur

Łudzono górników, że nie ma zagrożenia i koronawirus nie pojawi się w kopalniach.

bezpieczeństwa. W warunkach pracy w kopalniach nie ma możliwości trzymania dystansu, a wysoka temperatura, wilgotność, duże zapylenie, wentylacja sprzyjają rozprzestrzenianiu się wirusa. Kwestią czasu było, kiedy to wybuchnie. A potem nagle zamykane są kopalnie, panuje chaos, w Warszawie zapadają decyzje bez konsultacji z załogami – to nie tworzy zaufania. Dziś w społecznościach górniczych pojawia się spiskowa teoria, że testy przeprowadzane są w tych kopalniach, które pójdą do likwidacji.

Na razie 12 kopalni tymczasowo wstrzymało wydobywanie, górnicy obawiają się jednak, że przynajmniej niektóre zostaną zamknięte na stałe. Będą?

– Podzielał obawy górników, że wstrzymanie wydobywania w kopalniach – rentownych i nierentownych – może stać się pretekstem do ich zamknięcia i zwolnień grupowych. Jeśli właściciel kopalni nie zapewni programów przekwalifikowania i utworzenia nowych miejsc pracy

poza górnictwem, na Śląsku mogą wybuchnąć gwałtowne protesty społeczne. Już przed pandemią sytuacja rynkowa górnictwa była bardzo trudna, górnictwo w zasadzie nie działa na podstawie reguł rynkowych, ono było i jest mocno dotowane przez państwo. Czasu dobrej koniunktury węgla nie wykorzystano, aby zrestrukturyzować ten sektor i inwestować w przyszłość. Gdyby firmy górnicze musiały konkurować, część ich aktywów byłaby wygaszona, bo importowany węgiel jest tańszy niż polski. Krótko przed wybuchem pandemii wypłynęły do mediów nieoficjalne informacje, że kilka kopalń już wówczas było przeznaczonych do likwidacji. Dziś mówi się o pięciu.

Być może dlatego rząd PiS nie chce pokazać przed wyborami zapowiadanej strategii dla sektora. Jak zatem wygląda prawda, o której się mówi, że wcześniej czy później należy ją górnikom przedstawić?

– Mówię to jako Ślązak: wiem, że górnictwa nie należy rozpatrywać wyłącznie w kontekście rynkowym, ma ono duże znaczenie społeczne. To nie tylko wydobywanie i sprzedaż węgla, ale też wspieranie lokalnych społeczności i miejsc pracy – pamiętajmy, że jedno miejsce pracy w górnictwie generuje trzy, cztery miejsca pracy w firmach okołogórnictwa. To cały system naczyń połączonych. Mimo to górnictwo i energetyka węglowa kosztują podatników bardzo dużo. Na świecie nie bez powodu odchodzi się od paliw kopalnych, jesteśmy świadkami kryzysu klimatycznego.

Ale co z argumentem bezpieczeństwa energetycznego? Ono kosztuje, a zatem nie należy traktować górnictwa wyłącznie ekonomicznie.

– Trzymamy się nieco przestarzałej, staromodnej definicji bezpieczeństwa. Dla porównania: w dzisiejszym świecie ataków terrorystycznych w informatyce stawia się na rozproszony model zarządzania infrastrukturą, właśnie w celu bezpieczeństwa. Przy budowie centrów przetwarzania danych, aby otrzymywać certyfikat bezpieczeństwa, dubluje się, a czasem potraja całą infrastrukturę. Natomiast nasz system energetyczny to model scentralizowany, w pewnym sensie XIX-wieczny. Budowanie blisko kopalń dużych bloków węglowych jest podejściem archaicznym. Dlatego dzisiaj priorytetem na świecie jest energetyka rozproszona, korzystająca ze źródeł odnawialnych i rozrzuconych. Tak jest bezpieczniej oraz taniej, bo w dobie zamachów terrorystycznych trudniej zrzucić bomby na setki tysięcy małych instalacji energetycznych, niż ustrzelić kilkanaście lub kilkadziesiąt dużych bloków węglowych.

To kwestia bezpieczeństwa. Ale co z miejscami pracy, ze społeczeństwem?

– Model rozproszony odnawialnych źródeł energii (OZE) niesie także korzyści społeczne. Stawiając na energetykę rozproszoną i mikroinstalacje prosumenckie – gdy konsument energii jest również jej wytwórcą – wyzwala się gigantyczna energia społeczna. Widzimy to choćby w Niemczech. Tam zdecydowanie postawiono na energetykę obywatelską, której podstawą są małe, przydomowe instalacje fotowoltaiczne i energia wiatrowa. Zapewnia to bezpieczeństwo energetyczne lokalnie, a na dodatek tworzy wspólnoty energetyczne, bo ludzie zaczynają rozmawiać o cenach energii, ważne dla nich staje się obniżanie kosztów wytwarzania. Zaczynają też się zastanawiać, jak minimalizować koszty przesyłu energii – próbuje się zatem coraz bardziej unikać ciągnięcia przez cały kraj dużej i kosztownej infrastruktury

PATRYK BIAŁAS

– ekolog, aktywista
i niezależny radny Katowic



przesyłowej. W sumie powstaje inny model zarządzania energetyką.

Te pozytywne aspekty – decentralizacja i bezpieczeństwo poprzez rozproszenie – wydają się dla rządu w Warszawie głównym powodem, aby blokować taki zielony rozwój. Wszak PiS chce wszystko scentralizować, bo to oznacza kontrolę i kumulację władzy.

– Tak, to co nakreśliłem, to inny model zarządzania państwem, w kierunku oddania zarówno uprawnień, jak i odpowiedzialności w ręce obywateli. Pamiętajmy, że jedną z pierwszych reform w Polsce po 1990 r. była reforma samorządowa. Wówczas wspólnoty lokalne zostały upodmiotowione, zaczęły decydować o swoim najbliższym otoczeniu, regiony zaczęły projektować swój rozwój. Jednak nadal istnieją sektory z tym archaicznym, scentralizowanym modelem zarządzania, obserwujemy wręcz powrót do modelu, w którym państwo będzie za nas urządzać nasz dom, w tym naszą energetykę.

Wiadomo, że dom zarządzany przez ten rząd nie jest zbyt zielony. Jak konkretnie ma wyglądać konieczna transformacja, aby nie tylko zmienić system energetyczny, ale też, żeby dzisiejsi górnicy i lokalna społeczność mogli się odnaleźć w innej sytuacji?

– Fakty są takie: w polskim sektorze odnawialnych źródeł energii w 2018 r. pracowało 86 tys. osób – to są dane Eurostatu – a w polskim górnictwie węgla kamiennego pracuje 83 tys. ludzi. To teraźniejszość, natomiast co do przyszłości istnieją różne opracowania – choćby raport „(R)ewolucja Energetyczna dla Polski” Greenpeace Polska – z których wynika, że do 2030 r. w sektorze efektywności energetycznej i OZE w Polsce może powstać co najmniej

100 tys. miejsc pracy. Inne badania, przeprowadzone przez Instytut Energetyki Odnawialnej, pokazują, że ok. 80% Polek i Polaków jest zainteresowanych inwestycjami w OZE w modelu prosumenckim, jeśli będą odpowiednie ramy prawne i wsparcie finansowe, a prawie 70% Polaków pod koniec 2018 r. było za odejściem Polski od węgla do 2030 r.

Ta przemiana dotyczy jednak systemu energetycznego na obszarze całego kraju, a miejsca pracy w sektorze OZE niekoniecznie powstaną na Śląsku. Jak górnicy reagują na te proklimatyczne argumenty i działania?

– Jako radny miasta Katowice jestem m.in. członkiem komisji górniczej. W ub.r. organizowaliśmy wyjazdowe posiedzenie komisji w jednej z katowickich kopalń. Kiedy szedłem na to posiedzenie, usłyszałem od grupy górników słowa: „To ten człowiek, który chce zamknąć nasze kopalnie”. Podeszedłem do nich i mówiłem: „Ja nie chcę zamknąć kopalń, tylko chcę dla was lepszej, zdrowszej i bezpieczniejszej pracy”. Oni na to: „Ale my nic innego nie umiemy”. Zapytałem więc: „Znacie się na stolarce? Znacie się na hydraulice? Znacie się na elektryce? Znacie się na obsłudze maszyn?”. „No tak, znamy się”. To mówię im: „Dwie przecznice stąd jest centrum szkoleniowe, gdzie możecie zdobyć certyfikat na kompetencje, które macie. A gdy będziecie mieć papiery, będziecie mogli znaleźć pracę w sektorze OZE”. Byli zaskoczeni, że jest taka alternatywa, że mogą znaleźć jakąś pracę w innym sektorze.

A miejsca pracy poza sektorem OZE – bo ten mimo wszystko nie jest specyfiką Śląska.

– Regionem partnerskim województwa śląskiego jest niemiecki kraj związkowy Nadrenia Północna-Westfalia. Wspominam wizytę studyjną w 2015 r. w Niemczech, gdzie górnicy bez większych problemów znajdowali pracę w branży mechatroniki, a na mechatronice stoi cały sektor *automotive* (produkujący m.in. wiele niezbędnych części do aut, takich

Już przed pandemią górnictwo węgla kamiennego znajdowało się w fazie schyłkowej, rząd powinien to górnikom jasno powiedzieć.

jak nadwozia, fotele, zagłówki czy opakowania transportowe – przyp. aut.), a my na Śląsku mamy analogicznie dużą koncentrację przemysłu *automotive* w Katowickiej Specjalnej Strefie Ekonomicznej. Stąd wniosek, że należy wspierać powstawanie nowych miejsc pracy w branży *automotive* i szkolić, czy też doszkalać, górników, aby mogli przechodzić do nowych sektorów.

Jednak taka oferta nie stworzy się sama, a już na pewno nie w czasach pandemii. Miejsca pracy też nie – potrzebne są pomysły, przedsiębiorstwa, pieniądze. I chyba też trochę centralnego planowania?

– Istnieje koncepcja tzw. sprawiedliwej transformacji energetycznej, gdy jedno źródło energii zastępuje drugimi. OZE w ostatnich latach stale tanieją, a inwestycje w przydomowe elektrownie fotowoltaiczne – czy to z dotacjami, czy bez – zwracają się przez pięć do ośmiu lat. To już działa. Cały problem sprawiedliwej transformacji polega na tym, aby nikogo po drodze nie krzywdzić. Dlatego w jej centrum jest człowiek – jako indywidualność, jako społeczność lokalna w małej ojczyźnie. Aby sprawiedliwie kształtować ten proces, potrzeba planu i dialogu zgodnie z zasadami solidarności społecznej. Musimy usiąść do stołu i przedstawić plan likwidacji kopalń i energetyki produkowanej ze źródeł kopalnych. Nie oznacza to, że z dnia na dzień zamykamy kopalnie i elektrownie węglowe, ale że wyznaczamy pewną datę, od której polska gospodarka będzie działać, korzystając z OZE i od kiedy nie będzie wykorzystywać węgla – zarówno w energetyce, w ciepłownictwie, jak i w rolnictwie i w transporcie. Dzisiaj ten dialog jest formalny i nadmierne ustrukturyzowany – to Zespół Trójstronny ds. Branży Energetycznej czy Wojewódzka Rada Dialogu Społecznego. Nie ma w tym elastyczności i możliwości dyskusji. My raczej potrzebujemy czegoś takiego jak okrągły stół.

A jaką datę, ambitną i mądrą jednocześnie, zaproponowałby pan podczas takich obrad okrągłego stołu?

– Im szybciej, tym lepiej. Ale wszystko zależy od pieniędzy. Z najnowszego raportu firmy doradczej McKinsey wynika, że dla Polski, aby

do 2050 r. osiągnęła neutralność klimatyczną w ramach dekarbonizacji gospodarki, niezbędne nakłady podczas następnych 30 lat opiewają na 380 mld euro. Według mnie, jako aktywiści, kopalnie powinniśmy zamknąć do 2030 r., wówczas znaczna część naszego miksu energetycznego powinna pochodzić ze źródeł odnawialnych. Unia Europejska, ogłaszając Europejski Zielony Ład jako strategię polityki klimatycznej, zaprojektowała mechanizm sprawiedliwej transformacji. Na początku było to 7,5 mld euro dla całej Unii, teraz to 40 mld euro, a Polska może liczyć na 8 mld euro, przy czym UE wymaga terytorialnych planów sprawiedliwej transformacji.

Jeśli właściciel kopalń nie zapewni ludziom przekwalifikowania i utworzenia nowych miejsc pracy poza górnictwem, na Śląsku mogą wybuchnąć gwałtowne protesty społeczne.

Między 8 mld a 380 mld euro jest kolosalna różnica.

– To zawsze kwestia dyskusyjna, czy wsparcie Unii to wystarczająco dużo pieniędzy, czy nie. I tak zawsze wymaga to zaangażowania środków ze strony rządów, samorządów i przedsiębiorców. Z tymi ostatnimi rozmawia się łatwiej, jeśli wiedzą, na czym stoją – mają jasną sytuację prawną, a jednocześnie zachętę ze strony państwa – czy to dotacje, czy też kredyty. Trzeba zatem siąść do stołu i rozmawiać o rozwiązaniach alternatywnych.

Czy gdyby Andrzej Duda wygrał wybory, rząd ogłosił alternatywę? Taką, że należy zamykać kopalnie i inwestować w nowe sektory? Przecież

PiS miałoby wówczas trzy lata samodzielnego rządzenia, usprawiedliwienie w postaci kryzysu i wymogów unijnych, a ponadto po swojej stronie sporą część Polaków, którzy mają dość węgla i problemów górnictwa?

– Jeśli wybory wygra Andrzej Duda, nic się nie zmieni. Z dotychczasowej polityki wynika, że rząd chce konserwować gospodarkę w obecnym stanie, nie

ma długofalowego i progresywnego podejścia. W tej narracji neutralność klimatyczną stawia się w opozycji do utrzymywania miejsc pracy, a węgiel to czarne polskie złoto i skarb, o który musimy dbać. Ale to nie jest poważne traktowanie zobowiązań międzynarodowych, które Polska podjęła. W 2015 r. w porozumieniu paryskim zobowiązaliśmy się do działań na rzecz neutralności klimatycznej. W grudniu 2019 r. przywódcy UE zatwierdzili cel polegający na osiągnięciu przez Unię neutralności klimatycznej do 2050 r. My jako jedyny kraj UE nie zgodziliśmy się na nią. Polski rząd ryzykuje bardzo dużo, w tym utratę środków na transformację. W nowych wieloletnich ramach

finansowych UE wyraźnie wskazuje, że gospodarka po pandemii ma zostać przedstawiona na nowe zielone tory. Polski rząd jednak nie zdaje sobie sprawy, że ten zielony europejski pociąg odjeżdża, a my nie zamierzamy do niego wsiąść, co przyniesie szkodę mieszkańcom tego regionu i generalnie Polakom. Jeśli wybory wygra opozycja, to mam nadzieję, że coś się zmieni na lepsze.

Dla Ślązaków, nie tylko górników, czasy są wyjątkowe: ryzyko zakażenia Sars-CoV-2 jest większe niż w reszcie kraju, Czesi zamykają granicę dla Ślązaków, część polskich hotelarzy nie chce przyjąć śląskich gości. Czy to skłoni Ślązaków do akceptacji zmian w energetyce węglowej?

– Mam głęboką nadzieję, że pandemia pozwoli Ślązakom przemyśleć wiele spraw i uruchomi proces mądrego restartu. Liczę, że racjonalni Ślązacy rozumieją, że zielona transformacja gospodarki, Europejski Zielony Ład i Sprawiedliwa Transformacja są ogromną szansą rozwojową, a przebudowa regionalnej gospodarki, tworzenie nowych miejsc pracy w sektorach pozagórnictwa przyspieszy. Wtedy my, nasze dzieci i przyszłe wnuki, będziemy korzystać z czystego powietrza, czystej wody i czystej ziemi.

Jan Opiełka

Panu

Włodzimierzowi Czarzastemu

Wicemarszałkowi Sejmu IX kadencji,
Przewodniczącemu Sojuszu Lewicy Demokratycznej
wyrazy głębokiego współczucia

z powodu śmierci OJCA

składa

Jacek Majchrowski
Prezydent Miasta Krakowa



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Obejrzałem debatę prezydencką na żywo, z emocjami kibicowskimi, ba, żaden mecz dawno nie sprawił, że tak przygryzałem paznokcie. To miało być polityczne Wembley, mecz wyjazdowy w jaskini lwa, na terenie pyszałkowatego faworyta, któremu sprzyjać miały ściany i stronnictwo sędziowskie. Co więcej, oglądałem to z Żoną, której emocje się udzieliły i z którą w trakcie programu reagowaliśmy jednakowo, a po jego zakończeniu wyciągnęliśmy zgodne wnioski. Muszę tu dodać, że z Żoną przekomarzamy się, a nawet kłócimy o każdy wspólnie obejrany mecz (przekornie zawsze kibicuje tym drugiemu), film (nawet jeśli oboje zasnęliśmy na nim z nudów, kłócimy się choćby o to, kto pierwszy zasnął), o prognozach pogody nie wspominając (Żona pyta, jak dziś będzie, a kiedy odpowiadam, że upalnie, zakłada ciepłe palto itd.) – podejrzewam, że wieczny spór jest paliwem naszego małżeństwa. Jednomysłność podczas wieczoru spędzonego z telewizją publiczną? Ho ho! Barwna fantazja, dość nawet perwersyjna, ale wysoce nieprawdopodobna – telewizja publiczna gości w naszym domu równie często jak książka po koleżdzie, czyli nigdy (raz się zdarzyło, że krewki

nych, rozdziale państwa i Kościoła, otwarciu granic na uchodźców – jak o rzeczach oczywistych. Szło mu tak dobrze, że Jacek Kurski napuścił na niego swojego nano-drona w kształcie muchy, ale nawet wobec tak nieczystego zagrania Witkowski pozostał niewzruszony. Bravo, chcę tego pana w polskiej polityce na dłużej.

Miała być debata polowaniem na Rafała Trzaskowskiego i trzeba przyznać, że swojej funkcji nie spełniła. PiS z uporem maniaka chce wyciągnąć od Trzaskowskiego deklaracje w sprawie LGBT, a on wraz ze swoim sztabem te zaczepki konsekwentnie ignoruje. Czyny w ten sposób bardzo sprytnie, bo obsesyjnie chcąc zmusić go do reakcji, kaczyński jęli się posuwać do retoryki tak haniebnej, dehumanizującej, przedpogromowej, że aż się świat – słusznie – oburzył, a ambasador USA nawet pokikiwała palcem z naganą. W efekcie, chcąc pozyskać brakujące parę procent radykałów, Duda zagalopowany w homofobii może stracić co najmniej tyle samo umiarkowanych konserwatystów, dla których taka retoryka to już wyjazd poza bandę. Kaczyński dla swej marionetki nic nie zyska, lecz przyczyni się do bardzo niebezpiecznego zatrucia społeczeństwa, wkraczając w kolejny

Jedenastka roku

ministrant pomylił piętra, a wtedy stanowczo skorygowałem jego ścieżkę tak, by mógł dotrzeć do sąsiadów i nie maziać nam kredą po drzwiach).

Takiej okazji do kłótni, jak prezentacja jedenastu opcji politycznych zmarnować byłoby nam trudniej niż Lewemu jedenastkę. A tu proszę: pełna zgoda. Ten błado, ów bładziej, tamten, co się miał zbłaźnić, zabrzmiał niegłupio, inny, który miał być rzeczowy, gadał od rzeczy, zgoda między nami była dość chybotałiwa i już gotowałem się na srogą utarczkę, dopóki nie usłyszeliśmy tego, który skradł *show*. Dołączył nadprogramowo jako ostatni, numer 11 w stawce, i zauroczył. Waldemar Witkowski zachwylił mnie pospołu z Żoną i – jak sprawdziłem w sieci – olbrzymią częścią naszej „bańki”. Jak westernowy przybysz znikąd, który wpada w środek intrygi i robi porządek. Zachwylił, bo jako jedyny nie kalkulował – może dlatego, że i tak na nic by mu się to nie zdało, na 10 dni przed wyborami nowy kandydat z okofazerowym poparciem nie ma szans zebrać głosów na drugą turę. Zachwylił jako człowiek, który wie, że zawsze warto być przyzwoitym, choć nie zawsze się to opłaca (w polskiej polityce nigdy). Głosił tedy ze stoickim spokojem poglądy cywilizowanego człowieka. Nie wiał się jak piskorz w sieci zastawionej przez funkcjonariuszy propagandy rządowej, co to mieli złowić głównego kandydata opozycji i wystawić na widok ludu jako antychrysta, filosemity, rzecznika dewiantów seksualnych, któremu patronuje przedwieczna bestia: Baruch Spinozaur.

Waldemar Witkowski oczarował bańkę lewicową, bo dowiódł, że polityk może odpowiadać merytorycznie, z zachowaniem spokoju na najbardziej nawet kuriozalne pytania, może bez lęku, bez wiecowej spiny mówić o równouprawnieniu par homoseksual-

etap zbrodni, zwanej na świecie genocydem. Wedle badaczy zjawiska ludobójstwo jest bowiem zbrodnią wieloetapową: składają się nań klasyfikacja, symbolizacja, dehumanizacja, organizacja, polaryzacja, eksterminacja i zaprzeczenie. Kluczowy dla wywołania tragicznych skutków jest tu etap dehumanizacji. Dlatego oficjalne wypowiedzi polityków obozu władzy odczłowieczających ludzi LGBT wprost, winny być traktowane jak przestępstwo i natychmiast skutkować pozbawieniem immunitetu oraz procesem karnym. Nie ma takiego kontekstu, z którego można wyrwać zdanie „To nie są ludzie”, tak by wypaczyć jego sens – bez względu na kontekst i drugi człon zdania, słowa ułożone w tej kolejności: „to-nie-są-ludzie” są słowami zbrodniczymi. Na etapie dehumanizacji wprzęgniętej do oficjalnej propagandy obozu władzy instynktowna ludzka niechęć do przemocy może zostać nasyciona nienawiścią. Pojedyncze, spontaniczne akty przemocy dojrzewają w kierunku ludobójstwa na etapie organizacji. Mokre sny naczków o tym, by na legalu móc wyrzynać lewactwo, jeszcze ciągle się nie ziściły, ale i ten legal można im obiecać, jeśli kampania nie pójdzie po myśli władzy.

Można zapytać, po co to wszystko, po co posuwać się do takich łajdactw jak odczłowieczanie mniejszości celem pozyskania nikłej przewagi wyborczej, skoro kaczyński i tak władzy nie oddadzą. Przecież nie było w historii III RP wyborów przegranych przez Kaczyńskiego, których by on nie uznał za sfałszowane. Tylko że wtedy nie miał władzy, by ten rzekomy fałsz usankcjonować prawnie. Będzie więc tak, jak prezes zechce: albo wygra Duda, albo wyborów się nie uzna. Nic się nie zmieni. Tylko napiętnowani „nie-ludzie” LGBT już nie będą mieli dokąd uciec przed pogromem.

Ocieramy się o siebie w szatniach

W magazynach DHL w Sochaczewie wykryto duże ognisko COVID-19. Członkowie rodzin chorych pracowników nie mogą doczekać się na testy



Pacjenci trafiający na SOR Szpitala Powiatowego w Sochaczewie są weryfikowani w specjalnym namiocie.

Beata Igielska

Koleżanka, która jest w ciąży, fatalnie się poczuła. Natychmiast zgłosiła się do lekarza, wykryto u niej COVID-19. Dalej poszło błyskawicznie – relacjonuje jedna z pracownic DHL w Sochaczewie, nazwijmy ją Dorota. – 5 czerwca miałam zrobiony test, wynik pozytywny. Nie wiedząc jeszcze o chorobie, pożyczyłam od teścia samochód. Infekcję przeszedłam lekko: przez dwa dni temperatura 37,5 st. i ból całego ciała. Parę razy zakaszałam, parę kichnęłam. Ale teść zaraz po mnie jechał tym samochodem. Co za ironia losu: nigdzie z teściową nie wychodzili, bo obydwójce są schorowani, podstawialiśmy im zakupy pod drzwi, nasze dzieci nie kontaktowały się z nimi. I to nieszczone auto. Kiedy się okazało, że jestem chora, teść pojechał do szpitala na wymaz, żeby przyspieszyć sprawę. Wynik pozytywny. On, w przeciwieństwie do mnie, przechodzi chorobę bardzo ciężko. Gorączka 39,5 st. i taki ból

mięśni, jakiego w życiu nie doświadczył. Po dwóch dniach temperatura skacząca: od 35,5 st. do 39 st. Kolejnej nocy zaczął się dusić, akurat w swoje 70. urodziny. Karetka zawiozła teścia do Zespołonego Szpitala Wojewódzkiego w Płocku.

Teść Doroty był być może ostatnim pacjentem z COVID-19 leczonym na oddziale zakaźnym w tym mieście. 17 czerwca na podstawie decyzji wojewody mazowieckiego covidowi pacjenci z Płocka leczeni na oddziale zakaźnym zostali przewiezieni karetkami do Warszawy. Uzasadnienie: sporadyczne przypadki zachorowań w regionie. Biorąc pod uwagę rozległość ogniska w DHL, gdzie pracują ludzie z trzech powiatów: sochaczewskiego, gostynińskiego i płockiego, brzmi to jak ponury żart.

Biuro prasowe wojewody mazowieckiego wyjaśnia, że taka decyzja nie zdejmuje ze szpitala obowiązku przyjmowania chorych z potwierdzonym rozpoznaniem SARS-CoV-2 lub podejrzeniem zakażenia. Dodaje, że decyzje podejmowane są w zależ-

ności od sytuacji epidemiologicznej na Mazowszu.

Marek Budny, zastępca dyrektora ds. leczenia Szpitala Wojewódzkiego w Płocku: – Ostatnio mieliśmy jednego-dwóch pacjentów z COVID-19. Wojewoda odwołał więc polecenie z 12 marca, na podstawie którego mieliśmy przygotować oddział zakaźny na przyjęcie większej liczby pacjentów zakażonych koronawirusem i zabezpieczyć respiratory oraz miejsca na pozostałych oddziałach. Dlatego pacjent znalazł się w Warszawie. O tyle dobrze, że tam mają przydział leków, które do nas jeszcze nie trafiły.

Mieszkaniec Płocka: – Głupszej decyzji wojewoda Radziwiłł podjąć nie mógł. Zachorowań może było mało, ale przecież w naszym mieście jest duży zakład produkcyjny Orlenu. Wystarczy mała isierka, żeby zrobiło się wielkie ognisko chorób, jak to jest w Sochaczewie.

Gdzie są testy?

6 czerwca w DHL Exel Supply Chain Sochaczew przeprowadzono badania przesiewowe pracowników. Zgłosiło się na nie 716 osób, czyli 93,5% zatrudnionych.

Joanna Narożniak, rzeczniczka prasowa Mazowieckiej Inspekcji Sanitarnej, podaje dane z 18 czerwca za stacją epidemiologiczną w Sochaczewie. – Aktualnie jest 49 przypadków potwierdzonych laboratoryjnie. Liczba ta dotyczy pracowników magazynów DHL, firm współpracujących i ich rodzin.

Z kolei powiatowy inspektor sanitarny w Gostyninie poinformował 17 czerwca, że w izolacji domowej na terenie powiatu przebywa dziewięciu pracowników DHL w Sochaczewie. Ich stan zdrowia jest na tyle dobry, że wystarcza stały kontakt z lekarzami podstawowej opieki medycznej.

Ludzie z miejscowości, w których mieszkają zakażeni, opowiadają, że członkowie rodzin byli widywani na zakupach. Dziwne, bo u Doroty policja kilka razy na dobę sprawdza, czy siedzą w domu. Zresztą i bez tych wizyt nie łamałoby kwarantanny, bo są odpowiedzialni.

Drugi test wyznaczono Dorocie na 18 czerwca. Kobieta zdaje sobie sprawę, że nawet jeśli nie ma już

objawów, wciąż może być nosicielką wirusa. Gorzej sprawa ma się z testami jej męża, dzieci i teściowej obarczonej poważną chorobą autoimmunologiczną. 12 lub 13 czerwca wyznaczono im termin pobrania wymazów. Tymczasem jest 17 czerwca, a wymazobusu jak nie było, tak nie ma. Kwarantanna kończy się wszystkim 19 czerwca. Ostatnie wieści są takie, że ich testy mają być zrobione razem z Dorotą, czyli 18 czerwca. – Może nie chcą dwa razy w to samo miejsce posyłać wymazobusu? – zastanawia się kobieta. – Dyspozytor z sanepidu powiedział, że zapotrzebowania na testy zlecają do Warszawy. Zapewnił, że płocki sanepid to zrobił, ale nic się nie dzieje.

Mimo istnienia ogniska koronawirusa w Sochaczewie wojewoda Radziwiłł zdecydował, że pacjenci z COVID-19 zostali z Płocka zabrani do Warszawy.

Romuald Ostrowski, inspektor płockiego sanepidu, potwierdza tę wersję. – Raz na zawsze chciałbym skończyć z medialnym mitem, że sanepid wykonuje testy. Otóż nie wykonuje. Nasza rola kończy się na zgłoszeniu do systemu elektronicznego daty, nazwiska i adresu osoby do testowania. Koordynator rozsyła te dane do firm dysponujących wymazobusami, z którymi wojewoda podpisał umowę. Wciąż odbieram telefony od zdenerwowanych ludzi, którzy bardzo długo czekają na testy. Wymazobusy podejżdżają zarówno o godz. 1 w nocy, jak i o 4 rano. Mają bardzo dużo zleceń i dlatego są opóźnienia.

„Mieli być dwa dni temu u mnie i jakoś nie mogą dojechać – pisze na jednym z sochaczewskich forów internetowych Nieznany. – A pani w sanepidzie każe cierpliwie czekać”.

Teściowa Doroty powoli zaczyna wątpić w istnienie tych testów: – Najwyraźniej nie mają ich, bo jak inaczej mam rozumieć mądrą radę pani z sanepidu, żebym przy moim schorzeniu nie czekała na wymazobus, tylko wsiadała w auto i jechała do szpitala na wymaz. Przypomnę, że mąż jest w szpitalu, ja nie prowadzę samochodu. Syn i synowa na kwarantannie. Przyjaciele i dalsza rodzina z wiadomych względów mnie nie zawiozą. Pozostaje hulajnoga.

Rodzina Doroty to tylko kolejne liczby w Excelu. Za nimi kryje się ludzki dramat. Ale kogo to obchodzi?

Co się dzieje w DHL?

Na lokalnych forach trwa dyskusja o sytuacji w DHL. „A to jest normalne, kiedy ocieramy się o siebie w szatniach? I co z tego mierzenia temperatury, jak niektórzy mają temperaturę trupa? I to są dobre termometry? Powinni zakład zamknąć, bo nic nie da maseczka czy rękawiczki jak do tej pory”. „Może wreszcie za czystość trzeba się zabrać tam, a nie jedna szmata na cały magazyn”. „Przecież tam nikt nie przestrzegał żadnego reżimu sanitarnego, ludzie

oficjalne komunikaty Powiatowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej w Sochaczewie, Ministerstwa Zdrowia, WHO oraz Głównego Inspektora Sanitarnego i w razie konieczności podejmujemy stosowne działania. Budynek został kilkakrotnie dodatkowo dezynfekowany oraz poddany ozonowaniu. Wszystkie przesyłki, dostawy i zamówienia realizowane z magazynu były i są bezpieczne, a centrum dystrybucyjne działa bez żadnych zakłóceń.

10 czerwca DHL wyjaśnił, że przypadki zakażenia koronawirusem w lokalizacji w Sochaczewie dotyczą Supply Chain, wyspecjalizowanej w logistyce magazynowej, nie DHL Parcel, czyli firmy, która dostarcza przesyłki.

Jaka pandemia?

Najwięcej, 599 przypadków zakażenia koronawirusem, potwierdzono 8 czerwca. 17 czerwca Ministerstwo Zdrowia poinformowało o 506 nowych przypadkach oraz o śmierci 14 osób. Zdaniem rzecznika resortu „na wyniki z 17 czerwca rzutują zamknięte ogniska w województwie mazowieckim i województwie łódzkim. W mazowieckim jest to między innymi baza firmy kurierskiej pod Warszawą”.

Mimo niepokojących statystyk 30 maja rozpoczął się czwarty etap luzowania obostrzeń. W przestrzeni otwartej obowiązkowe jest zachowanie dwumetrowego dystansu, ale bez konieczności zakrywania ust i nosa. W sklepach, urzędach,

Sanepid nie wykonuje testów. Jego rola kończy się na zgłoszeniu pacjentów do elektronicznego systemu.

do obiektu mierzona jest temperatura, a pracownicy zaopatrywani są w jednorazowe rękawice i maseczki ochronne, których bezwzględnie muszą używać przez cały dzień pracy. Każdy z pracowników ma dostęp do środków dezynfekcyjnych, zachowane są bezpieczne odległości, jak również ustalone zasady korzystania z ciągów komunikacyjnych i miejsc wspólnych. Cztery zmiany są od siebie odseparowane, a podczas przerw dezynfekowane są powierzchnie wspólne oraz narzędzia pracy. Na bieżąco monitorujemy

punktach gastronomicznych, kościołach nie obowiązują limity osób w zależności od powierzchni lokalu, ale trzeba zakrywać usta i nos. Dozwolone są też zgromadzenia na powietrzu i wesela do 150 osób. Otwarto kina, teatry, salony masażu, solaria, siłownie i kluby fitness. Dyskoteki i kluby pozostają zamknięte.

17 czerwca w sklepie spożywczym na warszawskim Żoliborzu mężczyzna kaszle i smarcze naokoło. Bez maseczki. Na zwróconą uwagę, by zakrywał usta, reaguje lekceważeniem, a nawet drwiną. ■

Mateusz Mazzini

Dyplom z internetu

Pandemia przeniosła edukację wyższą do sieci – w wielu przypadkach możliwe, że na zawsze

Choć koronawirus szybko pozamykał restauracje w Stanach Zjednoczonych, niektóre z nich dość niespodziewanie zaczęły odgrywać nową rolę. Wprowadzenie masowej izolacji i przymusowej kwarantanny wyгнаło studentów z kampusów i sal wykładowych z powrotem do domu, a zajęcia przeniosło do przestrzeni wirtualnej. Okazało się jednak, że nawet w USA, gdzie szkolnictwo wyższe jest znacznie bardziej zdigitalizowane niż w innych częściach świata, przejście na zdalne nauczanie nie było takie proste. Również dlatego, że wyprowadzka z akademika często była dla studentów tożsama z utratą dostępu do internetu.

Parkingi pod restauracjami McDonald's i Burger King oraz innych sieci fastfoodowych, które, choć zamknięte, nadal miały włączone darmowe sieci bezprzewodowe, w wielu miejscach zapełniły się samochodami młodych ludzi. Nie przyjeżdżali tam oni po jedzenie, ale po dostęp do internetu, żeby wysłuchać wykładu

cie – koszty przestaną się bilansować z wydatkami. Jeśli bowiem władze uczelni otworzą ponownie sale wykładowe, będą musiały zapewnić środki bezpieczeństwa sanitarnego. Nie chodzi tu tylko o maseczki czy płyny do dezynfekcji, ale przede wszystkim o nieporównywalnie droższe regularne testowanie studentów i pracowników, najpewniej nie rzadziej niż raz w tygodniu. W USA pandemia wciąż nie wyhamowuje, w chwili powstawania tego artykułu trzy stany – Arizona, Floryda i Teksas – właśnie rejestrowały najwyższe od początku marca liczby zachorowań. Nie ma zatem przesłanek, żeby myśleć, że za kilka miesięcy, kiedy rozpocznie się nowy rok akademicki, populacja studencka będzie na tyle zdrowa, żeby jej nie badać.

chałyby tysiące studentów z całego kraju, czasami nawet całego świata. Każdy z nich mógłby być nosicielem COVID-19. Powrót do fizycznego nauczania stanowi więc ryzyko, którego być może wiele uczelni nie odważy się ponieść.

Koszty odmrożenia byłyby bowiem szokujące. Christopher Newfield, profesor ekonomii na Uniwersytecie Kalifornijskim, wylicza, że cotygodniowe testowanie całej populacji studentów i pracowników mogłoby zabić nawet takiego publicznego giganta jak jego uczelnia. Rozbita na aż 23 osobne jednostki dydaktyczne rocznie edukuje ponad 5% wszystkich amerykańskich studentów. Gdyby wszyscy zdecydowali się na powrót do sal wykładowych, całkowity koszt regularnego ich testowania przez najbliższy rok akademicki wyniósłby prawie miliard dolarów, wylicza Newfield. Rektor uczelni, prof. Timothy White, już teraz zapowiedział, że kwota ta znacząco przekracza możliwości finansowe uczelni. W zawaalowany sposób dał zatem do zrozumienia, że wszyscy jesienią na kampus na pewno nie wrócą.

Oczywiście można nauczanie na stałe przenieść do sieci. Harvard już podjął decyzję, że w nowym roku akademickim zdalna edukacja będzie się odbywać na sześciu z 12 wydziałów. Z fizycznego nauczania zupełnie zrezygnowało brytyjskie Cambridge, połowę zajęć w internecie zrealizuje też prestiżowa paryska Sciences Po. Zdalne wykłady nie są zresztą wymysłem czasów pandemii – nawet na wspomnianych oddziałach Uniwersytetu Kalifornijskiego co czwarty z 482 tys. studentów przynajmniej jeden kurs w roku realizuje w całości online.

Jeśli jednak zdalne nauczanie miałoby trwać cały najbliższy rok, należy postawić pytanie, jak studentów cyfrowych porównywać z tymi, którzy część zajęć zdążyli wcześniej odbyć w kampusach. Zwłaszcza

Wirtualna uczelnia zapewni studentom bezpieczeństwo, ale kosztem bezcennych doświadczeń życiowych.

czy wystać pracę zaliczeniową. I nawet jeśli im się to udawało, jeśli mimo problemów finansowych, technicznych i mentalnych zakończyli ten semestr z sukcesem, ostatnie kilka miesięcy trwale odcisnęło się na ich ścieżce edukacyjnej. Pandemia zabrała im bowiem w tym roku nie tylko fizyczne uczestnictwo w zajęciach, ale też społeczne aspekty przebywania na uczelni – od bliskich znajomości i sportowej rywalizacji do spraw dużo bardziej fundamentalnych, jak dach nad głową i gwarancja regularnych posiłków.

Według amerykańskiego portalu Chronicles of Higher Education, zajmującego się tematami oświaty i szkolnictwa wyższego, bankructwo z powodu koronawirusa może ogłosić nawet sto prywatnych uczelni w całych Stanach Zjednoczonych. Bez względu na to, czy zdecydują się na powrót studentów na kampusy. W obu scenariuszach – powrocie do nauczania fizycznego i pozostawieniu sporej części kursów w interne-

Zwłaszcza że w Stanach Zjednoczonych, ale też w wielu krajach europejskich, rozpoczęcie studiów to często przełomowy moment życia. W USA na czteroletni program studiów pierwszego stopnia zapisanych jest w tej chwili 10,9 mln osób, jak podaje tamtejszy Departament Edukacji. Aż 83% z nich uczy się poza miejscem stałego zamieszkania. Innymi słowy, ponad ośmiu na dziesięciu amerykańskich studentów opuszcza dom rodzinny, żeby otrzymać dyplom. Powody ku temu są różne – od warunków socjalnych przez stypendia naukowe i sportowe po dostępne kierunki studiów i wielkość wybranego college'u. Wyjazd na studia to zatem skok w dorosłość. Niesie konieczność socjalizacji w nowym otoczeniu, często stanowi wyzwanie w przełamywaniu stereotypów rasowych czy płciowych. W kontekście szalejącej pandemii oznacza on jednak fakt znacznie bardziej prozaiczny. We wrześniu i w październiku do kampusów zje-



Zdalne zakończenie nauki na wydziale pielęgniarstwa na Uniwersytecie Stanowym w Ohio, 2 maja 2020 r.

jeśli chodzi o czesne. Nie da się bowiem ukryć, że fizyczna obecność w salach wykładowych to znacznie szerszy „pakiet usług” sprzedawany przez uczelnie. Oferuje on bliską interakcję z resztą studentów i z kadrą nauczycielską, dostęp do źródeł i zasobów naukowych, członkostwo w bractwach, stowarzyszeniach i klubach sportowych. Sieć tego wszystkiego nie zapewni. Nie mówię o samym prestiżu przebywania na zabytkowych terenach uczelni, czy studiowania w bibliotekach i laboratoriach, z których korzystali prezydenci i nobliści.

Dlatego coraz więcej uczelni, zarówno w USA, jak i w Europie Zachodniej, poważnie bierze pod uwagę możliwość wprowadzenia dwutorowego systemu rekrutacji – dla studentów chcących przebywać w gmachach uniwersytetów, oraz dla tych, którym wystarczy wykład na Skypie czy Zoomie. Oczywiście wiązałoby się to z dwiema taryfami opłat. Ci, którzy przez całą ścieżkę edukacyjną przeszliby wirtualnie, płaciliby mniej, bo nie korzystają z akademików, nie zużywają materiałów naukowych, nie trzeba by ich też testować na obecność COVID-19. „Fizyczny” dyplom z kolei stałby się jeszcze droższy, a tym samym zapewne bardziej ekskluzywny i prestiżowy niż dotychczas. Oznaczałby

bowiem nie tylko to, że studenta stać na opłacenie nauki, ale też, że nie boi się choroby, co najpewniej wiąże się z kosztownym ubezpieczeniem medycznym.

Patrząc na problem z drugiej strony, można dostrzec pozytyw. Włączenie kursów w całości zdalnych do oferty najlepszych uniwersytetów to możliwość szerokiego przekazywania wiedzy. Prof. Michał Kosiński, wykładowca amerykańskiego Uniwersytetu Stanforda, jest zdania, że pod tym względem pandemia może się okazać wielkim wyrównywaczem.

W całości zdalne kursy w ofercie najlepszych uniwersytetów to dla wielu szansa na dobry dyplom.

„Podczas normalnego roku akademickiego jestem w stanie wyuczyć, powiedzmy, 200 studentów. Co, jeśli przenieśliśmy się w całości do sieci, i mógłbym wyuczyć ich dziesięć razy więcej?”, zauważył podczas majowej, oczywiście zdalnej, debaty o skutkach COVID-19, zorganizowanej przez Collegium Civitas.

Szkółą wyższą to jednak nie tylko miejsce nauki. I choć samą wartość edukacyjną w mniejszym lub większym stopniu da się przenieść do sieci, brak możliwości wyjazdu na studia w krajach takich jak Wielka Brytania czy USA może uderzyć

w mobilność społeczną. Zwłaszcza za oceanem uczelnie, poprzez oferowane stypendia, dla utalentowanej młodzieży często bywają jedyną szansą na wyrwanie się z systemowej wręcz biedy i przebicie szklanego sufitu. Wspominają o tym chociażby uczelniani sportowcy, którzy za cenę utrzymania statusu amatorów otrzymują od szkół miejsce w akademiku, zwolnienie z czesnego i posiłki w uczelnianych kantynach. A przede wszystkim szansę na edukację i doradztwo mentorów. Wygnani do domu przez pandemię tracą

całą tę sieć wsparcia. Z tego punktu widzenia trudno więc mówić o wielkim wyrównaniu, raczej o pogłębianiu istniejących już nierówności.

Choć pandemia wcale się nie zatrzymała, świat stara się ją oswajać, przynajmniej mentalnie. Widać jednak już teraz, że będziemy musieli się przyzwyczaić nie tylko do wirusa, ale też do większej niż wcześniej aktywności w sieci. Wirtualna uczelnia zapewni nam wprawdzie bezpieczeństwo, ale kosztem bezcennych doświadczeń życiowych. Ile wówczas tak naprawdę będzie wart nasz dyplom? ■

Komu wystawić rachunek za protesty po śmierci George'a Floyda

W amerykańskiej gospodarce dominuje akcjonariusz i spekulant, stąd rozdzęty sektor finansowy i rynek kapitałowy

Tadeusz Klementewicz

We wszystkich społeczeństwach dotkniętych pandemią COVID-19 ludzie przeżywają traumę niepewności losu, załamania dotychczasowych praktyk codziennego życia. Zdarzają się, jak w Polsce, protesty uliczne, np. miniprzedsiębiorców, którym pandemia i restrykcje z nią związane unieruchomiły ich biedabiznesy. W USA tło przyczynowe musi zawierać jakieś dodatkowe okoliczności, gdyż to one odpowiadają za ostrość reakcji społecznej na zabójstwo Afroamerykanina przez policjanta.

Przyczyny socjoekonomiczne

Współtę w zespół politycy amerykańscy, ekonomiści katedralni i bankowi przy wtórze medialnych trąb wdrożyli wyczynowy model kapitalizmu. Recepturę przygotowaną przez neoklasycznych ekonomistów wdrażali sukcesywnie kolejni prezydenci: odejście w 1971 r. od systemu Bretton Woods, w konsekwencji utrata kontroli nad przepływem kapitału (Richard Nixon), reformy podatkowe (Ronald Reagan), zniesienie ustawy Glassa-Steagalla, która oddzielała bankowość handlową od inwestycyjnej (Bill Clinton). Skutek – w amerykańskiej gospodarce dominuje akcjonariusz i spekulant, stąd rozdzęty sektor finansowy i rynek kapitałowy. Społeczeństwo amerykańskie stało się swoistym laboratorium przedsiębiorczości wielbionej w Polsce przez wolnorynkowców, empiryczną demonstracją doktryny liberalizmu gospodarczego, aktualnym przesłaniem *Manifest Destiny*: „życiodajnego światła prawdy” dla błądzących narodów, obecnie głównie chińskiego.

Według Economic Policy Institute produktywność pracy w USA w ciągu ostatnich 40 lat wzrosła o 80%, ale mediana zarobków tylko o 10%.

W okresie neoliberalnej kontrrewolucji wydajność rosta nadal, choć w wolniejszym tempie, bo o 77%, ale płace zwiększyły się zaledwie o 12,4%. Amerykańscy *golden boys* zarabiają 13 mln euro rocznie, na co składają się opcje na akcje, przydział darmowych akcji, często trzy-, czterokrotność podstawowego wynagrodzenia. Dążą oni do krótkoterminowych zysków finansowych (*marked to market*), zamiast tworzyć majątek trwały i miejsca pracy. To oni otrzymali wsparcie od swojego państwa w kwocie 500 mld dol. W połowie lat 60. prezes korporacji zarabiał 24 razy więcej niż jego pracownik produkcyjny. Obecnie to 185 razy więcej. Dlatego bogaci się bogacą, a biedni biednieją. Pracująca biedota stanowi aż 21% ogółu zatrudnionych. Wiarygodne są analizy laureata ekonomicznego Nobla Angusa Deatona zawarte w książce „Wielka ucieczka. Zdrowie, bogactwo i źródła nierówności”. W 2015 r. Amerykanie na dole drabiny społecznej żyli na poziomie 36% oficjalnego progu ubóstwa. Nic dziwnego, że tzw. *food stamps* (bonów żywnościowych) potrzebuje 14% Amerykanów, czyli

członstwa amerykańskiego żyło poniżej granicy ubóstwa relatywnego, w Niemczech 9,5%, w Danii 5,5% (<https://www.worldbank.org/en/news/press-release/2018/10/17/nearly-half-the-world-lives-on-less-than-550-a-day>). To skutek dezindustrializacji i popularności modelu biznesu, który stworzył Walmart. Zatrudnia on 2 mln pracowników, wśród nich kasjerki, które zarabiają głodowe pensje, a ich utrzymanie biorą na siebie inni. Pracownicy giganta wielkopowierzchniowego handlu korzystają bowiem z publicznych szkół, ochrony policji, publicznych dróg, kwalifikują się do publicznych systemów opieki społecznej. Te dobra fundują im inni: do każdej nisko opłacanej kasjerki Wal-Martu amerykańscy podatnicy dopłacają od 3 do 6 tys. dol. rocznie.

American dream i jego realizacja

W amerykańskim społeczeństwie miarą skuteczności indywidualistycznej strategii życia jest konto bankowe, które umożliwia luksusową konsumpcję, najlepiej na jachcie lub we własnym samolocie. Jak przekonuje

Produktywność pracy w USA w ciągu ostatnich 40 lat wzrosła o 80%, ale mediana zarobków tylko o 10%.

ok. 40 mln, a 1,5 mln korzysta z noclegowni. Połowa pracowników nie ma wystarczających dochodów, by opłacić składki emerytalne, a dwie trzecie poniżej 40. roku życia nie ma żadnych oszczędności emerytalnych. Tymczasem górne 10% amerykańskiego społeczeństwa rozporządzało w 2011 r. 47% całkowitego dochodu, ze średnią 255 tys. dol., podczas gdy na dolne 20% przypadło 17% całkowitego dochodu. W roku 2015 górne 20% osiąga przeciętny dochód 8,3 razy większy niż 20% najuboższych (w Niemczech 4,4 razy większy, w Danii tylko 3,7 razy). W tym samym roku 17% społeczeństwa

na podstawie swoich badań Arlie Russell Hochschild, mieszkańcy Głębokiego Południa wierzą, że „wolny rynek jest niezachwianym sojusznikiem dobrych obywateli czekających w kolejce na spełnienie amerykańskiego snu”. Na przeszkodzie stoi rząd federalny, który trzyma stronę wciskających się do kolejki cwaniaków, najczęściej o ciemnym kolorze skóry. Dlatego rasizm zakorzenia się w realiach codziennej walki o byt. Przegrani w wyścigu szczurów nie mają racji: dla ok. 30 mln nieubezpieczonych kilka biedapracy może nie wystarczyć do przeżycia miesiąca



Rozdawanie żywności na Brooklynie w Nowym Jorku, maj 2020 r.

koniunktury gospodarczej (Loïc Wacquant). Ważnym czynnikiem jest powszechność posiadania broni i groźba jej użycia przez potencjalnych sprawców wykroczeń i przestępstw. Tym bardziej że frustracje najlepiej leczy wielostrzałowy pistolet, który można nabyć w sklepie z szylde „Jezus cię kocha – skup i sprzedaż broni”. Z rąk różnych frustratów wyprodukowanych przez system ginie rocznie ponad 30 tys. Amerykanów.

Jak pisze Eliza Sarnacka-Mahoney, znająca Stany z autopsji, nie ma na świecie drugiego kraju, który będąc tak bogatym, robi tak niewiele dla swoich obywateli.

Opinię tę potwierdza amerykański pisarz podróżujący po Głębokim Południu Paul Theroux: „Pod względem potęgi i wspaniałości Ameryka nie ma sobie równych na świecie, ale pod względem zaniedbań niczym się od świata nie różni”. A Głębokie Południe nie różni się nawet od Trzeciego Świata, co autor często podkreśla. Dlatego nie dziwi, że w miarę jak

bez wsparcia opieki społecznej. Pół miliona nie ma dachu nad głową. Niski stopień uzwiązkowienia i ochrony pracownika krótkie urlopy, niskie zasiłki dla bezrobotnych, brak urlopów macierzyńskich, duże zróżnicowanie płac. Pozycja pracownika jest słaba. W czasie recesji firma redukuje koszty, głównie ograniczając zatrudnienie, szybko też likwiduje deficytowe działy. Dlatego liczba bezrobotnych podczas pandemii szybko zbliżyła się do 40 mln. Współczynnik Giniego jest bliski 0,5, co oznacza duże zróżnicowanie dochodów i majątków.

Merytokracja to absolwenci prestiżowych uczelni. By się do nich dostać, mimo systemu stypendiów i pożyczek trzeba sobie dobrze wybrać rodzinę. Edukacja na wysokim poziomie jest kosztowna od najniższych szczebli. Nic dziwnego, że stać na nią 14 razy więcej synów i córek, których rodzice plasują się w gronie 20% najbogatszych, niż dzieci 20% najuboższych. Dlatego w konsekwencji tylko 6% urodzonych w tej grupie udaje się przebić do elity, pokazują badania Brookings Institution (T. Zalewski, „Koniec mitu pucybuta”, „Polityka” 14/2019).

Gettyzacja i neoliberalny Lewiatan

Brak ubezpieczeń społecznych na zasadzie solidaryzmu i prywaty-

zacja usług publicznych rodzą wiele patologii. Prawie 1% populacji (ok. 2,5 mln), głównie młodych Afroamerykanów, przetrzymywany jest w sprywatyzowanych więzieniach. To również efekt gettyzacji i niskiego poziomu szkół publicznych, z których korzystają zwłaszcza dzieci ubogich rodzin, przede wszystkim Afroamerykanów. Prywatyzacja obejmuje coraz

Liczba bezrobotnych podczas pandemii szybko zbliżyła się do 40 mln.

więcej służb publicznych. W planach prezydenta Trumpa jest prywatyzacja autostrad, opieki medycznej dla ubogich Medicare, a także rynku federalnych pożyczek studenckich.

Zamiast funkcji socjalnej państwo amerykańskie przeży muskuły. Od czasu polityki „zero tolerancji” burmistrza Nowego Jorku Rudolpha Guilianiego wzrosły nakłady na formacje policyjne. Wzrosła też brutalność metod w utrzymaniu porządku publicznego. Była to strategia kryminalizacji problemów społecznych, zwłaszcza przestępczości i walki z gangami narkotykowymi. Walczyły one o podział stref wpływów, w których żołnierzami są młodzi ludzie z gett. Strategia pomijała socjoekonomiczne przyczyny wzrostu przestępczości. Różne badania empiryczne dowodzą, że na wzroście przestępczości najbardziej waży liczebność roczników młodych ludzi. To oni bowiem popełniają najwięcej przestępstw w okresie de-

rosną nierówności społeczne, obniża się stopa życiowa klas pracowniczych, następuje degradacja środowiska naturalnego, słabnie akceptacja przez uboższych mieszkańców Ameryki neoliberalnego ładu. Według badań Reutersa z 2018 r. 70% mieszkańców USA popiera wprowadzenie powszechnego systemu opieki zdrowotnej, w tym 52% to wyborcy republikanów. W przeciwieństwie do młodych Polaków, którzy pragną być przedsiębiorcami samych siebie na wolnym rynku, 51% amerykańskich milenialsów (18-29 lat) jako lepsze do życia widzi demokratyczne państwo europejskie, państwo łączące efektywność gospodarki z bezpieczeństwem socjalnym, jak w skandynawskim społeczeństwie troski. Obecna rewolta uaktualniła te postulaty, które do debaty publicznej wniósł Bernie Sanders. Czy znów wróćą do agendy?

Tischner wygrał, przegrał Kościół

Polski Kościół nie posłuchał swojego proroka, który przestrzegał rodzimy katolicyzm przed tymi wszystkimi pokusami, które doprowadziły go dziś na skraj przepaści

Jarosław Makowski

1.

Miałem w życiu dużo szczęścia. Los sprawił, że poznałem osobiście ks. Józefa Tischnera. To jego osoba była jednym z powodów, dla których – jako młody chłopak z małej wioski – przyjechałem do Krakowa, by studiować filozofię. Profesor sprawiał, że poznawanie dziejów myśli europejskiej przeradzało się w pasję. Stało się stylem życia. Najlepiej sens tej decyzji oddają słowa krakowskiego myśliciela, gdy choroba zabierała go nam nieodwracalnie 20 lat temu. To wtedy napisał do nas, swoich studentów, dwa listy ze szpitalnego łóżka, przekonując o wyjątkowości studiowania filozofii. Uświadamiał nam, że studiowanie filozofii to najpierw i przede wszystkim studiowanie cudzego myślenia. „Wasi koledzy na medycynie studiują anatomię – pisał – inni badają chemiczną budowę świata, jeszcze inni odkrywają prawa rządzące materią. A Wy macie przed sobą myślenie. Jest to myślenie w najwyższym swym wykwicie – to są i będą szczyty europejskiego myślenia i podstawowym Waszym zadaniem jest oddać sprawiedliwość temu myśleniu”. Dlatego – pisał dalej – „studiując filozofię, człowiek zmienia swój sposób bycia na świecie, staje się kimś innym”. Najgorszym, co mogło cię spotkać na egzaminie u ks. Tischnera nie było to, że nie dostałeś zaliczenia. Najgorsze było to, że zdradzając swoją niewiedzę, mogłeś rozczarować swojego mistrza.

Józef Tischner, oprócz rozbudzania w człowieku potrzeby rozumienia świata, miał jeszcze jedną cechę, która czyniła go wyjątkowym. Otóż studenci, ale też „zwykli ludzie”, gdy pojawiał się na ich horyzoncie, lgnęli do niego niczym pszczoły do kwiatów. Z zapartym tchem słuchaliśmy jego błyskotliwych wywodów o Heideggerze czy Heglu, jak również góralskich dowcipów. To wtedy po-

kazywał, co znaczy katolicki personalizm w praktyce. Kiedy z nim rozmawiałeś, odnosiłeś wrażenie, jakby nic innego na bożym świecie już się nie liczyło, jakbyś w chwili rozmowy był najważniejszym człowiekiem na tym też padole. Przystawałeś być anonimowym kolejnym studentem, penitentem czy dziennikarzem proszącym księdza profesora o wywiad. Tischner potrafił wydobyć ze swojego rozmówcy to, co w nim najlepsze i najszlachetniejsze. Przy nim po prostu człowiek rósł albo dostawał skrzydeł. Ludzie, jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, chcieli stawać się lepszymi, niż byli w rzeczywistości. Chcieli być nie tymi,

sze przewrotnie. – Nie mam zamiaru ratować nadziei Niemców, pokazując im Husserla, ani Francuzów, ucząc ich Bergsona czy Ricœura. Ja sam jednak nie mogę nie znać tych panów. Powinienem ich znać, bo z tego może być pożytek przy szukaniu odpowiedzi zrodzonych na tej ziemi. Egoizm jest zawsze źródłem ciasnoty. Wybrałem, aby być ciasnym i tępy m filozofem Sarmatów”.

Tischner był też świetnym oratorem. Miał dar uwodzenia słuchaczy, którzy podążali za tokiem jego myślenia, tak jak człowiek podąża za kierunkiem wskazującym mu drogę przez kompas, gdy zgubi się w ciemnym lesie. Myślenie bowiem, mówił,

Wiera jest ważna, ale rozumu nie zastąpi.

którymi byli, ale tymi, którymi mogli być, gdyby tylko „chcieli chcieć”. Tischner sprawiał, że człowiekowi „chciało się chcieć”.

2.

Jego śmierć 20 lat temu była dla jego przeciwników, których przecież nie brakowało, i to głównie w Kościele, momentem ulgi. Tischner, jak wiemy, chodził po manowcach – miał więcej przyjaciół wśród tych, co się z Bogiem wadzili, co się Kościołowi nie kłaniali w pas. Ale dla wielu „prawych katolików” jego śmierć znaczyła, że oto nie będzie już tego heretyka, który miesza prostym ludziom w głowach, tego mądrali, co to dyskutuje jak równy z równym z najwybitniejszymi filozofami epoki – Paulem Ricœurem czy Charlesem Taylorem – u papieża Wojtyły w Castel Gandolfo, tego ironisty, który swoich polemistów jednym żartem sprowadzał do parteru. Choć Tischner mógł błyszczeć na europejskich salonach intelektualnych, jednak przede wszystkim pisał do nas i o nas. Chciał być filozofem sarmatów. By ratować naszą nadzieję. „W mojej naturze leży egoizm – napi-

uwalnia od złudzeń: złudzenia pozornej wiedzy, aroganckiej złudnej pewności, fałszywej religijności. Wierzył w racjonalność, ale także w to, że religia potrzebuje rozumu. Powtarzał: wiara jest ważna, ale rozumu nie zastąpi.

Jest rozum i jest wiara. Jedno i drugie jest w człowieku. A człowiek potrzebuje spójności. Dlatego pisał, że tradycja chrześcijańska przekazuje w spadku dwie formuły, które – na pierwszy rzut oka – w radykalnie przeciwny sposób rozstrzygają sprawę kierunku pojednania rozumu i wiary. Augustynicy mówili: *fides quaerens intellectum* (wiara szuka rozumienia). Tomiści coś zgoła przeciwnego: *intellectus quaerens fidem* (rozumienie szuka wiary). Spadkobiercy pierwszych sądzą, że wiara jest tym, co początkowe, a rozumienie rozumu przychodzi w następnej kolejności. Wnukowie drugich utrzymują opinię radykalnie odmienną: praca rozumu jest pierwiej, a wiara jest tym, co dopiero rośnie na ziemi przygotowanej przez rozum. Kierunki pojednania, jak widać, są przeciwnie. Więcej: wzajemnie się wykluczające.

3.

Autor „Nieszczęsnego daru wolności” mówił, określając swoją podstawową tożsamość, że najpierw jest człowiekiem, potem filozofem, a na końcu księdzem. Kapłaństwo nie stanowiło dla niego celu życia, a jedynie środek do celu, którym było ratowanie ludzkiej nadziei. Tak samo zresztą, jak Kościół nigdy nie był dla niego celem jego księżowskiej posługi, ale jedynie środkiem do ratowania kruchych więzi, jakie łączą człowieka z Bogiem.

Wierzył, że Dobrej Nowiny nie można sprowadzić do powtarzania utartych formuł wypracowanych przez formalistyczną teologię moralną, nauczania papieży czy odczytywania listów biskupich. Dobra Nowina w jego interpretacji jest próbą odpowiedzi na bóle, które nosi w sobie człowiek, na dramaty sprawiające, że ziemia usuwa mu się spod nóg, na cierpienie, które w żaden sposób nie uszlachetnia, a zawsze miazdzy i niszczy człowieka.

Dlatego w łonie samego katolicyzmu wyróżnił dwa nurty: jeden bardziej ewangeliczny, drugi bardziej katechizmowy. Rzecz jasna spór nie idzie o uznanie bądź zaprzeczenie tego czy innego dogmatu. Spór dotyczy generalnego stosunku wierzących do źródła. Co w tym przypadku kryje się za słowem źródło?

By to wyjaśnić, przywołam podany przez Tischnera przykład różnicy w interpretacji źródła kwestii godności człowieka, o której przy



Po oczach bije jednak nie różnica, notuje Tischner, ale to, co łączy obie te formuły. A tym, co je łączy, jest szukanie – „wiara szuka rozumu” i „rozum szuka wiary”. Co znaczy szukać? To „mieć i nie mieć zarazem” – pisze Tischner w głośnej rozprawie „Myślenie religijne” z 1980 r. – Szukamy jedynie tego, czego nie posiadamy. Zarazem jednak to, czego szukamy, jest już naszym udziałem, już powierza siebie naszym przeczuciom, naszej wyobraźni, pamięci, ma w nas swoją ideę”.

Przytoczone słowa odślaniają ciekawą intrygę: polega ona na tym, że w równym stopniu wiara jest wyzwaniem dla rozumu, co rozum wyzwaniem dla wiary. Jeśli, zauważa Tischner, wiara szuka rozumu, rozum jest udziałem wiary. Ale jeśli rozum po-

Tischner sprawiał, że człowiekowi „chciało się chcieć”.

szukuje wiary, to ona nie może być mu całkowicie obca. Swoją przywołuje swego, swój szuka swego.

Słowo szukać, które odnajdujemy w obu przywołanych formułach, nie tylko odślania braterstwo rozumu i wiary. Słowo to wskazuje też na istnienie myślenia religijnego. Kto myśli religijnie? „Człowiek, którego rozum szuka wiary i którego wiara szuka rozumu” – notuje Tischner. – Poprzez jego myślenie przejawia się jego wiara i poprzez jego wiarę przejawia się jego myślenie”. Jakże dziś brakuje takiego podejścia do religii, gdzie rozum nie byłby traktowany jako ciało obce, ale narzędzie do rozumienia i czytania świata.

okazji sporu o LGBT tyle się dziś mówi. Nurt katechizmowy uważa, że godność człowieka opiera się na dogmacie stworzenia: człowiek jest obrazem Boga. Przeciwnie rozumuje nurt ewangeliczny, którzy utrzymuje, że jest to przede wszystkim wynik odkupienia. Tischner w tym miejscu swoich rozważań przywołuje słowa Jana Pawła II z pierwszej encykliki *Redemptor hominis*: „Jakaż wartość musi mieć w oczach Stwórcy człowiek, skoro zasłużył na takiego i tak potężnego odkupiciela, skoro Bóg syna swego Jednorodzonego dał, ażeby on, człowiek nie zginął, ale miał życie wieczne” (nr 10).

► Zobaczmy, jak inaczej oba te nurty interpretują tekst biblijny – tu będzie to scena ukrzyżowania Jezusa. W nurcie „katechizmowym” ukrzyżowanie jest kolejnym dowodem na nędzę człowieka i lęk przed człowiekiem, który nie wzdraga się przed zbrodnią bogobójstwa. W nurcie ewangelicznym ukrzyżowanie jest argumentem za wielkością człowieka. Pierwszy punkt widzenia pobudza pokusę manichejską, drugi jest punktem widzenia łaski. Te dwa sposoby

jego kazania głoszone w Starym Sączu, to mam poczucie, że nic nie straciły z aktualności i, co kluczowe, prostoty. Bo Tischner, jeśli mogę tak powiedzieć, był staromodny. To nie był kaznodzieja, który – by pokazać słuchaczom, jak bardzo jest *cool* i jak mocno trzyma rękę na pulsie życia społecznego – odwołuje się do tzw. medialnych przykładów czy życiowych perypetii serialowych bohaterów i telewizyjnych osobowości.

książki. W Piśmie Świętym są słowa, które przynoszą życie”.

Czy przyglądając się naszej dzisiejszej rzeczywistości, także nie należałoby stwierdzić, że Ewangelia jest ostatnim tekstem, którym się karmimy? Przypominając sobie dziś te fragmenty tekstów ks. Tischnera, mam w pamięci uwagę mojego protestanckiego przyjaciela, który słusznie chyba kiedyś zauważył: „Wy, katolicy, zamiast czytać Biblię, tylko ją okadzacie”.

Bo przecież gdyby tak w Ewangelii się wczytać i przejąć tym, co się przeczytało, to rewolucja gotowa. Czyż nie? Przywołując postać ks. Jerzego Popiełuszki, ks. Tischner pokazuje jasno, że dynamitem, który rozsada społeczne dogmaty i zastępy porządek, jest jedno zdanie z Dobrej Nowiny: „Zło dobrem zwyciężaj”. Tego cudu uczynić, komentuje dalej krakowski ksiądz, nawet aniołowie nie potrafią, gdyż nie doświadczają zła. Tymczasem człowiek zła doświadcza i może z niego budować dobro. „Człowiek nie potrafi z niczego stworzyć drzewa, kamieni, domów, ale potrafi zrobić większy cud: ze zła stworzyć dobro – mówi Tischner. – W ten sposób człowiek może przekreślić dawny stary świat, by budować nowy świat. W ten sposób człowiek może stawiać

Studiując filozofię, człowiek zmienia swój sposób bycia na świecie, staje się kimś innym.

widzenia przekładają się na sposób wychowania religijnego.

Nurt „katechizmowy” traktuje wychowanie religijne jako przysposobienie do konsekwencji; skoro jesteś wierzący, postępuj wedle prawa Bożego. Nurt ewangeliczny nie neguje konsekwencji w postępowaniu, lecz skupia uwagę na uczestnictwie; uczestnicząc w tajemnicy Chrystusa, będziesz wiedział, co robić. Jedni są przekonani, że można wyprowadzić wiarę z czynków – praktykowanie wiary przyniesie w końcu wiarę, drudzy budują wiarę, by z niej wyprowadzić uczynki. Gdy jedni zabiegają o manifestowanie przekonań, drudzy chcą je nieskończenie pogłębić.

Jeszcze innym rysem wiary ewangelicznej jest wizja Boga. Jest to przede wszystkim Bóg współczujący i miłosierny – Bóg, którego spotkali na swojej drodze Samarytanin i jawnogrzesznica. Ba, jego królestwo nie jest z tego świata, gdyż rządzi on światem za pomocą miłości. Bóg wiary ewangelicznej zdecydowanie odrzuca miecz jako narzędzie rozstrzygania sporów. Bóg katechizmowy nie chowa miecza do pochwy, bo wciąż za jego pomocą rozstrzyga spory.

Polski Kościół wybrał nurt katechizmowy, choć Tischner robił wszystko, by kroczył trudniejszym nurtem ewangelicznym.

4.

Powiecie, że Tischner to strawa dla intelektualistów. To typowy reprezentant tzw. Kościoła otwartego. Nic bardziej mylnego. Gdy dziś czytam choćby zebrane w książkach

Otóż zmorą dzisiejszego kaznodziejstwa – albo raczej popkaznodziejstwa – jest to, że bohaterami przestają być postacie biblijne, ich uniwersalne wybory i dramaty, a stają się nimi serialowe i show-biznesowe gwiazdeczki. Serialowy ojciec Mateusz rządzi. Tyle że nawiązywanie przez dzisiejszych kaznodziejów do medialnych postaci czy tzw. medialnych faktów nie tyle pokazuje, że trzymają oni rękę na pulsie, ile dowodzi, czym się karmią, gdy piszą niedzielne homilie. A nie od dziś wiadomo, że jesteś tym, co czytasz, słuchasz i oglądasz.

Człowiek nie potrafi z niczego stworzyć drzewa, kamieni, domów, ale potrafi zrobić większy cud: ze zła stworzyć dobro.

Tischner karmi się Ewangelią. To ona stanowi pryzmat, przez który interpretuje świat. Kto chce odnaleźć sedno chrześcijaństwa, musi sięgać do Ewangelii. Tam są słowa życia. Nie znajdzie jej w pocieszeniach swojego proboszcza, abstrakcyjnych rozważaniach teologa czy w publicystyce takich pismaków religijnych jak choćby kreślący te słowa. Z powrotem do Ewangelii – mówi krakowski ksiądz i ubolewa, że gdy przygląda się codziennej polskiej rzeczywistości, wydaje mu się ona taka, jakby ludzie nigdy Ewangelii nie przeczytali, jakby ta Ewangelia była dla nas tekstem całkowicie nieznaczącym i w zasadzie obcym. Tymczasem „Pisma Świętego nie słuchamy i nie czytamy, tak jak czytamy lub słuchamy pierwszej lepszej

się kamieniem węgielnym królestwa Bożego na ziemi”. Czyż nie na tym ewangelicznym przesłaniu zasada się wielkość i godność człowieka? I czyż to nie zastanawiające, że nie stało się ono lejtymotytem przesłania Kościoła w Polsce?

5.

Krakowski ksiądz nie tylko pokazywał, czym jest prawdziwa wiara, której Kościół winien być wierny, ale także naszkicował krótką instrukcję budowy przyzwoitego społeczeństwa. A sednem tej instrukcji jest solidarność. Jak przenikliwie zauważył, historia wymyśla słowa, aby następnie słowa mogły kształtować historię. I rzeczywiście: słowo solidarność skupiało, ale i wciąż ogniskuje w sobie pełne niepokoju

nadzieje. Pobudza do męstwa i odwagi myślenia. Ale i do działania. Dlatego solidarność, by mogła się wydarzyć, potrzebuje co najmniej dwóch rzeczy – ludzi i idei. Doskonale przecież wiemy, że „masy bez idei są ślepe, a idee bez mas bezsilne”.

Idea solidarności jest „nieśmiertelna” i „niezawłasczalna”. Jej fundament znajduje się w przesłaniu św. Pawła z Listu do Galatów. Píše on: „Jeden drugiego brzemiona noście” (6,2). Cóż to jednak znaczy? Imperatyw jest prosty: „Trzeba nieść ciężar drugiego”. Jak ciężki on by był, nie mogę umywać rąk. Ty i ja. Razem. Razem, a nie ty przeciwko mnie. Nikt z nas nie jest przecież samotną wyspą. Jako ludzie jesteśmy ze sobą powiązani. Łączą nas praca i mowa, historia i przyszłość. Rzadko zdajemy sobie sprawę z tych powiązań.

Kiedy jednak zawiązuje się solidarność, nagle wszystkie te powiązania wychodzą na światło dzienne. Niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki widzimy, że mój los jest zależny od drugiego, ale i los drugiego – sąsiada, kolegi z pracy, przypadkowego przechodnia – zależny jest od moich słów, decyzji i czynów. Czyż więc nie jest jasne, że albo będziemy razem w naszych bólach, troskach i radościach, albo nas nie będzie wcale?

Powie ktoś, i będzie miał rację: solidarność nie można narzucić człowiekowi z zewnątrz. Nie można przystawić mu karabinu do skroni i powiedzieć: „od teraz musisz być solidarny”. Solidarność woli niemoc niż przemoc. Dzieje się tak dlatego, że rewolucja solidarności jest, jak mówił krakowski kapłan, wydarzeniem w świecie ducha. A w tej przestrzeni człowiek nic nie musi, ale wszystko może. Jest tym bardziej autentyczna, im bardziej bezkrwawa. Duch włada poprzez perswazję, notuje Tischner, a nie poprzez strach. Dlatego naprawdę wielką rewolucją jest zarazem świętem wyzwolenia człowieka od strachu przed człowiekiem.

Co nas tak naprawdę wyzwala? Odpowiedzialność. Wzięcie odpowiedzialności za drugiego. Tego, który potrzebuje pomocy: poniżonego, skrzywdzonego, zepchniętego na margines. Odpowiedzialność to przecież odpowiedź – odpowiedź

na wyzwanie, jakim jest potrzeba drugiego człowieka. Wolny – by nie rzec: wyzwolony – nie jest ten, jak można by sądzić, kto odrzuca odpowiedzialność, nie chce brać na swoje barki żadnych cudzych ciężarów. Przeciwnie: taki człowiek nie jest wolny, gdyż jest zniewolony przez własny egoizm. Czy ktoś bowiem zmuszał miłosiernego Samarytana, którego dzieje znajdujemy na kartach Nowego Testamentu, by

ski wizji katolicyzmu, który z całych sił głosił: katolicyzmu otwartego, gościnnego, dialogującego i rozumiejącego. Mówił jasno, przyglądając się rodzinnemu Kościołowi: „autentyczne chrześcijaństwo jest wciąż przed nami”.

Jednak owo „przed nami” dziś, kiedy widzimy Kościół zaciśniętej pięści, katolicyzm wszędzie szukający wrogów, księża mizdrzących się do nacjonalistów, biskupów

Nie ma solidarności bez odpowiedzialności. A nie ma odpowiedzialności bez wolności.

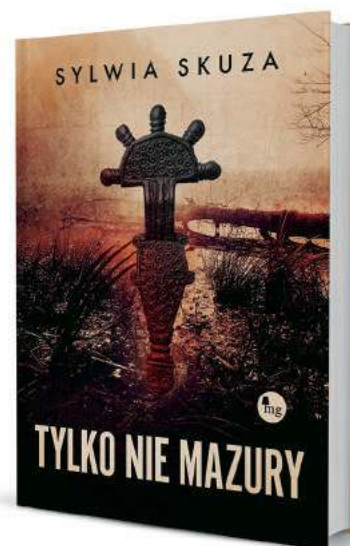
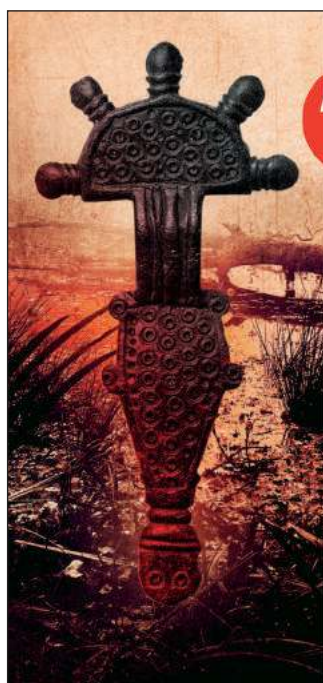
pochylił się przy leżącym przy drodze rannym? Nie! On pomógł cierpiącemu, bo nie wahał się wziąć za niego odpowiedzialności. Nie ma solidarności bez odpowiedzialności. A nie ma odpowiedzialności bez wolności.

6.

Czyż opowieść o Józefie Tischnerze w 20. rocznicę jego śmierci – opowieść o jego wizji człowieka, wiary, Kościoła i solidarności nie jest tyleż ciekawa, co utopijna? Czy dziś, patrząc na polski Kościół, widzimy choćby drobny ślad tych postulatów, do których przekonywał nas Tischner w swoich tekstach? Sam filozof miał świadomość kłę-

zczących gromy na Bogu ducha winnych ludzi i kryjący pedofilów w sutannach, wczorajszych uczniów księdza profesora, którzy legitymizują bezprawie i moralną degrengoladę, musimy powiedzieć, że droga do autentycznego chrześcijaństwa w Polsce się wydłużyła. I to mimo tego, że dobry Bóg dał nam prawdziwego chrześcijanina i przenikliwego filozofa – Józefa Tischnera. To nie Tischner przegrał, ale polski Kościół. Przegrał, bo nie posłuchał swojego proroka, który przestrzegał rodzimy katolicyzm przed tymi wszystkimi pokusami, które doprowadziły go dziś na skraj przepaści

Jarosław Makowski



www.wydawnictwomg.pl

Raport z czasów kłamstwa i manipulacji – suplement

W Polsce nie istnieje środowisko dziennikarskie

Ryszard Sławiński

Po lekturze bardzo ciekawej rozmowy Roberta Walenciaka z Andrzejem Skworzem, redaktorem naczelnym magazynu „Press”, zrobiło mi się smutno. Obraz dziennikarstwa w Polsce jest dość żałosny, co wynika z wywiadu, ale też widać to gołym okiem w codziennej obserwacji.

„Podzieliliśmy się”, stwierdza pan Skworz. Tak, a zaczęło się to po 1990 r., kiedy doszło do podziału historyczno-politycznego. Tym z PRL było wolno mniej, a właściwie najlepiej by było, żeby zniknęli, a tym, którzy liczyli zasługi z walki – słusznej – o wolność słowa i niezależność środowiska i dziennikarstwa, było wolno więcej, a właściwie wszystko. Podział trwał, a raczej się pogłębiał. Starzy odchodzili, młodzi w poczuciu siły indywidualizowali się. Ten podział, dezintegracja i atomizacja środowiskowa odpowiadały wszystkim ekipom rządowym. Łatwiej współpracuje się z pojedynczymi dziennikarzami niż ze środowiskiem. Szczególnie widoczne jest to po roku 2015. „Niepokorni” z SDP w całości i bezwarunkowo oddali się nowej władzy, inni uprawiają w miarę obiektywne dziennikarstwo opozycyjne. W Polsce nie istnieje środowisko dziennikarskie. Polska to kraina dziennikarzy poszczególnych. Jest grupa dziennikarskich gwiazd świetnie zarabiających, jest liczniejsza grupa średniaków i najliczniejsza spauperyzowanych biedaków, szczególnie w mediach regionalnych i lokalnych.

Od czasu do czasu podejmowane są próby ustawowej regulacji spraw bytowych dziennikarzy. Tak było w 2003 r. Gwiazdy zawyżyły, że to zamach na wolność słowa, rządzący powiedzieli, że nie jest im potrzebna jeszcze jedna korporacja. Pewnie, że nie. Trzeba by wystłuchiwać skarg o ich problemach, trzeba by rozmawiać, uwzględniać. A tak jest spokój. Gwiazdy mają poczucie materialnego bez-

pieczeństwa, średniacy – najczęściej z mediów komercyjnych – jakoś sobie radzą, a najbiedniejsi przyniosą do redakcji materiał dziennikarski z reklamową ramką i jakoś dociągną do pierwszego. Tym bardziej że na konferencjach prasowych i spotkaniach często można dostać fajne gadzety i uczestniczyć w cateringu.

Mamy pięć rachitycznych struktur stowarzyszeniowych – Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich, Stowarzyszenie Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej, Stowarzyszenie Dziennikarzy Kato-

lickich, Towarzystwo Dziennikarskie i Związek Zawodowy Dziennikarzy. To raczej kluby towarzyskie niż reprezentanci środowiska. Właściciele mediów i wydawcy bezwzględnie zabraniają wstępowania do stowarzyszeń i powoływania struktur związkowych w redakcjach. Tam pieniądze zarabia menedżment, a dziennikarze żyją na poziomie średniej krajowej. Z wyjątkiem dziennikarzy mediów publicznych, którzy za bycie stroną w politycznym sporze biorą bardzo poważne apanaże. Jeden z gwiazdorów „Wiadomości” powiedział, że za takie pieniądze wygłosi każde świństwo.

I tak sobie żyją dziennikarze w Polsce. W każdym z unijnych krajów dziennikarze mają swoje struktury zawodowe, wiedzą, na kogo i na co liczyć. W Polsce tymczasem mamy pełną wolność i... autocenzurę, czego jaskrawym dowodem są wydarzenia w radiowej Trójce, w której zadziałał autocenzor dyrektor stacji albo ze strachu, albo z chęci przypodobania się władcom.

Ja i moje pokolenie dziennikarzy z komuszą przeszłością odejdziemy. Nasi następcy, a jest to już półtora pokolenia, nawet nie wiedzą, że można, a nawet trzeba się organizować, być razem, stanowić środowisko zawodowe przy zachowaniu różnic poglądów.

Ryszard Sławiński jest emerytowanym dziennikarzem

LISTY

✉ 15 pytań

Internet zachęca ludzi do zadawania pytań panu premierowi i panu prezydentowi. Oto moja lista.

1. W których więzieniach siedzi osądzona mafia VAT?
 2. O ile obniżono podatek VAT?
 3. O ile podniesiono kwotę wolną od podatku?
 4. Jaką pomoc otrzymali frankowicze?
 5. Kto mieszka w 100 tys. mieszkań z programu Mieszkanie+?
 6. Kto jeździ milionem samochodów elektrycznych po 100 obwodnicach polskich miast?
 7. Dokąd pływają promy ze szczecińskiej stoczni?
 8. Jak wysokie są reparacje wojenne z Niemiec?
 9. Gdzie jest pół miliarda posadzonych drzew?
 10. Gdzie jest wrak Tu-154M spod Smoleńska?
 11. O ile mniej węgla sprowadzamy z Rosji?
 12. Gdzie są tablety dla uczniów, komputery dla nauczycieli, jak wygląda cyfryzacja służby zdrowia?
 13. Gdzie są nowe, polskie leki dla seniorów?
 14. Gdzie są polskie pielęgniarki i opiekunowie polskich seniorów?
 15. Dlaczego na diagnostykę i leczenie trzeba czekać kilkanaście miesięcy?
- Jak widać, podłość ludzka nie zna granic.

Czytelnik

Rada Etyki Mediów:

Antysemickie materiały „Wiadomości” TVP szkodzą Polsce

Biuro środkowoeuropejskie amerykańskiej organizacji AJC (American Jewish Committee) zwróciło się do REM ze skargą na antysemicki materiał „Wiadomości” TVP z 15 czerwca br., opatrzone paskiem „Trzaskowski odbierze Polakom 200 miliardów?”. Tytuł ten – pisze skarżący – „wydaje się opierać na założeniu, że kandydat może zostać łatwo zmanipulowany przez »organizacje żydowskie« i »środowiska międzynarodowe«, które rzekomo chcą wyłudzić od Polski 60 mld dol. (200 mld zł). Materiał, którego autorem jest Konrad Wąż, zawiera przesłanie, że „istnieje sieć aktorów, od prasy izraelskiej po międzynarodowe organizacje żydowskie, którzy zamierzają wyłudzić ogromne sumy pieniędzy od polskiego rządu”. Autor materiału stwierdza: „ekspersi nie mają wątpliwości: strumień pieniędzy, który płynie z budżetu państwa do kieszeni polskich rodzin, wyschnie, jeżeli Trzaskowski, po ewentualnym zwycięstwie w wyborach prezydenckich, będzie dążył do zaspokojenia żydowskich żądań”.

AJC zauważa, że na skutek obejrzenia tego materiału „3,5 mln widzów »Wiadomości« TVP (prawie co

czwarty Polak oglądający wieczorne wiadomości) nabiera przekonania, że kandydat wymieniony w materiale wideo, jeśli zostanie wybrany na prezydenta, będąc uzależniony od domniemanej sieci organizacji izraelsko-żydowskich, będzie działał wbrew interesom narodu i państwa polskiego”.

„W materiale naruszono kilka zasad Karty Etycznej Mediów, w szczególności: zasadę prawdy, zasadę obiektywizmu, zasadę oddzielania informacji od komentarza, zasadę szacunku i tolerancji oraz zasadę wolności i odpowiedzialności”, stwierdza Sebastian Rejak, p.o. dyrektora AJC Central Europe.

Rada Etyki Mediów w pełni podziela negatywną ocenę skarżącego. Obserwacja głównego wydania programu informacyjnego TVP wykazuje, że nie był to jedyny podobny materiał. W niedzielę 14 czerwca, „Wiadomości” twierdziły: „Trzaskowski pozwoli ograbić Polaków?”, dodając do tego oskarżenia, jak w skarżonym materiale, jedynie znak zapytania. Teza była ta sama: kandydat na prezydenta Rafał Trzaskowski chce zabrać pieniądze przeznaczone

na 500+ i przekazać je organizacjom żydowskim. (...)

Konkluzja autora materiału Marcina Tulickiego brzmiała: „Takie podejście (Trzaskowskiego) to efekt myślenia niepolскими interesami”. Jerzy Bielewicz z „Gazety Bankowej” stawiał kropkę nad i: „Niemcy eksportują nam kandydatów na najwyższe stanowiska, takich jak Tusk. A teraz takim niemieckim kandydatem jest Trzaskowski”.

Tego samego dnia w tych samych „Wiadomościach” w materiale „Pamięć o polskich więźniach Auschwitz” przez ponad cztery minuty nie padło słowo Żyd lub Żydzi.

Materiałami, które wskazał skarżący i które obserwuje REM, naruszającymi wszystkie zasady Karty Etycznej Mediów i emitowanymi szczególnie często w okresach wyborczych, takich jak obecny, państwowa telewizja godzi w interes Polski. Rozniecanie antysemityzmu, rasizmu i nienawiści wobec mniejszości nie leży w interesie kraju – członka Wspólnoty Europejskiej i NATO.

*W imieniu Rady Etyki Mediów
Andrzej Krajewski, członek REM*



Do czego potrzebne są nam media publiczne?

Do rzetelnego informowania (jest to możliwe, wystarczy spojrzeć na ARD czy BBC), tworzenia programów edukacyjnych, propagowania kultury

na elementarnym poziomie, a nie takiej odmóżdżającej papki jak w telewizjach prywatnych. O ile obecne informacyjno-publicystyczne media publiczne trą o dno, o tyle w dziedzinie kultury nadal spełniają swoją rolę, choć bardzo niedoskonale (przez ilość przemilczę nachalne promowanie niektórych wątpliwych gwiazd estrady). Wciąż na wysokim poziomie stoją Program II PR i TVP Kultura. Jarosław Kaczyński w jednej z książek opublikowanych przed dojściem do władzy stwierdził, że kontrolę nad jednym kanałem telewizji publicznej powinien mieć rząd, a nad drugim opozycja. Niestety, i tu hasła rozminęły się z rzeczywistością.

Michał Siemiński



Gdzie te elity, autorytety, inteligencja?

Trudno nie polemizować z Wojciechem Kuczukiem (PRZEGLĄD 16/2020). Píše on o wrogości (czytaj PiS) do elit, autorytetów. O podważeniu kompetencji sędziów, nauczycieli, lekarzy. Jak to się ma do rzeczywistości? Gdzie jest polska elita? Inteligencja, ta tradycyjnie polska, to była elita, grupa ludzi świadoma odpowiedzialności za społeczeństwo. Dzisiaj tworzą ją ci, którzy zdali maturę na 8%, nie przeczytali żadnej książki. Gdzie są autorytety? Te prawdziwe zostały zepchnięte na margines życia publicznego, w III RP odebrano im głos. Sędziowie? Kompetentni, bezstronni? Miałem rozprawę w sądzie pracy i sędziego nie obchodziło, że mój przełożony zeznał, że obniżają moją ocenę pracy za krytykę pracodawcy. Przyznał rację władzy samorządowej z PO. Po 1989 r. nauczyciele zostali odarci z autorytetu przez wszystkie ekipy. Lekarze? Sami zapracowali na ich postrzeganie przez społeczeństwo traktowaniem ludzi na SOR. Politycy, i to każdej strony, to nie elity. To cwaniacy żyjący na koszt państwa i obywateli. Wmówili nam, że to wszystko dla naszego dobra. To, co się dzieje dzisiaj w Polsce, to nie tylko PiS. To UW, UD, SLD, KLD, AWS, PO, PSL no i PiS. A może tylko POPIS?

Wiktor Kamieniarz, Koszalin



Rozmawia Anna Brzeska

Liczba zakażeń koronawirusem w Polsce ciągle nie spada. 8 czerwca było rekordowe 599 zakażeń, 17 czerwca – 506. Co się dzieje?

– Nastąpiło za duże rozluźnienie. Zachowujemy się tak, jakby to wszystko już się skończyło.

Ostatnie zachorowania to znów zakażenia poza zakładami pracy?

– Tak, zaczyna się to znów rozprasać.

Trzeba będzie wrócić do ograniczeń typu pozostanie w domach?

– Pozostanie w domu, jeżeli nie mamy powodów do wyjścia, to od początku epidemii najbardziej wskazane zachowanie. Idealnie byłoby, gdyby ludzie nie zwracali uwagi na rozluźnianie zaleceń. To jest potrzebne gospodarce, a my zachowujemy się tak, jakby zakazy były znoszone dla naszej przyjemności. Nie chcemy przyjąć do wiadomości, że pozwolenie na coś nie jest nakazaniem czegoś. A wirus nie uznaje lekceważenia.

Wakacje tuż tuż. Czy powinniśmy korzystać z coraz szerszych możliwości wyjazdów do innych krajów czy raczej zostać w Polsce?

– Jeżeli w konkretnym kraju mamy mniej nowych zachorowań niż jedna osoba na milion, spokojnie możemy tam pojechać. Trzeba więc na bieżąco sprawdzać, czy tam, dokąd jedziemy, nie występują ogniska zachorowań, jaka jest sytuacja epidemiologiczna na danym obszarze – ogólna, nie tylko dotycząca koronawirusa. Prawdę mówiąc, to nasi sąsiedzi powinni się martwić, czy mogą nas wpuszczać, bo u nas zachorowań wciąż jest więcej. Dlatego dotyczą nas ograniczenia, jak choćby ze strony Grecji, która wciąż utrzymuje obowiązek kwarantanny dla Polaków przed wjazdem na jej terytorium.

O jakich zachowaniach powinniśmy pamiętać, jadąc na wakacje?

– Bądźmy zdroworozsądkowi. Nie pchajmy się tam, gdzie są tłumy. To zawsze jest niebezpieczne. I nie chodzi tylko o koronawirusa. Każdy patogen chętnie widzi zbiorowiska.

Możemy iść na basen w hotelu?

– Problemem jest nie woda, ale zbiorowisko. Najczęściej źródłem zakażenia jest człowiek. Na szczęście dzięki pandemii w wielu krajach nauczono się dezynfekować pomiesz-

Nie pchajmy się tam, gdzie są tłumy

Jeżeli w konkretnym kraju jest mniej nowych zachorowań niż jedna osoba na milion, spokojnie możemy tam pojechać



PROF. WŁODZIMIERZ GUT

– wirusolog, doradca głównego inspektora sanitarnego

czenia – i działa to na wszystko, nie tylko koronawirusa. To jedyny zysk z pandemii. Pokazała, że istnieją zachowania, które pozwalają na zwiększenie naszego bezpieczeństwa. Pytanie brzmi jednak, czy pandemia rzeczywiście nas zmieni. Doktryna wahadła mówi, że po pandemii to wszystko może pójść w drugą stronę i może być jeszcze gorzej.

Czyli po okresie surowych ograniczeń nadmiernie się rozluźnimy?

– Tak, zejdziemy poniżej poziomu, który był przed pandemią.

Ma pan na myśli to, że obniżymy poziom dbałości o higienę?

– To byłoby raczej trudne.

W takim razie o co chodzi?

– O zachowania społeczne i lekceważenie reguł, które będą traktowane jako wymysły. Że zaczniemy myśleć: „Tyle już o tym wirusie mówią, na pewno nas oszukują”.

Wracając do dobrych praktyk, nie tylko na wakacje. Co powinniśmy zostawić z tych pandemicznych roz-

wiązań? Może płyny dezynfekujące w miejscach publicznych?

– One nie powinny zniknąć. Wprawdzie mam pewne obawy, czy wyjałowienie skóry z naturalnej flory bakteryjnej jest najlepszym pomysłem, ale tam, gdzie stykamy się z obecnymi u innych patogenami, powinniśmy jednak cokolwiek robić.

Przecież nie musimy dezynfekować rąk codziennie po przebudzeniu, ale tylko wtedy, gdy wchodzimy do urzędu czy sklepu.

– Właśnie tak.

A maseczki?

– Bardzo się ucieszę, jeżeli maseczki zaczną zakładać chorzy. Wprawdzie jeszcze bardziej bym się ucieszył, gdyby zostali w domu, ale wiem, że nie zawsze się da. Najgorsze są jednak zalecenia, których nikt i tak nie będzie przestrzegał. Mieliliśmy już pewien popis maseczkowy, kiedy ludzie nie bardzo wiedzieli, jak je nosić. Tymczasem jeśli jestem na ulicy sam lub prawie sam i nie mam od kogo

się zarazić, samo utrzymanie dystansu wystarczy. I naprawdę jest wtedy obojętne, czy mam tę maseczkę na twarzy, czy nie. Jeśli jednak wchodzę w tłum, przestaje to być obojętne. Z kolei gdy pracuję w środowisku skażonym, np. w szpitalu, gdzie leżą chorzy, to nie tylko nie jest to obojętne, ale mam prawie 100% pewności, że bez maseczki zostanę zarażony.

Czyli powinniśmy nosić maseczki przede wszystkim w zamkniętych pomieszczeniach?

– Tak. I wszędzie tam, gdzie jesteśmy w kontakcie z dużą grupą ludzi, szczególnie tych, którzy mogą stanowić zagrożenie, o których nic nie wiemy – z kim się kontaktowali, co robili, jaki mają styl zachowania.

Co z noszeniem ich przewencyjnie, nawet po pandemii?

– Na maseczce osadza się wszystko, z czym się zetkniemy, a nasze powietrze nie jest przecież jałowe. Bardziej niż covidu boję się, że jakaś osoba prątkująca może mi „ozdobić” maseczkę gruźlicą – a prątki pożyją na maseczce dłużej niż koronawirus. Każde zachowanie jest więc z jednej strony ochroną, a z drugiej ryzykiem. Podobnie jest z wyjałowieniem organizmu – jeśli ktoś żyje bez kontaktu z patogenami, po wyjściu z jałowego środowiska padnie potem na cokolwiek. Niestety, nie ma tu złotej reguły.

Co można by jednak uznać za uniwersalne, korzystne rozwiązanie na stałe?

– Sposób zachowania w odniesieniu do innych ludzi. Świadomość, że zagęszczenie nie jest najlepszym rozwiązaniem. Że nie musimy pakować się w tłum. Pamiętajmy, że największy korek robi się wtedy, kiedy wszyscy się śpieszą.

Przed nadchodzącymi wakacjami obawiam się jednak zbytniego rozluźnienia. Jemy lody na mieście, kanapki, nie zawsze myjemy ręce, bo nie zawsze się da.

– O tym właśnie mówi mój żart – że wesele zaczyna się zgodnie z regułami, ale niezgodnie z nimi się kończy. Dlatego nie zgadzam się ze wszystkimi zasadami, które teraz obowiązują. Śmieję się, że obecnie może być tylko 12 osób w żłobku, ale 150 na weselu. Gdzie jest większe ryzyko zakażenia? Wydaje mi się, że jednak na weselu.

No właśnie, czy te wesela lub wakacyjne rozluźnienie nie skończą się źle?

– Na terenach, na których nie ma zachorowań, nie będzie zakażeń bez względu na liczbę osób i to, jak one będą się zachowywać. Grożą im powyżej inne choroby. Na terenach, na których występują zachorowania, należy dobrze przemyśleć swój udział w imprezie, ale to jest sprawa organizatorów i uczestników – kto powinien przyjść, kto nie, jak rozsadzić towarzystwo, czy podać alkohol, czy nie. Niektórzy nie wyobrażają sobie wesela bez alkoholu. Tymczasem wyobrażenie, że coś nie może się odbyć bez alkoholu, to pierwszy wskaźnik uzależnienia alkoholowego.

W jakim sensie alkohol ma tu znaczenie?

– Nic się nie stanie, jeśli wypijemy kieliszek szampana. Gorzej będzie, jeśli goście w końcu zaczną się sobie przedstawiać na zasadzie: „Mów mi Feluś”, „A ty mi mów, jak chcesz, bo i tak już nie pamiętam, jak się nazywasz”.

Co będzie po wakacjach, dowiemy się po wakacjach. Wszystko zależy od tego, czy zostaną opanowane istniejące ogniska zbiorowe.

Czyli groźne jest to, że ludzie zaczną się ścisnąć i całować przy wódeczce?

– Właśnie. Ryzyko zakażeń rośnie wtedy nie liniowo, ale wykładniczo.

Co ze szkołami? Rok szkolny się kończy, ale zapewne we wrześniu będziemy mieli podobne pytania – skoro dozwolone są wesela, to może szkoły i przedszkola też powinny być otwarte?

– Tu jest dyskusja, kto komu bardziej zagraża. W wielu przypadkach zaobserwowano, że dzieci, które zakażyły się poza domem, przechodzą chorobę, ale nie zakażają rodziców. Nie są więc głównym źródłem zakażenia, być może w ogóle nie są, chociaż tu trzeba dalszych analiz. Można już jednak powiedzieć, że nie tyle dzieci grożą dzieciom, ile rodzice. Przyprawiając je z placówek, są zagrożeniem dla personelu.

Czyli placówki edukacyjne powinny być zamknięte?

– Nie. Powinny wprowadzić takie procedury, by osoby przyprowadzające dzieci miały jak najmniejszy kontakt z personelem. Powinno się tu zastosować racjonalne, podstawowe

zasady higieny – konieczność mycia rąk przy wejściu, odpowiedni odbiór dziecka, zmiana jego stroju, odkażanie zabawek itd.

Wróćmy jednak do wakacji i podróży. Słyszałam, że „chiński” koronawirus zmutował się i ten, który potem dotarł do Europy, był już inny, groźniejszy.

– Wszystkie wirusy wywodzące się z jednej linii mają charakterystyczne cechy i różnią się od innych linii, wprowadzonych gdzie indziej. Wszystko wskazuje jednak na to, że wprowadzenie koronawirusa do Europy było jednorazowe, jednopunktowe i stało się to we Włoszech. I ta linia rozprzestrzeniła się na inne kraje. Nie musimy więc się obawiać, że przywlecziemy z wakacji w Europie wirusa, który będzie inny niż ten, który wystąpił w naszym regionie?

– Nie. Poza tym i tak nie ma wciąż dowodów na to, że uzyskujemy odporność na „naszego” wirusa.

A raczej – udowodniono to jedynie na czterech małpach.

Co będzie po wakacjach? Mówi się o drugiej fali w związku z luzowaniem ograniczeń.

– Co będzie po wakacjach, dowiemy się po wakacjach. Wszystko zależy od tego, czy zostaną opanowane istniejące ogniska zbiorowe. Jeśli podejmie się tam odpowiednie działania, będziemy mieli spadek. Dodam, że w tej chwili nie tyle chodzi o odpowiedzialność pojedynczych ludzi, ile o sposób postępowania tam, gdzie są duże ogniska zachorowań w konkretnych obszarach, np. w górnictwie, dokąd przesunęło się zagrożenie. W związku z tym ogólne rozluźnienie – przy zachowaniu odstępów i higieny – nie jest już niczym tragicznym.

Dla wielu osób znoszenie ograniczeń jest niezrozumiałe, skoro wciąż nie spada znacząco liczba zakażeń. Wcześniej musieliśmy siedzieć w domu, a teraz, choć epidemia nie minęła, już nie musimy. O co chodzi?

– Okres zamrożenia i nakaz siedzenia w domu były po to, by poszczególne dziedziny gospodarki mogły przygotować się na odmrożenie, a nie

► po to, byśmy przeczekali pandemię. Teraz, jeżeli na danym obszarze nie występują zachorowania, ograniczenia w tych regionach mijają się z celem. Na obecne masowe zachorowania w kopalniach nie pomoże przecież zakaz wchodzenia do lasu.

Czyli wcześniejszy lockdown był też m.in. po to, by na pandemię mogła przygotować się np. ochrona zdrowia?

– Nie tylko. W ochronie zdrowia chodziło o to, by uniknąć scenariusza włoskiego, czyli utrzymać jak najmniejszą liczbę chorych, osiągnąć

społu. Reszta będzie mogła pracować. Jeśli tego się nie zrobi, kwarantanna może dotknąć całą załogę, a wtedy kopalnia jest do zamknięcia. Władze kopalni przespały jednak okres przygotowań i teraz widzimy rezultaty.

O czym powinno się pamiętać w innych gałęziach gospodarki?

– Nikt nie jest w stanie rozwiązać problemów konkretnego zakładu ogólnym rozporządzeniem. Mówi się „trzeba zachować dystans”, ale to do administracji i właścicieli danego przedsiębiorstwa należy określenie, co w konkretnym miejscu można

to tam bym wyjechał. Nie wiem tylko, czyby mnie przyjęli (śmiech). My natomiast znaleźliśmy się w „najgłupszej” fazie, bo poziom zachorowań jest niski, ale stabilny i nie spada, choć powinien. I teraz możemy dyskutować, dlaczego.

Co z resztą świata?

– Jeżeli zapewni się wsparcie dla krajów, które z natury nie mogą sobie poradzić, wszędzie można wygasić pandemię. I wtedy nie będzie mowy o żadnych drugich falach, ewentualnie tylko o petzających ogniskach. Jeśli chodzi o Chiny, wprowadzono tam kwarantannę na granicach, stąd mamy tam zaledwie po 20, czasem 30 zachorowań dziennie. To są osoby przyjeżdżające do Chin, wychwycone właśnie w kwarantannie. Od czasu do czasu zachoruje ktoś z obsługi, mający kontakt z przyjeżdżającymi. Jednak to są pojedyncze przypadki. Kwarantanny można otoczyć takim kokonem, że wirus dalej się nie wymknie.

Które państwa w tej chwili sobie nie radzą?

– Przede wszystkim cała Afryka i Brazylia, która pod względem liczby zachorowań wychodzi na drugie miejsce po USA. Zresztą te regiony obalają mit, że jak się zrobi ciepło, zniknie wirus. Bo tam przecież jest ciepło, a wirus robi swoje. Jeśli chodzi o globalne prognozy, pamiętajmy, że co roku odkrywa się co najmniej kilkadziesiąt wirusów. O większości z nich wiedzą tylko specjaliści, bo nie grają one większej roli dla zdrowia publicznego. Co kilka lat trafia się jakiś bardziej znaczący. Czy to będzie koronawirus, flawiwirus, czy jeszcze jakiś

Nie tyle dzieci grożą dzieciom, ile rodzice, przyprawiając je i odbierając z placówek, są zagrożeniem dla personelu.

tw. spłaszczenie. Jeśli gdzieś mamy 1,5 tys. zachorowań na milion osób, żadna służba zdrowia tego nie wytrzyma. Zabraknie łóżek czy stanowisk intensywnej terapii. I wtedy trzeba dokonywać tak tragicznych wyborów, jak wybór między chorym, który ma szansę na przetrwanie, a tym, któremu musimy pozwolić umrzeć. To powoduje też wzrost współczynnika śmiertelności – wynika on z upadku służby zdrowia.

Przy wprowadzeniu okresu zamrożenia chodziło mi jednak bardziej o czas na przygotowanie stanowisk pracy. Mamy kopalnie, przemysł drzewny, przemysł mięsny. W przypadku tego ostatniego widać, że coś tam zrobiono, bo nie mamy jeszcze dużych ognisk w zakładach, jak to dzieje się w USA czy w Niemczech. Miejmy nadzieję, że ten stan się utrzyma i problem ognisk przemysłowych nie wydzie poza kopalnie.

Jakie największe zaniedbania tam popełniono? Górnicy narzekali, że niewiele można zrobić, bo kopalni zamknąć się nie da, a izolowanie się jest niemożliwe.

– Najprościej jest powiedzieć, że się nie da, że zabezpieczenia są niemożliwe. A to jest pojęcie, którego należy unikać. Nie można skutecznie działać na zasadzie „a może nas ominie”. A przecież nie powinno być problemem rozdzielanie w czasie poszczególnych szych, żeby wszyscy ludzie nie spotykali się w szatni i nie zjeżdżali razem. Wagoniki można obsadzać mniejszą liczbą osób, rozdzielić czasowo poszczególne zespoły. Wtedy nawet jeśli trafi się jakiś chory, zagrożenie będzie dotyczyło mniejszego ze-

robić. Odpowiedzialność za pracowników powinien przyjąć pracodawca, bo przecież ich zdrowie leży też w jego interesie. W zakładach mięsnych w USA, gdy nie można było rozdzielić ludzi, powieszono między nimi folie. To jest sprawa znalezienia indywidualnych rozwiązań. Każdy najlepiej zna swoje biuro i swój zakład.

Jakie ma pan prognozy dla Europy, zakładając, że ogniska przemysłowe uda się opanować?

– Zagrożenie przesunęło się teraz na wschód – na Białoruś, Ukrainę i do Rosji. Trzeba też pamiętać o dwóch europejskich krajach – Szwecji i Wielkiej Brytanii, które od początku postawiły na odporność stadną, zapominając, że tę uzyskuje się po przechorowaniu choroby przez 80% populacji. W przypadku Polski 80% populacji to nieco

Przypadki Afryki i Brazylii obalają mit, że „jak się zrobi ciepło, zniknie wirus”.

ponad 30 mln osób. Przyjmując śmiertelność COVID-19 na poziomie 2%, łatwo policzyć, że trzeba by pochować ponad 600 tys. ludzi, by zyskać odporność stadną. Dlatego szlag mnie trafiał, gdy słuchałem o odporności stadnej w Wielkiej Brytanii. Oni potrzebowali dopiero, by zachorował premier, aby przyznać się do błędu.

W Szwecji natomiast odwołano się do obowiązków obywatelskich. Jednak ludzie potrzebują od czasu do czasu wskazówek i wytycznych, poza tym zawsze znajdują się osoby, które nie będą się stosować do reguł. Gdybym znał populację składającą się z idealów,

inny wirus – tego nie wiemy. Gdybym wiedział, byłbym najbogatszym człowiekiem świata. Miałbym szklaną kulę, kota i mówiłbym, co będzie dalej.

I wiedząc, co będzie, od razu opracowałby pan szczepionkę, za którą zgarnąłby pan miliardy dolarów, pracując dla Big Pharmacy.

– Która też ma swoich pracowników i musi im płacić, bo nie jest instytucją charytatywną.

Zakładam jednak, że sami nie wymyślają wirusów.

– Nie. Tych jest w przyrodzie pod dostatkiem. Nie trzeba ich wymyślać.

Anna Brzeska

Idź do „Klasy”

Pięćdziesięciu zdolnych ósmoklasistów z mniejszych miejscowości, znajdujących się w trudnej sytuacji finansowej, może dostać stypendium Fundacji BNP Paribas

Beata Igielska

Uczniowie mogą podjąć naukę w renomowanych liceach w pięciu miastach akademickich: w VII LO im. Juliusza Słowackiego w Warszawie (rekrutacja z województw mazowieckiego, łódzkiego, podlaskiego i lubelskiego), I LO im. Bartłomieja Nowodworskiego w Krakowie (rekrutacja z województw małopolskiego, podkarpackiego i świętokrzyskiego), XIV LO im. Polonii Belgijskiej we Wrocławiu (rekrutacja z województw dolnośląskiego, opolskiego, śląskiego, wielkopolskiego i lubuskiego), XIII LO w Szczecinie (rekrutacja z województw zachodniopomorskiego i wielkopolskiego) i III LO im. Marynarki Wojennej RP w Gdyni (rekrutacja z województw pomorskiego, warmińsko-mazurskiego, kujawsko-pomorskiego). Programowi nie można odmówić skuteczności: w ciągu 18 lat Bank BNP Paribas pomógł 770 absolwentom szkół podstawowych i gimnazjów z 350 miejscowości, inwestując w ich edukację 22 mln zł. Co ważniejsze, 100% stypendystów dostaje się na wymarzone studia.

Kuźnia talentów

Jagoda z Kaznowa na Lubelszczyźnie do projektu „Klasa” dostała się w 2010 r. Ukończyła prawo, angażowała się w inicjatywy społeczne. – Realizowałam się jako wolontariusz oraz członkini kół naukowych i stowarzyszeń – wylicza Jagoda. – Na II roku studiów zaczęłam pracę w Biurze Rzecznika Praw Obywatelskich, odbyłam praktyki w Kancelarii Prezydenta RP. Teraz jestem aplikantką adwokacką i pracuję w dziale prawnym międzynarodowego koncernu METRO, zajmującego się zarządzaniem nieruchomościami.

Piotr z Połańca uczęszczał do VII LO w Warszawie w pierwszym

roczniku programu „Klasa”. Ukończył nauki polityczne i prawo na UW oraz Uniwersytecie Karola w Pradze. – W czasie studiów byłem pierwszym prezesem Stowarzyszenia Absolwentów Programu Klasa. Pracowałem w Banku BGŻ. W 2013 r. uzyskałem stypendium na University College London, gdzie rozpocząłem studia trzeciego stopnia. W latach 2015-2019 współpracowałem m.in. z policją, Rzecznikiem Praw Obywa-



100% stypendystów dostaje się na wymarzone studia.

telskich, stowarzyszeniem Lambda Warszawa oraz Organizacją Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie. Od 2019 r. wykładam kryminologię na Birmingham City University – mówi Piotr.

Mariola ukończyła Wyższą Szkołę Sił Powietrznych w Dęblinie. Jest pilotem śmigłowca Mi-2 w 49. Bazie Lotniczej w Pruszcze Gdańskim.

Igor, maturzysta 2015, to młody naukowiec, biolog. W liceum pracował nad autorskim projektem naukowym „Amber Drug” i został jednym z trzech laureatów pierwszej nagro-

dy w krajowej 28. edycji Konkursu Prac Młodych Naukowców UE. We wrześniu pojedzie do Brukseli, reprezentować Polskę w europejskim finale. Jednocześnie przygotowuje się do stażu w Weizmann Institute of Science w Izraelu. Będzie się zajmował biologią molekularną.

Dlaczego „Klasa”?

Uczestnicy programu otrzymują pełne wsparcie finansowe w trakcie nauki w liceum (w tym na pobyt w internacie, wyżywienie, podręczniki, kieszonkowe, udział w wycieczkach szkolnych, wyjazdach kulturalnych i zajęciach dodatkowych) oraz stypendium finansowe na I roku studiów. Ponadto fundacja oferuje udział w integracyjnym obozie językowym (przed rozpoczęciem nauki w liceum) oraz letnim obozie

stypendystów (już w trakcie trwania nauki). Są też pod stałą opieką wychowawcy i pedagogów. Ważny jest program zaangażowania społecznego/wolontariatu „Możesz na mnie polegać”.

Do programu „Klasa” mogą przystąpić uczniowie klas ósmych szkół podstawowych pochodzący ze wsi i z miejscowości do 100 tys. mieszkańców. Dochód w rodzinie ucznia nie może przekraczać 1200 zł na osobę w rodzinie. Muszą także dobrze się uczyć (średnia po I semestrze ósmej klasy szkoły podstawowej powyżej 4,5) i otrzymać rekomendację dyrektora szkoły lub wychowawcy. Ponadto powinni wykazywać ponadprzeciętną motywację i chętnie pomagać innym. ■

Zgłoszenia przyjmowane są do 30 czerwca.

Formularz zgłoszeniowy oraz wszystkie niezbędne informacje znajdują się na stronie internetowej fundacji: <https://www.bnpparibas.pl/fundacja>. Kontakt przez skrzynkę klasa@bnpparibas.pl lub pod numerem telefonu +48 22 56 21 902.

Burzliwe dzieje pomnika Kościuszki

Najpierw Kościuszkę uhonorowali kadeci West Point.
110 lat temu jego monument stanął w Waszyngtonie

Krzysztof Wasilewski

Dewastacja waszyngtońskiego pomnika Tadeusza Kościuszki wywołała w naszym kraju falę powszechnego oburzenia. Mało kto jednak zna losy tego monumentu, równie fascynujące i skomplikowane, jak biografia upamiętnionego nim człowieka.

Pierwszy pomnik, a właściwie cokół, Tadeusza Kościuszki w Stanach Zjednoczonych został odsłonięty już 4 lipca 1828 r. Wśród jego pomysłodawców znalazł się m.in. Robert E. Lee – późniejszy głównodowodzący wojsk Konfederacji w czasie wojny secesyjnej, a wówczas kadet Akademii Wojskowej West Point. To właśnie przyszli oficerowie amerykańskiej armii uznali, że jako pierwszy na terenie uczelni powinien zostać uhonorowany Kościuszko. Przez trzy lata odkładali po 25 centów miesięcznie, aż uzbierali 5 tys. dol. potrzebnych do wzniesienia zaprojektowanego przez ich kolegę postumentu. Właściwy pomnik został umieszczony na kolumnie 1 września 1913 r.

Dar dla narodu amerykańskiego

Pomysł upamiętnienia Kościuszki w Waszyngtonie narodził się w kwietniu 1902 r. Podczas corocznego zjazdu Narodowego Towarzystwa Synów Rewolucji Amerykańskiej, patriotycznego stowarzyszenia zawiązanego w celu podtrzymania pamięci o bohaterach walki o niepodległość USA, wsparto polonijną inicjatywę budowy w Parku Lafayette'a pomników Kazimierza Pułaskiego i gen. Tadeusza Kościuszki. Jak przekonywał Barry Buckley, historyk stowarzyszenia, „Pułaski to pierwszy dowódca kawalerii w amerykańskim wojsku i oficer, który wykazał się dzielnością i walecznością w wielu starciach. Natomiast Kościuszko był najwybitniejszym inżynierem Armii Kontynentalnej”. O ile jednak Izba Reprezentantów już wcześniej zatwierdziła 50 tys. dol. na

upamiętnienie Pułaskiego, o tyle fundusze na pomnik Kościuszki musieli zebrać jego pomysłodawcy.

Ustalono, że pomnik będzie darem osób polskiego pochodzenia dla narodu amerykańskiego. List z prośbą o zaakceptowanie tego rozwiązania, podpisany przez przedstawicieli sześciu organizacji polonijnych w USA, prezydent Theodore Roosevelt otrzymał 14 stycznia 1904 r. Tydzień później o uchwalenie wspólnej rezolucji przez Izbę Reprezentantów i Senat wystąpił kongresmen z Minnesoty James T. McCleary, a prezydent zaapelował do Kongresu o zgodne zagłosowanie w tej sprawie. Tak też się stało – Kongres przyjął rezolucję 18 kwietnia 1904 r.

Zgromadzeniem funduszy zajęli się Związek Narodowy Polski. W niespełna trzy lata udało się zebrać 75 tys. dol. i pod koniec 1906 r. ogłoszono międzynarodowy konkurs na projekt pomnika. Miał on zostać wykonany z brązu i nawiązywać do już istniejącego pomnika gen. Lafayette'a. W konkursie wzięło udział 20 polskich rzeźbiarzy. Dwie prace były dziełem artystów mieszkających w USA. Pozostałe nadesłano z Rosji, Warszawy, Austrii, Niemiec, Paryża i Rzymu.

Słowo Roosevelta

Finał konkursu przewidziano na styczeń 1907 r. W skład jury weszła trójka wybitnych amerykańskich artystów: Lorado Taft – wykładowca w Instytucie Sztuki w Chicago, Henry M. Shady, który niedawno skończył prace nad monumentem Jerzego Waszyngtona w Nowym Jorku, oraz Daniel Chester French – przewodniczący komitetu ds. rzeźb w prestiżowym Metropolitan Museum. Ponieważ budowa pomnika w stolicy musiała zostać zatwierdzona przez Kongres, jury pełniło funkcje doradcze, natomiast ostateczna decyzja należała do specjalnej komisji rządowej. Na jej czele stanął sekretarz wojny William Howard Taft. Wspierali go senator

George Peabody Wetmore oraz kongresmen McCleary.

Jurorzy najwyżej ocenili pracę Stanisława R. Lewandowskiego. W prasowej relacji można było przeczytać, że zwycięski projekt przedstawiał „smukłego i dostojnego mężczyznę, stojącego z wyciągniętą szablą przywartą do piersi. Wyjątkowej konstrukcji jest także cokół, otoczony grupą trzynastu alegorycznych postaci. (...) robią one wrażenie, lecz są mało praktyczne”. Drugie miejsce przyznano projektowi „Wolność po obu stronach globu” Antoniego Popiela. Przedstawiał on Kościuszkę jako inżyniera z mapą w jednej ręce i lunetą w drugiej. Z przodu i z tyłu cokołu znajdowały się półkule ziemskie, strzeżone przez orły, po których prawej stronie stała dwójka kosynierów, po lewej zaś amerykańscy żołnierze z czasów wojny o niepodległość. „Godny i nieprzekombinowany”, oceniał dziennikarz stołeczny „The Evening Star”. Trzecie miejsce otrzymała praca prof. Juliusza Bełtowskiego, przedstawiająca Kościuszkę w momencie wyciągania szabli. U jego stóp siedziała naga postać – „Sława” czy też „Nadzieja” – spoglądająca na generała.

Wydawałoby się, że wraz z decyzją jury wybór projektu został dokonany. Jednakże kilka dni po ogłoszeniu wyników konkursu nadesłanym pracom przyjrzał się Roosevelt, który doskonale orientował się w polskiej historii. Nic zatem dziwnego, że pomnik Kościuszki zwrócił jego uwagę. Roosevelt uznał, że „lepiej współgrać z pomnikami Lafayette'a i Rochambeau” będzie projekt Popiela.

Cóż miała zrobić rządowa komisja Tafta? Z jednej strony musiała wziąć pod uwagę decyzję jury, z drugiej natomiast nie mogła zlekceważyć opinii prezydenta. Ostatecznie komisja przyznała rację Rooseveltowi.

Zdecydowanie mniej emocji budziły równoległe przygotowania do postawienia pomnika Pułaskiego. Sporządzenie projektu powierzono Kazimierzowi Chudzińskiemu,



cenionemu polskiemu rzeźbiarzowi, spod którego ręki wyszedł pomnik Kościuszki w Chicago, odsłonięty w 1904 r. Po kilku poprawkach, wymuszonych m.in. przez zmianę lokalizacji monumentu z Parku Lafayette'a na Pennsylvania Avenue, projekt zyskał aprobatę komisji Tafta i został zatwierdzony do realizacji.

Kłopoty i szczęśliwy finał

Zanim jednak Chudziński mógł podziwiać swoje dzieło, w lipcu 1908 r. rozpoczęto budowę pomnika Kościuszki. Kontrakt na postawienie postumentu otrzymała znana firma Kyle Granite Company. „Będzie to największy tego typu obiekt w Waszyngtonie – długi na 23 stopy (ok. 7 m), szeroki na 20 stóp i dziewięć cali (ok. 6,3 m) oraz wysoki na 17 stóp (ok. 5 m). Jego całkowita waga wyniesie aż 115 t. Do budowy zostanie wykorzystany najlepszy granit z Vermontu”, emocjonowała się stołeczna prasa.

Roboty na dobre jeszcze się nie rozpoczęły, kiedy pojawił się kolejny problem. Z pobliskiej siedziby zajmującego się ochroną przyrody

Pomnik Tadeusza Kościuszki został odsłonięty 10 maja 1910 r.

Ci, którzy zdewastowali pomnik, nie znali losów upamiętnionej nim postaci.



The Cosmos Club zauważono bowiem, że pomnik ma być usytuowany tuż obok wielkiego amerykańskiego wiązu, który był dumą mieszkańców Waszyngtonu. O natychmiastową opinię zwrócono się zatem do płk. Charlesa S. Bromwella, nadzorującego stołeczne budynki i place. Szczęśliwie „pułkownik całym swoim autorytetem potwierdził, że pomnik w żaden sposób nie wpłynie na »wspaniałe stare drzewo«” – informował „The Evening Star”. Ekologów dodatkowo uspokoił sam Roosevelt, który za bezpieczeństwo wiązu poręczył swoim słowem.

Wyraz wierności i oddania

Odsłonięcie pomników Kościuszki i Pułaskiego zaplanowano na 3 maja 1910 r. Ale i tu nie obyło się bez przeszkód. Środowiskom polonijnym zależało, aby w obu wydarzeniach uczestniczył prezydent Taft, który został namaszczonej przez Roosevelta na swojego następcę i zdecydowanie

wygrał wybory w 1908 r. Okazało się jednak, że w tym dniu prezydent będzie przebywał poza stolicą, w związku z czym uroczystości przesunięto na mniej symboliczny dzień 10 maja. Tego dnia Taft uświetnił odsłonięcie pomnika Pułaskiego, zaś do odsłonięcia pomnika Kościuszki wyznaczono sekretarza wojny Jacoba M. Dickinsona. Uroczystości z udziałem prezydenta towarzyszyła salwa armatnia oraz odegranie amerykańskiego hymnu. Na koniec trasą między obydwojma pomnikami przemaszerowały oddziały wojskowe w galowych strojach.

„Na próżno można spekulować, jak skończyłaby się nasza rewolucja, gdyby nie pomoc obcych państw i ich obywateli. Wystarczy powiedzieć, że ci, którzy wsparli nas w walce o wolność i niepodległość, przyczynili się zdecydowanie do naszego ostatecznego sukcesu. Jest zatem ważne i właściwe, abyśmy okazywali im nieustanną wdzięczność. (...) A więc oni wszyscy: Lafayette, Rochambeau, von Steuben, de Kalb, Pułaski, Kościuszko i inni zasługują na pomniki, takie jak ten. Niech wiedzą, że Ameryka jest wdzięczna i pamięta o tych, którzy przybyli do niej, gdy przeżywała trudne chwile”, mówił prezydent Taft.

Miesiąc później na ręce prezydenta trafiło pismo przekazujące pomnik narodowi amerykańskiemu. „Jest to wyraz wierności i oddania, którymi darzymy naszą adoptowaną ojczyznę, za wolność której Tadeusz Kościuszko walczył dzielnie i szlachetnie, a za której dobrobyt i bezpieczeństwo my, Polacy Ameryki, zawsze jesteśmy gotowi przelać naszą krew, tak jak ci dwaj znakomici Polacy i nasi poprzednicy, Kościuszko i Pułaski”.

Odtąd pomnik Tadeusza Kościuszki stał się miejscem zgromadzeń stołecznej Polonii. To tutaj wiwatowano na wieść o odzyskaniu przez Polskę niepodległości w 1918 r. A po 1945 r. stara Polonia i nowi imigranci upominali się o interesy swojej pierwszej ojczyzny. Wydarzenia z przełomu maja i czerwca rozpoczęły nowy okres w dziejach pomnika. Może tym razem stanie się on miejscem nie tylko polskiej pamięci, lecz także wszystkich tych, którym – jak Kościuszce – przyświecają hasła tolerancji i wolności? ■

Churchill: „Chcecie za dużo”

Gdyby nie Stalin, polska granica zachodnia przebiegałaby inaczej

Krzysztof Wasilewski

W trakcie rozmów na temat powojennego ładu w Europie mało która kwestia budziła takie kontrowersje jak kształt nowej Polski. Do ostatniej chwili ważyły się losy jej granicy zachodniej. Powołany we wrześniu 1939 r. polski rząd na uchodźstwie od początku miał ograniczone pole manewru. Jego pozycja wśród zachodnich sojuszników uległa dalszemu pogorszeniu wraz z atakiem Niemiec na Związek Radziecki w czerwcu 1941 r. oraz przystąpieniem do obozu aliantów Stanów Zjednoczonych w grudniu tego samego roku. O ile wcześniej emigracyjne władze były traktowane przez Wielką Brytanię i Francję jako drugorzędny partner, z którym jednak w pewien sposób należało się liczyć,

Polscy komuniści pertraktowali w sprawie zachodniej granicy z przywódcą ZSRR, bo wiedzieli, że ani Churchill, ani Truman nie zadecydują o niej.

o tyle od tej pory postępował proces ich marginalizacji. O ustaleniach konferencji w Teheranie i Jaltie rząd na uchodźstwie nie został nawet formalnie powiadomiony. Ostatecznie 5 lipca 1945 r. USA i Wielka Brytania poinformowały „polski Londyn” o wycofaniu swojego dyplomatycznego uznania i nawiązaniu stosunków z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej z Edwardem Osóbką-Morawskim na czele.

Utworzenie TRJN i jego uznanie przez mocarstwa zachodnie nadało Polsce pewną podmiotowość na arenie międzynarodowej w krytycznym dla jej przyszłości momencie. Zaczynała się właśnie konferencja w Poczdamie, w czasie której miały zapaść najważniejsze decyzje dotyczące powojennego ładu. Spodziewano się, że jedną z najczęściej dyskutowanych kwestii będzie kształt polskiej granicy zachodniej. Granica wschodnia została bowiem już daw-

no wyznaczona przez ZSRR i nie podlegała negocjacom.

Pertraktacje ze Stalinem

Dla polskich komunistów było jasne, że Stalin będzie miał decydujące zdanie także w kwestii granicy zachodniej. Już w styczniu 1944 r. utworzona przez Polską Partię Robotniczą Krajowa Rada Narodowa ogłosiła, że będzie dążyła do „przywrócenia Polsce wszystkich ziem polskich na zachodzie i północy, które zostały przemocą zgermanizowane”. Mniej więcej w tym samym czasie na Kremlu odbyło się spotkanie Stalina z przedstawicielami Związku Patriotów Polskich z Wandą Wasilewską i gen. Zygmunt Berlingiem na czele. Ten ostatni tak je opisał w swoim pamiętniku: „Przeprosiwszy obecnych, Stalin

stem Gdańskiem w okresie międzywojennym. Zgadzając się z argumentacją Berlinga, Stalin „podszedł do swego biurka i przyniósł linijkę. Przyłożył ją jednym końcem tuż na zachód od Świnoujścia, a drugim – na południe od Szczecina, tym samym ołówkiem połączył te dwa punkty czerwoną linią prostą”. Kiedy jednak dyskusja zesłała na granicę wschodnią, gospodarz nie był już tak otwarty na polskie propozycje. Co prawda dopuszczał możliwość niewielkich zmian, lecz podkreślał zarazem, że musi zostać „naprawiona krzywda, jaką narzucony Związkowi Radzieckiemu traktat ryski w 1921 r. wyrządził Ukraińcom i Białorusinom”.

Porozumienie z ZSRR w sprawie granic

Wraz z powołaniem Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego rozmowy na temat granic nabrały tempa. Pod koniec lipca 1944 r. doszło do kolejnego spotkania na szczycie, podczas którego Stalin zgodził się na korektę w rejonie Suwalszczyzny i Augustowa – tym razem kosztem Litwy. W dalszym ciągu polska delegacja domagała się pewnych zmian na zachodzie, zwłaszcza oparcia granicy na Nysie Łużyckiej. Postulowano także przyłączenie do Polski wyspy Rugii. Stojący na czele polskiej delegacji Edward Osóbka-Morawski wspominał: „Na Rugię to Stalin odpowiedział, że chyba możemy ją zdobyć po III wojnie światowej, bo teraz jest to niemożliwe. Ale argumenty strategiczne trafiały do jego przekonania. Więc na tej mapie czerwonym kolorem sześciokątnego ołówka niebiesko-czerwonego nakreślił linię na Odrze i Nysie Łużyckiej i powiedział, że zapiszemy do protokołu, że Związek Radziecki zobowiązuje się bronić praw Polski do osiągnięcia granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej”.

Po spotkaniu, 25 lipca 1944 r., podczas obrad PKWN podsumowano kwestię granic. W protokole zapisano:

opuścić na kilka chwil zebranych, wyszedł z sali i za chwilę wrócił z dużą, rozwiniętą mapą – widocznie zdjętą ze ściany – i rozłożył ją na stole. Stalin pochylał się nad nią i przyniesionym z nią razem czerwonym ołówkiem nakreślił na niej historyczną linię. Rozpoczął się w Dziwnowie, u ujścia do Bałtyku wschodniego dopływu Odry, tym dopływem granica biegła wzdłuż wschodniego brzegu wyspy Wolin do Zalewu Szczecińskiego, dalej jego środkiem na południe, do Szczecina, a stamtąd w górę Odry do ujścia Nysy Łużyckiej i dalej w górę rzeki, w kierunku dawnej, przedwojennej granicy niemiecko-czechosłowackiej”.

Dalej Berling wspomina, że zainteresował Stalina sprawą Świnoujścia. Zdaniem generała nieuwzględnienie tego miasta w granicach Polski pozbawiłoby ją wyjścia na pełne morze, co mogło doprowadzić do podobnych problemów, jak z Wolnym Mia-



Wiosną 1945 r. nad Odrą stanęły polskie słupy graniczne.

„Obywatele Morawski, Witos, Grubecki, Drobner, Rola, Minc, którzy pertraktowali w sprawie granic, zgodnie stwierdzili, że to, co osiągnięto, było maksimum tego, co można było osiągnąć. Dalsze żądania mogły grozić w ogóle zerwaniem rokowań”. Dwa dni później zostało podpisane porozumienie w sprawie granic z ZSRR. Pierwsze trzy punkty dokumentu dotyczyły granicy polsko-radzieckiej, która – poza pewnymi korektami – miała opierać się na tzw. linii Curzona. Zgodnie z artykułem drugim „północną część terytorium Prus Wschodnich

ki Odry do ujścia rzeki Nysy, a stąd rzeką Nysą do czechosłowackiej granicy. Rząd radziecki przyjmuje na siebie zobowiązanie przy ustalaniu granicy państwowej między Polską a Niemcami popierać żądanie ustalenia granicy według wymienionej wyżej linii”.

Kwestię granicy wschodniej można było zatem uważać za zamkniętą na długo przed zakończeniem działań wojennych. Warto jednak zauważyć, że w sprawie granicy zachodniej Polacy z KRN, a następnie PKWN mieli pewne pole manewru. Z pewnością

ciu milionów Niemców. Nie chcemy Wrocławia i Szczecina”.

Przed Poczdamiem

„Chcę współpracować ze Stanami Zjednoczonymi w czasie pokoju, tak jak współpracowaliśmy w czasie wojny, ale współpraca w czasie pokoju będzie zapewne o wiele trudniejsza”, usłyszał Harry Truman od Stalina podczas pierwszego spotkania w Poczdamiu. Wkrótce amerykański prezydent przekonał się o prawdziwości słów radzieckiego przywódcy w odniesieniu do kwestii granicy polsko-niemieckiej. Po kilku nieudanych próbach wyjścia z impasu Truman załaził się w liście do żony: „W sprawie Polski, jej granicy zachodniej i reparacji wojennych, nie osiągnęliśmy do tej pory porozumienia. Rosja i Polska zgodziły się co do przebiegu granicy na Odrze i Nysie Zachodniej aż do granicy czechosłowackiej, nie pytając nas w ogóle o zgodę. Nie podoba mi się to”.

Jeszcze przed rozpoczęciem konferencji, 10 lipca 1945 r. władze polskie wystosowały do USA, ZSRR i Wielkiej Brytanii memoriał „Postulaty Polski w sprawie granicy zachodniej”. Odwołując się do ustaleń

O ustaleniach konferencji w Teheranie i Jaltcie rząd na uchodźstwie nie został nawet formalnie powiadomiony.

wraz z miastem portem Königsberg odchodzi do Związku Radzieckiego, a pozostała część Prus Wschodnich oraz obwód gdański z miastem i portem Gdańsk odchodzi do Polski”.

Granicy zachodniej dotyczył punkt czwarty porozumienia, który głosił: „Rząd ZSRR uznał również, że granica między Polską a Niemcami winna być ustalona wzdłuż linii na zachód od Świnoujścia do rzeki Odry, pozostawiając miasto Szczecin po stronie polskiej, dalej w górę rze-

byli też bardziej zaangażowani w proces wyznaczania przyszłego kształtu państwa polskiego niż władze emigracyjne, których przecież nie informowano o ustaleniach w Teheranie i Jaltcie. Sytuacji nie poprawiał fakt, że jeszcze w grudniu 1944 r. Tomasz Arciszewski, stojący na czele emigracyjnego rządu – wciąż formalnie uznawanego przez zachodnie mocarstwa – stwierdził, że „nie chcemy rozszerzać naszej granicy na zachód, tak aby wchłonąć osiem do dziesię-

► konferencji jałtańskiej, przypomina, że trzy mocarstwa ustaliły kształt polskiej granicy wschodniej wzdłuż linii Curzona, w związku z tym rekompensata terytorialna powinna odbyć się kosztem Niemiec. „Polska przez cały czas wojny stała niezmiennie po stronie Sprzymierzonych, a stale i konsekwentnie przeciw Niemcom, odrzucając stanowczo wszelkie propozycje i sugestie współpracy z Niemcami. Polacy, walcząc ofiarnie na wielu frontach w kraju i za granicą, przyczynili się w miarę swych sił do zwycięstwa Sprzymierzonych. Z tych powodów winna Polska otrzymać zadośćuczynienie moralne i materialne, odpowiednio do swych potrzeb demograficznych i gospodarczych”.

Stalin „przyłożył linijkę jednym końcem na zachód od Świnoujścia, a drugim na południe od Szczecina, połączył te dwa punkty czerwoną linią prostą”.

Memorandum jasno stwierdzało, że „Polska pragnie ustalenia swej zachodniej granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej łącznie ze Szczecinem”. Jak argumentowano, przyłączenie ziem niemieckich było konieczne do zachowania „faktycznej prężności narodu polskiego”. Co więcej, nawet z nowymi nabytkami terytorium państwa byłoby o 22% mniejsze od przedwojennego, w związku z czym „roszczenia Polski są więc umiarkowane”. Do dokumentu dołączono pięć załączników, w tym analizę potrzeb demograficznych oraz rys historyczny, wskazujący na związki postulowanych ziem z Polską.

Spóźniona polska delegacja u Trumana

Warszawa została bezpośrednio włączona do rozmów tydzień po rozpoczęciu konferencji. W imieniu zwycięskich mocarstw 23 lipca 1945 r. „dwóch lub trzech przedstawicieli” polskiego rządu oficjalnie zaprosił prezydent Truman. W natychmiastowej odpowiedzi Warszawa zapowiedziała przyjazd trzech delegatów: premiera Osóbki-Morawskiego, wicepremiera Stanisława Mikołajczyka oraz ministra spraw zagranicznych Wincentego Rzymowskiego. Do rządowej reprezentacji miał także do-

łączyć Bolesław Bierut, sprawujący funkcję głowy państwa. Ostatecznie polska delegacja rozrosła się do kilkunastu osób. W Poczdamie pojawili się zatem m.in. wicepremier Władysław Gomułka, wiceprezydent Krajowej Rady Narodowej Stanisław Grabski, minister obrony narodowej gen. Michał Rola-Żymierski, wiceminister spraw zagranicznych Zygmunt Modzelewski oraz minister pracy i opieki społecznej Jan Stańczyk.

Do spotkania Trumana z polską delegacją doszło 24 lipca 1945 r. w poczdamskiej dzielnicy Babelsberg. Trwało ono zaledwie kwadrans i trudno uznać je za udane. Amerykańskiego prezydenta ziryutował fakt, że w wyniku przeciągającego się spotkania Polaków z Churchilllem przybyli oni

z 15-minutowym opóźnieniem. Chcąc okazać gościom niezadowolenie, pozwolił krótko wypowiedzieć się jedynie Bierutowi, po czym sam zabrał głos. W odpowiedzi na słowa polskiego prezydenta o konieczności wyznaczenia zachodniej granicy wzdłuż Odry i Nysy Łużyckiej Truman podkreślił, że dobro Polski leży mu na sercu i robi wszystko, aby sprawiedliwości stało się zadość. Nie mógł jednak zaakceptować polsko-radzieckich ustaleń w sprawie granicy, które podjęto bez akceptacji zachodnich sojuszników.

Zdaniem amerykańskiego prezydenta wszelkie konkrety dotyczące powojennego kształtu granic w Europie powinny zostać odłożone do czasu zwołania konferencji pokojowej. Ostrzegając, że dążenie do szybszego uregulowania tej sprawy stanie się „źródłem nieporozumienia” między Polską a mocarstwami zachodnimi, co utrudni utrzymanie przyjacielskich relacji. „Przecież chodzi o terytorium Niemiec”, wtrącił Bierut, przypominając, które państwo było odpowiedzialne za wybuch wojny. Do tych słów Truman nie ustosunkował się wprost. Zauważył jedynie, że zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami za okupację całego terytorium Niemiec odpowiadały cztery państwa. „Nie chcę, aby uczestniczyło w tym

jeszcze jedno państwo”, podkreślał zirytowany.

Truman radził, aby Polska wzięta przykład z Francji. Francuzi – tłumaczył – zapewne zechcą przyłączyć Zagłębie Ruhry i Nadrenię, ale nikt w Paryżu nie domaga się już teraz zaanektowania części zachodniego terytorium Niemiec. Trzeba zatem cierpliwie czekać na przedyskutowanie tej sprawy przez mocarstwa i ich zgodną decyzję. „Rozumiem to spojrzenie od strony formalnej, ale co zrobić z masą bezdomnych, których przesiedlono na nowe tereny, a które – wszyscy się przecież zgodzili – stanowią rekompensatę za utracone ziemie na Wschodzie?”, pytał Bierut. Dodawał, że dotyczy to 4 mln mieszkańców Kresów oraz 3 mln Polaków przebywających obecnie w Niemczech i Europie Zachodniej. Truman pozostał jednak niewzruszony. Powtórzył, że sprawa granic będzie przedmiotem konferencji pokojowej i nie zgadza się na jej załatwienie w Poczdamie.

Następnego dnia, 25 lipca, równo o godz. 10 rano Bierut po raz drugi spotkał się z Churchilllem. Brytyjski premier nie był w najlepszym nastroju, na czym – jak pisał w swoich pamiętnikach – zaważył sen z poprzedniej nocy, w którym zobaczył siebie martwego. Lepiej jednak potrafił ukryć swoje emocje niż Truman. „Dotychczas znajdowaliśmy się po przeciwnych stronach, ale cieszę się, że w końcu udało nam się nam porozumieć [w kwestii utworzenia tymczasowego rządu – przyp. aut.]”, zaczął Churchill. Następnie zapytał swojego gościa, czy planuje przekształcić Polskę na radziecką modłę. W odpowiedzi Bierut stwierdził, że Polska i ZSRR mają różne tradycje, dlatego też jej rozwój będzie się opierał na zachodnich wzorcach demokratycznych. Wracając do sprawy granicy, Churchill zapowiedział, że był gotowy poprzeć proponowaną linię wzdłuż Odry, choć nie w całej rozciągłości. „Chcicie za dużo. W rezultacie możemy nie dojść do porozumienia – ostrzegając Bieruta. – Razem z Amerykanami możemy upierać się przy swoich rozwiązaniach, Rosjanie przy swoich. Taka postawa będzie rodziła poważne konsekwencje”.

28 lipca 1945 r. polska delegacja przekazała trzem mocarstwom

kolejny memoriał dotyczący granicy zachodniej. Składał się na niego list prof. Stanisława Grabskiego oraz trzy załączniki: „Powody obśadczenia terenów nad Odrą i Nysą Łużycką przez Polskę”, „Porównanie wartości gospodarczej terenów odstąpionych ZSRR i terenów zachodnich po Odrę i Nysę Łużycką” oraz „Potrzeby ludnościowe Polski”. Jak przekonywał Grabski, „żeby Polska nie stała się uciążliwym klientem Związku Radzieckiego, zdany całkowicie na jego obronę, aby była jego cennym sojusznikiem, jak również wielkich zachodnich demokracji, (...) musi ona uzyskać warunki znacznie szybszego, niż to było dotychczas, gospodarczego postępu, tak by najdalej po 20 latach przypadający na głowę ludności dochód jej społeczny zrównał się z dochodem społecznym Niemiec”.

Twarda geopolityka

Trudno ocenić, na ile działania polskiej delegacji podczas konferencji poczdamskiej doprowadziły do ostatecznego uznania nabytków terytorialnych na zachodzie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że przedstawiciele władz krajowych byli je-

dynymi polskimi politykami, którzy w ówczesnych warunkach mogli realnie wpływać na decyzje w sprawie kształtu granicy z Niemcami. Być może racja moralna stała po stronie „polskiego Londynu”, lecz o przyszłości kraju w 1945 r. decydowała twarda geopolityka. Wśród emigracyjnych władz rozumieli to nieliczni. Jednym z wyjątków był Stanisław

Do Stalina trafiały argumenty strategiczne. Czerwonym kolorem nakreślił linię na Odrze i Nysie Łużyckiej.

Mikołajczyk. Jego przystąpienie do rządu tymczasowego w Warszawie było ryzykowne i w ostatecznym rachunku zakończyło się osobistą porażką, ale w krytycznym momencie umocniło pozycję Polski na arenie międzynarodowej i w stosunku do granicy zachodniej pozwoliło zrealizować program maksimum.

W rezultacie 1 sierpnia 1945 r., w przeddzień zakończenia konferencji w Poczdamie, opublikowano komunikat: „Szefowie trzech rządów potwierdzili swój pogląd, że ostateczne ustalenie zachodniej granicy Polski powinno być odłożone do konferencji pokojowej. Szefowie trzech rządów są zgodni

co do tego, że zanim nastąpi ostateczne określenie zachodniej granicy Polski, były niemieckie terytoria na wschód od linii biegnącej od Morza Bałtyckiego, bezpośrednio na zachód od Świnoujścia i stąd wzdłuż rzeki Odry do miejsca, gdzie wpada zachodnia Nysa, i wzdłuż zachodniej Nysy do granicy czesko-słowackiej, łącznie z tą częścią Prus

Wschodnich, która zgodnie z porozumieniem osiągniętym na niniejszej konferencji, nie została oddana pod administrację ZSRR, i włączając obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, powinny znajdować się pod zarządem państwa polskiego i pod tym względem nie powinny być uważane za część radzieckiej strefy okupacyjnej Niemiec”.

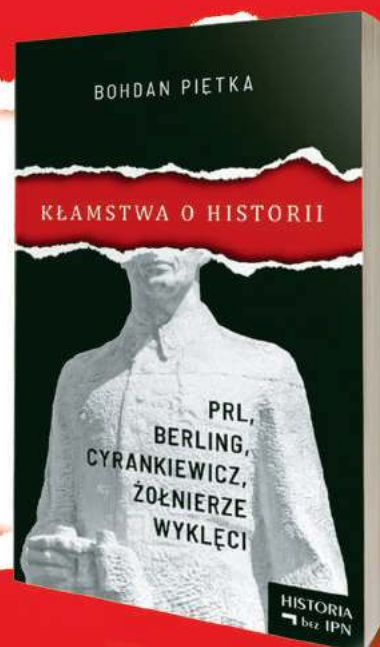
Kwestia polskiej granicy zachodniej była podnoszona na arenie międzynarodowej jeszcze wielokrotnie, jednak nikt nie mógł już podważyć jej kształtu wypracowanego w Poczdamie. Przy udziale polskiej delegacji.

Krzysztof Wasilewski

**Dlaczego niszczone jest pomnik gen. Berlinga?
Dlaczego ukazują się kłamliwe informacje
o pobycie Józefa Cyrankiewicza w Auschwitz?
Dlaczego fałszowany jest prawdziwy
obraz Polski w latach 1944–1947?**

45 zł

E-BOOK 19,90 zł



www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Wpłaty 45 zł prosimy dokonywać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7. W cenę wliczony jest koszt wysyłki nierejestrowanej Poczta Polska. Istnieje możliwość wysyłki poleconej priorytetowej +10,00 zł, paczka w RUCH-u +6,99 zł lub dostawa kurierem InPost +14,90 zł.

Rozmawia Bronisław Tumitowicz

Z kim na orbitę?

W przestrzeni okołoziemskiej mamy wyścig między firmami komercyjnymi

Jesteśmy świadkami wyścigu w zdobywaniu kosmosu. Czy to gra o prestiż, nowe zdobycze naukowe, może o pieniądze czy wreszcie o militarne panowanie nad światem?

– W zasadzie chodzi po części o wszystko. Uczestnicy wyścigu mają wiele celów i starają się je osiągnąć z różnym natężeniem. Ale warto zwrócić uwagę na nowe zjawisko. Od paru dekad widać coraz wyraźniej, że działalność poszczególnych państw uczestniczących w programach kosmicznych już nie jest dominująca. Wystarczy porównać środki, jakie przeznaczyły władze państw, z wydatkami prywatnych konsorcjów, nierzadko ponadpaństwowych, czy z kapitałem międzynarodowym. W 2018 r. przemysł kosmiczny zarobił ok. 360 mld dol., z czego ok. 277 mld dol. przypada na działalność czysto komercyjną. Spektakularne loty załogowe i kosmiczne programy militarne przyniosły zaangażowanym przedsiębiorstwom zysk ok. 80 mld dol. W tle szumnie opisywanych działań w kosmosie mamy więc wyścig między firmami komercyjnymi, amerykańskimi i innymi. Zawsze w tej rywalizacji chodziło o prestiż, o polityczny wymiar dowodzący, że dane państwo jest potęgą. Tak się dzieje i dzisiaj, ale to było zwłaszcza aktualne od początku lat 60. Byliśmy przekonani, że to ZSRR ma palmę pierwszeństwa, bo wysłał w kosmos pierwszy

DR HAB. MAREK CZAJKOWSKI

– doktor nauk humanistycznych, profesor nadzwyczajny w Zakładzie Bezpieczeństwa Narodowego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Członek Polskiego Towarzystwa Stosunków Międzynarodowych i The Academy of Political Science.

program zwiadu optycznego dość dokładnie policzył wszystkie radzieckie wyrzutnie pocisków balistycznych dzięki zdjęciom wykonywanym z kosmosu. Już w 1962 r., w trakcie kryzysu kubańskiego, ta wiedza pozwoliła prezydentowi Kennedy'emu na twarde negocjacje z Rosjanami. **Dziś podbój przestrzeni okołoziemskiej jest w dużym stopniu sprywatyzowany. W pracy „Nowy wyścig kosmiczny XXI w. – USA, Chiny i Rosja” pisze pan, że firma Elona Muska SpaceX otrzymała w marcu 2018 r. zgodę na budowę konstelacji złożonej aż z 4425 satelitów.**

– Proces budowy konstelacji Starlink rozpoczął się już w zeszłym roku. Dziewięć dotychczasowych misji

– Musk współpracuje z państwową agencją NASA, więc państwo nie traci na znaczeniu, ale niepaństwowi uczestnicy wyścigu uzyskują pewną autonomię i dbają o własne interesy, niekoniecznie zgodne z interesami danego państwa. To się zresztą staje w ogóle cechą międzynarodowych stosunków politycznych i gospodarczych, że obok decyzji prezydentów czy szefów rządów pojawiają się na niemal równych prawach interesy ponadpaństwowych organizacji gospodarczych.

Zaskakujące w pańskiej pracy jest stwierdzenie, że Rosja straciła już nawet pozycję drugiego mocarstwa kosmicznego, ustępując Chinom.

– Rosjanie dysponują ogromną wiedzą i dobrym poziomem techniki, więc wyprzedzają Chiny w niektórych dziedzinach, ale na zastosowanie tej wiedzy brakuje im środków, bo są słabsi ekonomicznie, pomijając pewne naprężenia wewnętrzne. Chińczycy potrafią wytyczać bardziej przyszłościowe cele i ta ich przewaga będzie się powiększać.

Czyli o postępie w penetracji Kosmosu zadecydują siła gospodarki i pieniądze?

– Można przodować w badaniach naukowych i rozwiązaniach technologicznych, ale zaraz pojawia się pytanie, jakie pieniądze stoją za nowoczesną techniką. Zwycięzca ten, który może sfinansować ambitne zadania. W latach 60. Amerykanie zorganizowali program Apollo w celu doprowadzenia do pierwszego lotu na Księżyc. Dzięki temu powstała gigantyczna rakietą nośna Saturn V, cały system jej obsługi oraz lądowniki księżycowe. Ale wtedy, w szczytowym okresie wydatków w drugiej połowie lat 60., NASA pożerała prawie 4,5% budżetu USA. Dziś ta agencja jest uboższa, musi zadowolić się 0,5% budżetu, przerzuca więc zadania do sektora prywatnego i cywilnego w formie outsourcingu. Ponad 10 lat temu administracja prezydenta Baracka Obamy rozpisła konkurs na dostarczenie

Polskie urzędnicy są już na Marsie. W tej dziedzinie osiągnęliśmy poziom światowy.

sputnik, potem psa Łajkę, potem Gagarina. Amerykanie tymczasem utajali swoje militarne możliwości, a my nie dostrzegaliśmy, że oni już wtedy budowali przewagę w kosmosie.

Oficjalnie uważa się, że dopiero po amerykańskich lotach na Księżyc Rosjanie musieli uznać, że przegrali.

– Wcześniej docierały do nas jedynie wiadomości dotyczące osiągnięć ZSRR, a sam wyścig miał przecież wiele wymiarów. O tym, jak wyglądały sukcesy USA na początku lat 60., jeszcze do niedawna nie wiedzieliśmy nic. Tymczasem amerykański

umieściło po ok. 60 satelitów systemu. Docelowo zyski z działalności tej konstelacji mają wynosić rocznie 30-50 mld dol. Z tymi pieniędzmi Musk zamierza doprowadzić do podboju Marsa, pragnie zostać tam pochowany. Podobnych bogatych wizjonerów jest więcej, spektakularnym przykładem jest Jeff Bezos, właściciel m.in. Amazona.

Czy to zachcianka multimiliardera, czy jeszcze jedna cegiełka w podnoszeniu światowego prestiżu USA, która wpływa na systemy bezpieczeństwa, równowagi bądź nierównowagi sił?



Przylądek Canaveral, 23 maja 2020 r. Astronaucci Douglas Hurley (z lewej) i Robert Behnken przed historyczną misją SpaceX i NASA.

towarów na Międzynarodową Stację Kosmiczną. Oczywiście wcześniej też NASA korzystała z możliwości technicznych partnerów zewnętrznych, którzy na jej zlecenie wykonywali zadania – logo tych spółek pojawiły się na pojazdach kosmicznych czy urządzeniach na stacji orbitalnej. Dziś mamy nową sytuację – państwo zleca wykonawcy zewnętrznemu całkowitą usługę. Amerykańscy astronauta lecą dziś w kosmos pod szyldem SpaceX. **Ale na skafandrach mają wciąż flagę USA.**

– Są wysłannikami NASA, lecz ich zależność są już innego typu. Wcześniej, np. przy programie Apollo, NASA integrowała wszystkie składowe, teraz szkolenie, centrum obsługi i kierowanie lotem należą do SpaceX, NASA dostarcza standardów technicznych i kontroluje ich przestrzeganie.

Czy Europejska Agencja Kosmiczna, w ramach której współpracuje wiele firm z Polski, też ma szansę dołączyć do wielkich graczy?

– Europejska Agencja Kosmiczna jest w dużej mierze przedłużeniem francuskiego programu kosmicznego. Francja organizuje wysiłek europejski w tym zakresie i dyktuje warunki. Ma on charakter cywilny, zajmuje się głównie nawigacją satelitarną, programami komunikacyjnymi itd. Może też współpracować z programami wojskowymi, ale to nie jest priorytet.

Czyli stanowi odbicie ambicji mocarstwowych Francji?

– Każde państwo uważające się za mocarstwo chce dawać dowody prestiżu i pokazywać, że ma możliwości korzystania z działalności w kosmosie. Jak to robi, zależy od specyfiki kraju i jego sytuacji zewnętrznej. Chińczycy i Rosjanie wiele mówią o swoich programach, co nie znaczy, że wszystko realizują, bo z faktycznymi możliwościami jest gorzej. Ale mają swoje loty załogowe, budują większe obiekty orbitalne, wysyłają próbniki na Księżyc – Chińczycy nawet przymierzają się

W 2018 r. przemysł kosmiczny zarobił 360 mld dol., z czego 277 mld dol. przypada na działalność komercyjną.

do lotu załogowego. Niewątpliwie mają taki zamiar, ale to, co mówią i oni, i Rosjanie, można niekiedy traktować z przymrużeniem oka, bo to ma w dużej mierze charakter propagandowy.

A inni uczestnicy krajowych programów kosmicznych?

– Inny jest kształt programów kosmicznych Izraela, który swoje środki techniczne kieruje na cele obronne. Z kolei program kosmiczny Indii jest cywilny, nakierowany na wspieranie rozwoju państwa, np. obrazowanie zagrożeń dla rolnictwa i komunikację. Jest też oczywiście potrzeba budowania prestiżu i tu naturalnym konkurentem na terenie Azji okazują się Chiny, którym Indie bardzo chciałyby

dorównać w zastosowaniach nowoczesnych technologii, umieszczaniu satelitów na orbicie itd. Kosmiczny program japoński jest bardzo pragmatyczny, chodzi o zdolność wysyłania rakiet i własnych systemów łączności rozwijanych przez krajową agencję kosmiczną Jaxa.

Wiele agencji robi więc praktycznie to samo.

– Warto zauważyć, że poszczególne kraje, a nawet firmy, organizacje czy choćby uczelnie mogą na własne potrzeby korzystać z przestrzeni kosmicznej, kupując takie usługi, które aktualnie są dostępne na rynku.

To już nie wiedza wymagająca ogromnego zaplecza i gigantycznych środków, ale zwykłe zamówienie?

– Wykupienie satelitarnych usług komercyjnych w dziedzinie komunikacji to banalna sprawa. Praktycznie dostępna dla każdego kraju, nie mówiąc o najbogatszych obywatelach. Idzie się do sklepu, a wielkie firmy działające w branży kosmicznej i dysponujące konstelacjami satelitów mają sporo do zaoferowania. Administracja publiczna może zamówić satelitarne zobrazowanie np. terenów zalesionych, a nawet policzyć drzewa czy poszukiwać z kosmosu bogactw naturalnych. Jeśli nawet dany kraj nie ma własnych satelitów, może je kupić z odpowiednim oprogramowaniem albo kupić zdjęcia jakiegoś obszaru, żeby stwierdzić rozmiar zniszczeń po katastrofie itp. Dowolne zdjęcia satelitarne

wykonywać różne firmy prywatne. Dostępność usług kosmicznych przekracza zdolności techniczne wielu krajów świata.

Co jest dziś podstawowym celem badawczym i rozwojowym dla wielkich agencji czy firm kosmicznych? Znaleźnienie bogactw naturalnych na Księżycu czy na Marsie? Zbadanie dalszych planet Układu Słonecznego? Znaleźnienie śladów życia w kosmosie?

– Szukanie śladów życia poza Ziemią to domena naukowych entuzjastów i amatorów. Mars i Księżyc nie interesują nas na razie ani jako źródło surowców, ani militarnie, o czym zresztą i tak by się nie

► mówiło. Obszarem penetracji i wyraźnego zainteresowania jest strefa okołoziemiska. Najpierw się bada, czy dana technologia albo misja kosmiczna jest do sfinansowania, a dopiero później podejmuje działania praktyczne. Program Apollo po 12 lotach na Księżyc został zakończony, a powstała na jego potrzeby najpotężniejsza raketa kosmiczna, zdolna do wyniesienia na orbitę ładunków o masie do 130 ton po wygranym wyścigu na Księżyc okazała się niepotrzebna i poszła w odstawkę. Opłacalne są natomiast działania na orbicie okołoziemskiej, pozyskiwanie różnych danych, obserwacje, komunikacja, dalej turystyka kosmiczna, produkcja materiałów o szczególnych właściwościach, które można tworzyć w stanie nieważkości. Jeśli myślimy o górnictwie kosmicznym, to rozważane jest pozyskiwanie surowców z asteroid, bo to mogłoby się jakoś opłacić.

A marzenia o Marsie są realne?

– Wysyłanie na Marsa obiektów, a z czasem ludzi, to raczej nie wynik jakichś kalkulacji ekonomicznych, ale sposób budowania prestiżu i dalekośiężnej wizji. SpaceX pracuje konsekwentnie w tym kierunku. Musk finansuje szeroko zakrojone badania, inwestuje w budowę nowych systemów, bada, jak dotrzeć na Marsa i jak tam się osiedlić. Ostatnia próba z ogromną raketą Starship, która ma m.in. służyć jako podstawa systemu

transportu na Marsa, nie powiodła się, ale dalsze próby trwają, buduje się także nowe generacje silników.

Niewiele jest takich podmiotów jak SpaceX, które stać na samodzielne badania i realizację drogiego programu. Poddób kosmosu to zatem doskonała okazja do współpracy.

– Do współpracy między państwami dochodzi wtedy, gdy mają wspólne interesy i chcą coś osiągnąć w przestrzeni kosmicznej, ale samodzielnie nie znajdują źródeł finansowania. Takie wspólne działania są najmilej widziane, gdy współpraca nie jest obciążona żadnymi zaszłością. Partnerzy dzielą się sprawiedliwie kosztami i odnoszą wspólne korzyści. Już w latach 60. powstawały takie komercyjne konsorcja blisko współpracujące z państwowymi agencjami, m.in. w celu uzyskania połączeń telewizji satelitarnej. Ważne jest też to, że przestrzeń kosmiczna jest traktowana jako przestrzeń wspólna, podległa wyłącznie prawom fizyki.

Jak na tym tle wypada Polska?

– Korzystamy z tych możliwości na miarę naszych sił. Najbardziej spektakularne osiągnięcia to te, że polskie urzędnicy są już na Marsie, i to w dwóch miejscach. Marsjański fazyk Curiosity wysłany przez NASA osiem lat temu, wyposażony jest w detektory podczerwieni wyprodukowane w firmie VIGO Systems z Ożarowa Mazowieckiego. W tej dziedzinie osiągnęliśmy poziom światowy. Inna sonda, która przed dwoma laty wylądowała na Marsie, Insight, ma urządzenie do wiercenia w tamtejszej glebie, mechanizm udarowy penetratora wykonało Centrum Badań Kosmicznych PAN przy współpracy z firmą Astronika. Podobne urządzenie wykonane w CBK PAN przy współpracy z kilkoma przedsiębiorstwami miało wylądować w 2014 r. na komicie Czuriomowa/Gierasimienko na pokładzie lądownika Philae należącego do europejskiej sondy Rosetta i stamtąd pobrać próbki do badań. Mamy też firmę SpaceForest z Gdyni, która zajmuje się konstruowaniem rakiet suborbitalnych i zamierza je produkować komercyjnie. Pierwszy lot rakiety Peru odbył się w kwietniu tego roku.

Polska nie ma jeszcze własnego sputnika, choć zręby takiego programu już powstały w resorcie nauki.

– Jest wiele satelitów wyposażonych w polskie urządzenia, ale żaden nie został wystrzelony na orbitę z terenu naszego kraju. Pytanie, czy chcemy go sami zbudować, czy kupić. Posiadanie własnego sputnika nie jest dzisiaj wielkim problemem, wystarczy zamówić go w firmie, która się tym zajmuje i za kilkaset tysięcy dolarów zrealizuje taką usługę. Istotny jest problem, jaką misję realizować. Wiele szanujących się uniwersytetów eksploatuje takie orbitalne obiekty.

Kosmos jest wciąż przestrzenią wspólną, ale czy jakieś prawo reguluje korzystanie z tego, co nad Ziemią?

– Istnieje układ o zasadach działalności państw w zakresie badań i użytkowania przestrzeni kosmicznej łącznie z Księżycem i innymi ciałami niebieskimi, zwany też Traktatem o przestrzeni kosmicznej. To bardzo prosty układ, który zobowiązuje uczestników, aby kosmos był wolny od broni masowego rażenia, by działania tu podejmowane miały na celu dobro całej ludzkości i by ta przestrzeń była terenem zgodnej współpracy. Taka regulacja wystarczała, gdy 60 lat temu państwa nie wiedziały, jakie będą nasze możliwości techniczne, więc uregulowano tylko podstawowe kwestie. Do tej pory to się nie zmieniło, ale wielu komentatorów twierdzi, że prawo kosmiczne nie jest rozwinięte. Są więc różne jednostronne deklaracje, ale nowych porozumień nie widać. Na mocy prawa wewnętrznego Stanów Zjednoczonych uznano, że przedsiębiorstwa amerykańskie, które pozyskają w kosmosie jakieś surowce, staną się ich właścicielami. Na razie do takiej sytuacji jest daleko, ale... Potrzebne są nowsze regulacje uwzględniające działania w dalszej perspektywie.

Czy Uniwersytet Jagielloński ma własnego satelitę?

– Nie, ale bardzo wiele uniwersytetów ma takie satelity. Nie tylko czołowe, najbogatsze uczelnie o globalnym znaczeniu, ale np. Uniwersytet w Aalborgu w Danii czy też w Vigo w Hiszpanii. Uniwersytet Jagielloński ma natomiast własną winnicę, która wytwarza bardzo dobre, chociaż drogie wino.

Zapewne niektórzy entuzjaści przynajmniej w ten sposób osiągną stan nieważkości.

Bronisław Tumitowicz

Pod koniec roku szkolnego pisowski minister edukacji narodowej agituje na rzecz pisowskiego kandydata na prezydenta – **nie dziwi się tygodnik „NIE” w najnowszym numerze.**



Oko w oko



Tomasz Jastrun

Na progu

Czytam przedostatni tom dzienników Sándora Márai. Ma 69 lat, a już czuje się stary. Stary nie na żarty. A jak jest ze mną? Też mam 69 lat. Czuję się chyba mniej stary niż Márai. Ale jestem na progu, chyba już po drugiej jego stronie. Mój ojciec miał niewiele ponad 30 lat, gdy pisał z ubolewaniem „w moim wieku”. W XIX w. już 50-latek uchodził za starego człowieka. Rozumiem Máraiego, gdy pisze: „W starości jest jakiś element cyrkowy, coś jak człowiek porośnięty sierścią czy kobietą z brodą. Zjawisko wystawione na widok publiczny. Na które oglądający patrzą ze szczyptą obrzydzenia i mówią: Coś takiego...”. Zainspirowany zapisałbym to tak: Ludzie dwojako reagują na starość. Jedni wchodzi w nią jakby nigdy nic, nowa pora roku, oziębiło się, tak bywa, więc nie ma co wydziwiać, deszcz ze śniegiem zaczyna padać, więc kulą się i drepcą coraz bardziej pochyleni, zmienieni nie do poznania, skrępowani sobą, a jednak są ciągle sobą. Ja podobnie jak Márai należę do grupy, dla której stała się wielka osobliwość, jakby kaktusy wyrosły mi na dłoniach, a stopy zmieniły się w płetwy, człapię na scenie, na której gram nie swoją rolę, taką pokraczną. Starość najlepiej widać, gdy się do niej zbliżamy, potem jest się w niej po uszy i traci się obraz. Co mnie zadziwia, że przeszłość, nawet ta daleka, jest tak blisko, w zasięgu ręki. Ale kiedy ją wyciągam, ona gwałtownie się oddala.

„Jak ryba w wodzie” Vargasa Llosy to autobiograficzna książka pisarza, polityka i noblisty. Kiedy przed laty spotkałem Llosę w Polsce, opowiadał mi o tej książce. Był wtedy pokaleczony po przegranej w walce o prezydenturę z Fujimorem, mówił o nim okropne rzeczy, co przyjmowałem z małą rezerwą – nie mieściło mi się w głowie, że Japończyk, który jakimś cudem zostaje prezydentem Peru, może być łajdakiem. Po latach okazało się, że Llosa miał rację. Jest w książce kilka znakomitych i głęboko przeżytych diagnoz, czym jest choroba polityki. Bardzo to dzisiaj aktualne. „Dokonałem deprymującego odkrycia. (...) Rzeczywista polityka polega prawie wyłącznie na manewrach, intrygach, konspirowaniu, na układach, paranojach, zdradach, wyrachowaniu, niemałym cynizmie i wszelkiego rodzaju żonglerce. Zawodowego polityka, bez względu na to, czy pochodzi z centrum, z lewicy czy z prawicy, naprawdę mobilizuje, ekscytuje i utrzymuje w aktywności realna w ł a d z a: dojść do niej, utrzymać ją, jeszcze raz zdobyć, i to jak najszybciej. Wielu polityków

rozpoczyna swoją działalność z pobudek altruistycznych, chcąc zmienić społeczeństwo, osiągnąć sprawiedliwość, pobudzić rozwój, wprowadzić zasady moralności do życia publicznego. W pospolitej i trywialnej praktyce, jaką jest codzienne uprawianie polityki, piękne cele znikają, zamieniają się w zwyczajne frazesy (...). I w końcu to, co opanowuje polityka bez reszty, jest tylko żarłocznym i nieopohamowanym apetytem na władzę. Ten, kto nie jest w stanie odczuwać obsesyjnej atrakcyjności i niemal fizycznej żądzy władzy, z trudem potrafi zostać skutecznym politykiem sukcesu”.

„Zwycięstwo kandydata KO oznaczałoby ciężki kryzys polityczny, społeczny i moralny”, napisał Jarosław Kaczyński w liście do członków PiS. Moralny na pewno.

Starość najlepiej widać, gdy się do niej zbliżamy, potem jest się w niej po uszy i traci się obraz.

Wzbierająca fala wzmożenia moralnego mogłaby się załamać. Kaczyński mówi tu wprost: Polski nie stać teraz na demokrację, ona przeszkadza w dynamicznym rozwoju kraju, którego gwarantami są tylko PiS i prezes. Na razie kampania Dudy opiera się na straszeniu Polaków LGBT i deprawacją polskich dzieci, więc na nienawiści (jak im wyjdzie w badaniach, że to nie chwytła, wymyśla coś innego). Doprawdy stworzyć takie monstrum polityczne jak PiS i Duda to wielka sztuka. Na razie Duda wrzucił granat do szamba i poszło na cały świat. Zrobiła się afera, więc już biega ze szmatką, tu i tam coś wytrze. A nasz szambiarz pan Krzyś, ludzie z bliskiej okolicy, właściciel małego zakładu samochodowego, Kaszubka, która sprzedaje ryby, właścicielka zakładu fryzjerskiego, właściciel sklepu z żarówkami, wszyscy czujemy i myślimy tak samo i mamy namiętą nadzieję, że Trzaskowski wygra te wybory. Nie jest tak, że cały lud popiera PiS. Słuchaczki radia Maryja, wsie i małe miasteczka, gdzie ciemny polski kler sieje mrok. I teść, który prawie nic nie widzi i prawie nic nie słyszy. Pewnie na noszach zaniosą go do urny wyborczej. Ale ci ludzie składają się w miliony. I pomyśleć, że to oni właśnie mogą doprowadzić do naszej zapaści cywilizacyjnej.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

Syndrom grupowego myślenia

Terapeutyczna rola sztuki tworzonej w powojennych Niemczech jest nie do przecenienia

Rozmawia Piotr Czerkowski

Nominowane do Oscara „Obrazy bez autora” to właściwie historia z happy endem. Przedstawiasz losy artysty Kurta Barnerta, który mimo przeciwności losu i uwikłania w tragiczną historię Niemiec, ostatecznie odnosi sukces zawodowy i osobisty. Nie obawiałeś się, że wyjdzie z tego kicz?

– Może to staroświeckie, ale wierzę, że ludzie dobrej woli zawsze będą górą. Mówiąc to, chcę jednak podkreślić, że mój film nie jest ani bajką Disneya, ani krwawą komiksową baśnią w stylu Tarantina. Pół żartem, pół serio: choć – podobnie jak w „Bękartach wojny” – w „Obrazach bez autora” drugoplanowym bohaterem jest zepsuty do szpiku kości nazista, w finale nikt triumfalnie nie wycina mu swastyki na czole. To byłoby zbyt teatralne.

W twoim filmie rzeczony nazista, a przy okazji teść Kurta, prof. Seeband, ponosi klęskę.

– Ale nikt nie próbuje go upokorzyć. To nie ma sensu, bo zło jest inteligentne i samo potrafi zrozumieć, że zostało pokonane. W jednej ze scen Seeband dostrzega namalowany przez Kurta portret, na którym został przedstawiony w nazistowskim mundurze. Wystarczy rzut oka na minę Seebanda, by zrozumieć, że jest skończony. Nie potrzeba tu dodatkowych fajerwerków.

Seeband to perfekcyjny czarny charakter – obdarzony charyzmą i nie-nagannymi manierami lekarz, który bez skrupułów służy totalitarnemu reżimowi. Czy na jego tle młody artysta, dopiero w fazie kształtowania się charakteru, nie wypada blado?

– Osobiście bardzo lubię Kurta, bo uważam go za człowieka silnego, gotowego wiele wycierpieć w imię wartości, które uważa za ważne. Mój

bohater – podobnie jak ja, ty i wiele osób o określonym poziomie wrażliwości – poświęcił życie rzeczom niematerialnym. Opowiedzenie się po stronie miłości, przyjaźni, sztuki i prawdy, a nie np. pieniędzy i władzy, to dla mnie, niezależnie od czasów, w których żyjemy, akt wielkiej odwagi.

Kurt – żyjąc najpierw w nazistowskich Niemczech, a później w komunistycznej NRD – musiał się mierzyć z brzemieniem totalitaryzmu.

FLORIAN HENCKEL VON DONNERSMARCK

– reżyser niemiecki, laureat Oscara za „Życie na podsłuchu”, niedawno premierę miał jego najnowszy film „Obrazy bez autora”

Jakim zagrożeniem człowiek wolny i chcący myśleć samodzielnie musi stawiać czoła dzisiaj?

– Za ogromne niebezpieczeństwo uważam coś, co w psychologii społecznej nazywa się syndromem grupowego myślenia, a w mowie potocznej po prostu konformizmem. Wielu ludzi boi się odpowiedzialności za własne czyny i jest gotowych zrezygnować z części siebie w imię poczucia bezpieczeństwa i przynależności do jakiejś grupy. To niebezpieczne o tyle, że właściwie każdy z nas ma gen takiej uległości – wystarczy splot niekorzystnych czynników czy zwyczajny brak szczęścia, by ten gen się uaktywnił i do reszty przejął nad nami kontrolę.

Indywidualiści, tacy jak Kurt, nie mają zatem łatwego życia.

– Nigdy nie mieli. Popatrz choćby na Jana Sebastiana Bacha, który dziś jest uważany za jednego z największych kompozytorów w historii, a za życia był niedoceniany i żeby zarobić na utrzymanie, musiał uczyć łaciny. Ludzie, którzy wyróżniają się z tłumu i myślą nieszablonowo, ryzykują odrzucenie, ale ostatecznie pchają świat do przodu. I chwala im za to.



Jak pielęgnować w sobie poczucie indywidualizmu?

– Trzeba, jak radzili już starożytni filozofowie, chcieć poznać samego siebie. Wiadomo, łatwiej powiedzieć, trudniej zrobić. To proces, który trwa całe życie i – właśnie ze względu na to rozciągnięcie w czasie i skomplikowanie – bywa tak inspirujący jako temat filmu.

Wierzysz, że kontakt ze sztuką – czy to z perspektywy twórcy, czy odbiorcy – może nam pomóc w takim samopoznaniu?

– Oczywiście, najlepszy przykład stanowi moja matka. Jakiś czas temu świętowaliśmy jej 80. urodziny i zostałem poproszony, by przygotować mowę na jej cześć. Gdy zacząłem pisać tekst, uświadomiłem sobie, że matka jest właściwie rówieśniczką Kurta z „Obrazów bez autora”, a ich życiorysy mają wiele punktów wspólnych. W czasie wojny matka musiała się ukrywać przed nazistami, straciła krewnych i doświadczyła wielu traum. Choć sama nie jest artystką, zawsze żyła blisko sztuki i myślę, że to właśnie siła czerpana z kontaktu z książkami, filmami, obrazami i muzyką pozwoliła jej przetrwać trudne

czasy. Zresztą reguła ta sprawdziła się nie tylko w odniesieniu do mojej matki, ale całego jej pokolenia.

To znaczy?

– Ludzie w wieku mojej matki byli po wojnie zupełnie zdruzgotani. Z jednej strony czuli się częścią narodu, który popełnił największe zło w historii, a z drugiej sami znaleźli ogromu cierpienia, widzieli, jak gwałcono ich siostry i matki. Jak odbudować się po czymś takim, jak odzyskać poczucie dumy z własnego kraju? Myślę, że terapeutyczna rola sztuki tworzonej w powojennych Niemczech, również takiej jak ta, którą uprawia Kurt w moim filmie, jest nie do przecenienia.

Mimo upływu lat twoja matka wciąż fascynuje się sztuką?

– Tak, ma też wspinały gust. Na jej 80. urodzinach doszło do wzruszającego wydarzenia. Część imprezy

Piękna historia. Czy sam będąc artystą, wciąż potrafisz zachwycać się sztuką?

– Wiem, że istnieją twórcy, którzy z biegiem lat popadają w znieczulicę, stają się coraz bardziej krytyczni i tracą zdolność podziwiania kolegów po fachu, ale na szczęście nie należę do tego grona. Do dziś mam dreszcze, gdy słyszę piękną piosenkę albo oglądam dobry film.

Co ostatnio przyprawiło cię o dreszcze?

– Choćby obejrzone ponownie po latach „Vicky Cristina Barcelona” Woody’ego Allena. To lekki i zabawny film, który jest jednocześnie interesującą medytacją nad tym, jak zrównoważyć własną indywidualność, poczucie moralności, chęć przeżycia przygody i konieczność dostosowania się do wymogów społeczeństwa.



stanowił krótki recital Víkingura Ólafssona, wybitnego pianisty, który współpracuje z najważniejszymi orkiestrami w Europie i w Stanach Zjednoczonych. Jak to się stało, że ktoś tak rozchwytywany zgodził się zagrać na kameralnej imprezie 80-latków? Otóż moja matka, która chodzi do filharmonii przynajmniej trzy razy w tygodniu, zwróciła uwagę na Víkingura jakieś 10 lat temu, gdy był jeszcze nikomu nieznanym młokosem. Od tego czasu nieustannie wspierała go i interesowała się rozwojem jego kariery, a Víkingur postanowił odwdziżyć jej się szczególnym urodzinowym prezentem.

Opowiadanie o skomplikowanych sprawach w przystępny sposób musi być dla ciebie ważne, bo stosujesz tę strategię we własnych filmach, na czele z „Obrazami bez autora”.

– Być może moja obsesja na tym punkcie bierze się z faktu, że jestem ojcem trójki nastoletnich dzieci i często muszę opowiadać im o trudnych rzeczach w możliwie najbardziej zrozumiały sposób. Ostatnio, chcąc wprowadzić dzieci w temat nazistowskiej przeszłości Niemiec, puściłem im klasyczną komedię „Być albo nie być” Lubitscha i okazało się to strzałem w dziesiątkę.

Filmy stanowią więc dla ciebie jedno z narzędzi wychowawczych?

– Można tak powiedzieć. To strategia, która wzięła się w pewnym sensie z desperacji. W miarę jak moje dzieci dorastały, zorientowałem się, że mamy ze sobą coraz mniej wspólnego i przynależymy do dwóch różnych światów. Pomyślałem, że aby odzyskać utraconą bliskość i znaleźć płaszczyznę porozumienia, zaczęną podsuwać im filmy czy książki, które ukształtowały mnie, gdy byłem w ich wieku. Śmiało mogę powiedzieć, że eksperyment się powiódł. Gdy zaczęliśmy, dzieci interesowały tylko „Transformersy”, a dziś ich horyzonty są już zdecydowanie szersze.

Pokazujesz dzieciom także własne filmy?

– Niedawno, gdy jeden z festiwali zorganizował moją retrospektywę, dzieci po raz pierwszy obejrzały „Życie na podsłuchu”. Mówiły, że im się podobało, choć trudno było skupić im się na fabule, bo przez cały czas wracały do wspomnień z czasów, gdy – jako kilkuletnie brzdące – odwiedzały mnie na planie. Dzieci wciąż twierdzą zresztą, że ich ulubionym filmem mojego autorstwa jest „Turyści”. Sądząc po reakcjach krytyki, są w tym raczej odosobnione.

Czy zdarza ci się wracać do „Życia na podsłuchu”, filmu z 2006 r., który zapewnił ci światową rozpoznawalność i przyniósł Oscara?

– Po raz pierwszy od czasu premiery obejrzałem go dopiero w listopadzie zeszłego roku, za to w wyjątkowych okolicznościach. Zostałem zaproszony do Iranu na przegląd, który miał na celu podtrzymanie kulturalnych więzi między tym krajem a Niemcami. Częścią wydarzenia miała być retrospektywa moich filmów. Spędziłem na miejscu świetny czas i poznałem wspaniałych ludzi, ale same pokazy okazały się wielkim rozczarowaniem.

Dlaczego?

– Moje filmy zostały poddane cenzurze. „Życie...” nie ucierpiało może na tym aż tak bardzo, ale „Obrazy bez autora” już tak. Wycięto z nich ok. 40 minut, w tym wszystkie sceny pokazujące seks i jakikolwiek opór bohaterów wobec władzy. Co najgorsze, wyszła fuszerka. Scenę, w której w oryginale widać bohaterkę grającą nago na fortepianie, w wersji „irańskiej” przerobiono tak, że na ekranie

► widać wyłącznie twarz aktorki. To było chyba najgorsze ujęcie, jakie widziałem w życiu! W podobny sposób potraktowano jeszcze kilka innych scen. Obserwowałem to wszystko, siedząc obok irańskich artystów, których miny mówiły mniej więcej: „Jak to możliwe, że o takie filmy robi się na świecie tyle hałasu?”.

Jak na to zareagowałeś?

– Choć przed przyjazdem zobowiązałem się, że tego nie zrobię, przy pierwszej możliwej okazji wygłosiłem mowę o potrzebie wolności słowa. Powiedziałem też, że cenzura nie jest oczywiście problemem tylko irańskim. W amerykańskiej telewizji nie usłyszysz słów *fuck* albo *shit*, bo zostaną wypikane. Ważne jest jednak to, żeby nie naruszać integralności dzieła. Jeśli jakaś scena się nie podoba, można przecież nałożyć na ekran czarny pasek, zagłuszyć niestosowny dialog i nie traktować widzów jak idiotów. Jestem pewien, że takie podejście już wkrótce zemści się na irańskich władzach. Gdy rozmawiałem prywatnie z Irańczykami, byłem

pozytywnie zaskoczony stopniem krytycyzmu, z jakim wypowiadali się o rządzie. Jestem pewien, że skoro autorytarne reżimy upadały już w Niemczech i w Polsce, niedługo przyjdzie czas również na Iran.

Twoja wizyta w Iranie to kolejny dowód na to, że niemieckie kino jest doceniane. „Obrazy bez autora” zjeżdżyły cały świat i były nominowane do Oscara, a raptem dwa lata wcześniej podobne sukcesy osiągnął słynny „Toni Erdmann”. Jego reżyserka Maren Ade jest twoją koleżanką z roku.

– Rzeczywiście, Maren studiowała najpierw produkcję filmową i zwróciła moją uwagę, bo nie pasowała do stereotypowego obrazu producenta, który jest cyniczny, cwany i bez przerwy wyklóca się o pieniądze. Maren na pewno jest świetnie zorganizowana, zresztą do dziś prowadzi firmę producencką, ale zawsze wydawała mi się też cicha i niezwykle spostrzegawcza. Dlatego nie zdziwiłem się, gdy pewnego dnia dołączyła do naszej grupy na reżyserii, a po-

tem odniosła tak wielki sukces. „Toni Erdmann” wyszedł jej wspaniale. To jeden z tych filmów, które natychmiast po seansie chciałem obejrzeć po raz drugi.

Słyszysz nie tylko ze swojej twórczości, lecz także z bodaj najbardziej ekscentrycznej fryzury w całym środowisku filmowym. Na czym polega jej fenomen?

– Tak, doskonale wiem, co sobie myślisz: ten facet wydaje majątek na fryzjera i każdego dnia spędza godzinę przed lustrem, żeby osiągnąć taki efekt. Prawda jest jednak inna: nie znoszę chodzenia do fryzjera i bezproduktywnego siedzenia na fotelu przez co najmniej godzinę. Dlatego zwykle pozwalam włosom rosnąć, jak chcą. A że same z siebie przybierają tak fantazyjne kształty? Tym lepiej, bo lubię rzeczy oryginalne w każdej dziedzinie życia. Eksperymentuję więc z fryzurą, przynajmniej do czasu, gdy żona traci cierpliwość i każe mi znowu zrobić z siebie cywilizowanego człowieka.

Piotr Czerkawski

Interia łączy darczyńców z potrzebującymi.

**Sprawdź, kto potrzebuje
twojej pomocy.**

Wejdź na
www.pomagam.interia.pl

#POMAGAMINTERIA

interia



Tak, ale

Agnieszka
Wolny-Hamkało

Życie w kuli

Obsesja kojarzy nam się z kompulsywnym wracaniem w te same miejsca, permanentnym patrzeniem na to samo zdjęcie, ze stalkingiem, zbieraniem kolejnych wersji jakiegoś obiektu – a przecież bywa siostrą fascynacji, podniecenia, zachwytu. Jest formą skupiania uwagi, próbą uchwycenia istoty rzeczy, pojęcia czegoś, co nam się wymyka. Weźmy badacza, który poświęca życie kilku glinianym tabliczkom szerokości palca. Historyka literatury, który latami bada nie tylko sam tekst, ale także wszystkie dostępne interpretacje. Wie, że to, jak czytano tekst, zależało nie tylko od humoru krytyka, ale także od jego stanu zdrowia, poglądów politycznych, lektur czy ogólnego nastroju, pejzażu intelektualno-gospodarczego, który często nazywamy po prostu epoką albo jej duchem (*Zeitgeist*).

Oto pojawiła się na polskim rynku książka, która jest fascynującym świadectwem obsesji trzech mężczyzn: żyjącego w XV w. włoskiego malarza Francesca Mazzuoli, zwanego Parmigianinem (czy też po prostu Parmezanem), tworzącego w XX w. wybitnego poety Johna Ashbery'ego i Grzegorza Jankowicza – polskiego filozofa literatury, eseisty dobrze znanego nie tylko czytelnikom np. „Tygodnika Powszechnego”, ale wszystkim uważnym odbiorcom kultury w Polsce. Obsesja Jankowicza dotyczy właśnie tych dwóch dzieł, dwóch tekstów kultury, które dzieli blisko 450 lat, ale które są ze sobą ściśle związane, nie tylko dlatego, że noszą taki sam tytuł: „Autoportret w wypukłym lustrze”. Choć – jak tłumaczy w swojej książce Jankowicz – Parmigianino sam nie mógł nadać takiego tytułu własnej pracy, ponieważ nie istniało wówczas słowo autoportret – używano nazwy portret własny. Poza tym doszło do niezręcznej sytuacji na dworze papieża Klemensa VII, kiedy młodziutki, niespełna 20-letni malarz odstąpił przed najwyższym zwierzchnikiem Kościoła swój dar. Nie dość, że był na nim sam malarz (a nie np. Klemens VII), to jeszcze z dziwnie przeskalowaną, wysuniętą na pierwszy plan ręką, która w najlepszym wypadku coś zagarniała, w najgorszym zaś manifestowała dystans malarza wobec świata (dworu?). Do tego dzieło było namalowane nie na płótnie, tylko na połówce drewnianej kuli, którą młody Parmeńczyk kazał utoczyć cieśli. Nie wiadomo, jak dokładnie przebiegała wizyta malarza, wiemy jedynie, że Klemens VII pracy we własnych zbiorach nie zatrzymał, a artysta nie stał się nadwornym papieskim malarzem, na co zapewne liczył, przywożąc swój dar.

**Obsesja bywa siostrą fascynacji,
podniecenia, zachwytu.**

Druga obsesja Jankowicza dotyczy pewnego poematu, który blisko 50 lat temu napisał John Ashbery. Poematu nie tylko kluczowego dla amerykańskiego postmodernizmu, ale także dla nowych idiomów polskiej poezji, które kształtowały się na przełomie lat 80. i 90. pod wpływem przekładów m.in. poetów tzw. szkoły nowojorskiej. Co to za poemat? Na czym polega jego wyjątkowość? I wreszcie – co go łączy z obrazem Parmezana? Otóż wyobraźmy sobie bardzo zdolnego i pracowitego poetę, który jest po uszy zanurzony w intelektualnym życiu Ameryki, ale jego wiersze jakoś nie mają szczęścia. Nie wiadomo, czy przez stawiającą pewną barierę czytelnikom metodę wolnych skojarzeń, pewną logoreicznąść tekstu, czy przez krecią robotę rozproszonego podmiotu (nie zawsze wiadomo, kto mówi w wierszu, i nie zawsze wiadomo, do kogo). Czy dlatego, że wiersz przejmując rozmaite „cudze języki”, np. ówczesnej prasy, programów radiowych, dokumentów historycznych? A jednak po pierwszej, zjadliwej i niesprawiedliwej recenzji, zła passa odwraca się i literacka Ameryka dostaje obsesji na temat poematu. Tekst odnosi się do XV-wiecznego iluzyjnego „Autoportretu”, który dziś mogą państwo oglądać w Wiedniu (a sam poemat jest – w tłumaczeniu Piotra Sommera – dostępny w internecie).

Ale, jak pisze Jankowicz, poeta traktuje plastyczny „Autorportret” pretekstowo – odbija się od niego i odsyła w różnych kierunkach, włączając w tok wiersza historię własnego romansu z pewnym młodzieńcem, rozważania na temat tożsamości, problemy percepcyjne czy wreszcie własną przemianę. Grzegorz Jankowicz nie tylko śledzi wszystkie te asocjacje, ale udaje mu się znakomicie pokazać niezwykle dialog między obrazem i poematem. Odkrywa dla nas przy okazji sensacyjne smaczki i powołuje się na inne znakomite dzieła, wciągając je do rozmowy, fundując nam kolejną intelektualną przyjemność. Erudycja i skrupulatność Jankowicza sprawiają, że większość pojęć poznajemy u etymologicznego źródła i możemy na bieżąco śledzić ich (często zmieniające się) znaczenia. Pączkujące w nieskończoność tropy autor chętnie przesuwając do przypisów, odciążając sam tekst, który czyta się jak wyrafinowany kryminał, od którego naprawdę trudno się oderwać. Ale nie tylko dlatego polecam państwu tę wydaną w Wydawnictwie Uniwersytetu Jagiellońskiego arcykiekawą książkę „Życie w kuli. Parmigianino, Ashbery i sztuka przemiany”.

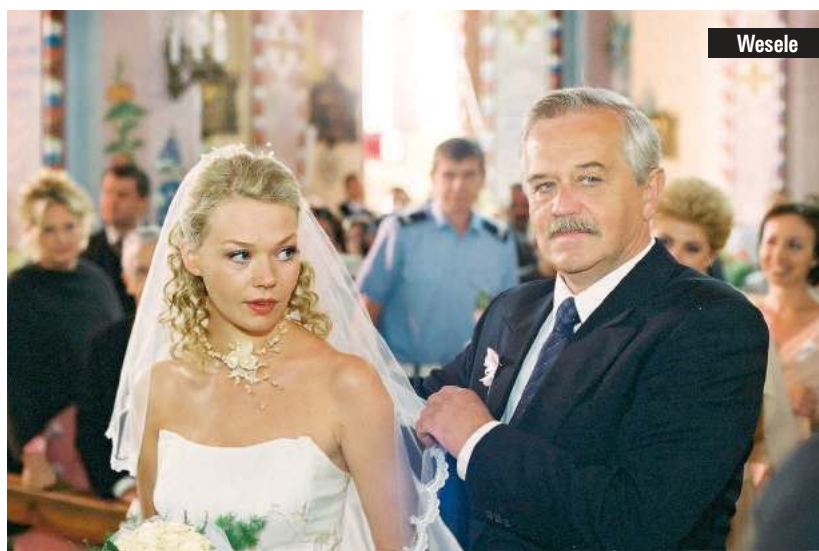
Wiesław Kot

Matka jest tylko jedna – głosi obiegowe powiedzonko. Ojców znacznie więcej. Ale co z tego, skoro oni wszyscy spod jednej sztancy. Polscy ojcowie się nie uczą, nie rozwijają. Oni się replikują. Ulubione miejsce polskiego ojca? Albo na cokole, albo w przydrożnym rowie.

Ojciec honorny, ojciec sformatowany

Ojcowie w polskim filmie zasadniczo wymiękają – zwłaszcza w nowych czasach i na prowincji. Twarz takiemu nieudacznemu tatusiowi daje rutynowo Krzysztof Stroiński, którego jako chronicznego bezrobotnego z rodziną na garnuszku przenoszono z filmu do filmu. W „Moim mieście” (2002) przesiaduje taki tato nad glinianką obok bloku na śląskich peryferiach. Od rana do nocy moczy kij i pociąga z flaszki. Co do odmiany losu własnego i rodziny stracił nadzieję. Jedno, co go trzyma, to wiara, że pewnego dnia złowi tęgą rybę. Z litości nie mówią mu, że w tej gliniance w ogóle nie ma ryb, i z litości pewnego dnia syn kupuje jedną w centrali rybnej i wpuszcza do wody. Niech w życiu starego zdarzy się ten jeden jedyny cud. Również Krzysztof Stroiński w filmie „Co słonko widziało” (2006) jako zredukowany górnik zarabia roznoszeniem po deptaku miejskim ulotek reklamowych w przebraniu ni to papugi, ni to koguta. Do innej roboty kwalifikacji nie ma. W domu bieda aż piszczy, więc się najął, z tym że kiedy tylko może, pokazuje, gdzie to on ma taką fuchę. A pracodawcy, który próbuje mu wytłumaczyć, na czym polega praca w nowym systemie, zasunie z dyńki. Bo ten pajac nie będzie jego, górnika, pouczają. Ale gdy tylko ochłonie, już gnie się w ukłonach i skamle, żeby go nie wyrzucać z roboty, bo to jedyna fucha, która mu została.

Krzysztof Stroiński to ojciec wersja: apatyczny, miejscami honorny. Artur Barciś to filmowy ojciec sformatowany i pogodzony. Takiego zagrał w „Galeriankach” (2009). Córka próbuje wymusić na nim kupno nowego smartfona, bo bez niego nie istnieje w gronie podobnych jej



Tato

Ulubione miejsce
ojca w polskim kinie?
Albo na cokole, albo
w przydrożnym rowie

lolitek. Tato cierpliwie tłumaczy, że taki telefon, jaki ma, musi jej wystarczyć. On zarabia stąd dotąd, wyżej nie podskoczy i proszę przyjąć to do wiadomości. Matka już przyjęła. Nie będzie sobie robiła ekstra pazurów i nie pójdzie się „trzaskać na heban w solarce” dla kogoś takiego jak tato. Znajdzie sobie na boku faceta, który doceni opaleniznę, a może i rzuci trochę grosza. Ale ojca z domu się nie pozbędzie, bo ktoś musi przecież zarobić na czynsz, światło i gaz.

Ojcowie, którzy się nie załapali

Z ojcem przewodnikiem na nowe czasy też nie najlepiej. Nie kwalifikuje się np. były wojskowy: zredukowany, na wymuszonej emeryturze („Ostatnie piętro”, 2013). Świeżo nawrócony: do kościoła zajdzie w ramach wyprowadzania pieska, którego przypnie na chwilę do krzyża stojącego przed wejściem. Ta nowa Polska atakuje go z ekranu telewizora takim potokiem informacji, że one nijak nie mogą się zmieścić w jego ciasno

sformatowanym wojskowym łbie. Kombinuje więc po staremu. Córka czyta Iwaskiewiczza? A po co? Czy nie lepiej zamiast pochłaniać jakieś brednie starych pederastów zagłębiać się choćby w dzieje pierwszych Piastów? Oni tam przynajmniej żyli po bożemu. Wysyłają szkołę na film o Holokauście. Czy to czasem nie przesada z tymi Żydami? Polaków też mnóstwo zginęło za okupacji i nikt o tym jakoś filmów nie kręci. Córka garnie się do nauki, ale właściwie po co jej to? Żeby zostać sklepową, wcale nie potrzebuje matury. I tak od rana do wieczora.

Takich ojców wyautowanych przez nowe czasy uzbierałoby się więcej. Ale ten symboliczny ma twarz Adasia Miauczyńskiego z licznych filmów Marka Koterskiego. Profesorem gimnazjalnemu Miauczyńskiemu („Dzień świra”, 2002) wydaje się, że uczniów najlepiej wprowadzi w życie, jeżeli poda im pełną interpretację „Stepów akermanskich”. A dla własnego syna nie ma jak prezent w postaci powtórki z angielskiego. Sam zresztą poszedł na polonistykę, by zrobić życiową karierę jako poeta. To musiało być w latach 80., kiedy cała zaradna Polska importowała już taną elektronikę z Berlina i swetry z Turcji. Tymczasem Adaś ciągle żył mrzonkami o karierze literackiej, która ustawi go na całe życie. Takie nadzieje mogli żywić mało rozgarnięci początkujący poeci z opowiadań Janusza Głowackiego z początków lat 70. Kto snuł takie plany później, musiał już być nieźle odjechany. Tymczasem cały wcześniejszy świat

runął w gruzy, a Adaś w kółko o tych „Stepach akermaskich”. I nie daje mu do myślenia, że klasa wcale go nie słucha.

To oderwanie ojca od świata, w którym żyją dzieci, wraca w naszej kulturze raz po raz. Bogumił z „Nocy i dni” (1975) zaharowuje się na wygonach zboża i buraków. Nabija kabzę właścicielowi ziemskiemu, który bawi w Paryżu, a sobie i rodzinie tłumaczy, że to wszystko „dla ziemi”. Choć wszyscy widzą, że to nie robota, lecz raczej natóg, spirala obłędu. Z zaharowanym ojcem nie ma już kontaktu. A kiedy rodzony syn Tomaszek, wysłany do miasta po nauki, wyrasta na złodzieja, dziwkarza i wydrwigrosza, Bogumił ma jedno

holika). Nie może sobie już jednak pozwolić – czas! – na dopilnowanie, co córka tatusia z tym facetem naprawdę porabia. O wiele łatwiej – gdy sprawy zajdą za daleko – takiego dyskretnie odstrzelić i nająć nowego.

Janusz Gajos w „Żółtym szaliku” (2000) jest szefem korporacji, który „może sobie pozwolić na wszystko, niestety”. Z tej nieskończonej palety możliwości wybiera jednak tylko zarabianie pieniędzy, nawiązywanie kolejnych romansów, a przede wszystkim dbanie o dalszy pomyślny rozwój własnego alkoholizmu. Syn płacze mu się gdzieś na obrzeżach życia. Znajdzie dla niego pół godziny w knajpcie przed Wigilią, nawet

ka. I w tym pociągu Witek (Bogusław Linda) poznaje byłego komunistę Wernera (Tadeusz Łomnicki), który ciągnie za sobą ponury życiorys i jest gruntownie ubabrany zarówno po linii ideologicznej, jak i moralnej, ale nie dopuszcza myśli, że całe jego życie było pomyłką. Mało tego – wymyślił sobie, że stanie się duchowym ojcem dla tego świeżo osieroconego Witka. „Czasy się zmieniają, ale pan zawsze jest w komisjach”, powie Bogusław Linda o kimś podobnym w innym filmie. I raczej nie zechce go uznać za duchowego ojca...

Ale zdarza się w naszym filmie ojcostwo zastępcze przyjmowane z wdzięcznością. Adam ma 12 lat i życie zdążyło go już mocno przechołgać

Ojcowie w filmie zasadniczo wymiękają – zwłaszcza w nowych czasach i na prowincji.

lekarstwo: zdjąć pas i zerznąć mu tyłek. Cóż, raz że bez sensu, a dwa, że o 10 lat za późno.

Sytuacja powróci w „Konopielce” (1981). Kaziuk ze wsi Taplary w Białostockiem, odciętej od świata bagnami, zostaje zaskoczony przez Polskę Ludową. Ta wtargnęła w życie wioski pod postacią elektryczności i przysłanej nauczycielki. Pierwsza reakcja – odrzucenie nowinek, które godzą w odwieczny porządek rzeczy. Żadnych dwóch dań na obiad, jak chce nauczycielka: wszyscy mają jeść z jednej michy „jak nasi ojcowie”. Druga reakcja – zaciekawienie, bo jednak, żniwa szybciej odprawia się kosą niż sierpem. A i te nowe pozycje miłosne, które podpatrzył u „uczycielki”, też niczego sobie. Ale co z tego? Kaziuk podgląda ten nowy świat, ale nic z tego nie umie przekazać własnemu synowi. A jak mu się będzie gówniarz wymądrzał, że Ziemia jest okrągła, to Kaziuk zdejmie pas i – zgodnie z tradycją...

No dobrze, to ojcowie, których wirówka nowych czasów odsiała na margines. Ale przecież są i ojcowie profitenci. Też się uzbierał niezły tłumek. Owszem – mają wszystkiego po grdykę, ale tak bardzo są zajęci obsługą własnego sukcesu, że dla dzieci czasu już nie starcza. Szefa stołecznej mafii narkotykowej („Sara”, 1997) stać na to, by zatrudnić dla córki na pełen etat wykwalifikowanego ochroniarza (choć alko-



Konopielka

pamięta o prezencie. Ale w kwestii przestania dla potomka na dalsze życie ma tylko instrukcję, jak najspokojniej przyjąć setkę wódki. I to za nim podadzą obiad.

Święta rodzina?

Brak ojca – ta dojmująca pustka – domaga się wypełnienia ojcostwem zastępczym. Różnie z tym bywało. Witek, młody mężczyzna, wchodzący właśnie w życie, dowiaduje się, że ojciec, do którego był przywiązany, nie przeżył operacji („Przypadek”, 1981). Ból wręcz zgina go w pół na nocnym peronie. „Leliście czy rzygaliście?”, dopytuje fachowo sokista. A tu trzeba zdążyć na pociąg, bo życie ucie-

(„Wszystko będzie dobrze”, 2007). Brat urodził się niedorozwinięty i wymaga opieki, a matka nie może się nim zająć, bo ma raka w ostatnim stadium. Ojciec Adama jakiś czas temu się zapał, a jak żył, to też, jakby go nie było. W tle małomiasteczkowa nędza i bezwzględność (plenery w Zakroczymiu). W tej sytuacji 12-latek wymyślił sobie, że pobiegnie do Częstochowy, aby wymodlić zdrowie dla mamy. Na opiekuna oferuje się mieszcowski wuefista – że niby przejmie opiekę sportową i da ogólne wsparcie. Tyle że ten zastępczy ojciec sam potrzebuje wsparcia. To zaawansowany alkoholik, który chwyta się tej bieganej pielgrzymki jak tonący brzytwy: może choć ▶

Andrzej Sakson

Nowe społeczeństwo Ziem Zachodnich i Północnych (1945-2020) Poznań, 2020

Prof. Andrzej Sakson od wielu lat zajmuje się Ślązakami, Kaszubami, Mazurami i Warmiakami, a więc rdzennymi mieszkańcami ziem wchłoniętych kiedyś w granice państwa niemieckiego. Po II wojnie światowej ponownie stali się oni obywatelami polskimi, zwanymi autochtonami, czyli tubylcami.



I to głównie na zamieszkane przez nich od wieków ziemie przybywali pierwsi osadnicy z innych stron kraju, w tym wysiedleńcy z Kresów Wschodnich, którzy tworzyli nowe społeczeństwo. Właśnie mija 75 lat od momentu, gdy na przyłączonych do Polski Ziemiach Zachodnich i Północnych, zwanych Ziemiami Odzyskanymi, zaczął się proces tworzenia zrębów polskiej państwowości. Andrzej Sakson zajmuje się tym procesem jako wytrawny socjolog, powołując się na liczne badania i przykłady, także zaczerpnięte z prasy, w tym z PRZEGLĄDU.

Autor nie ogranicza się tylko do zagospodarowania przejętych od Niemców terenów i tworzenia na nich polskiej administracji, co samo w sobie było wyzwaniem pionierskim, ale podejmuje też drażliwą dzisiaj kwestię rozrachunków z II wojną światową, dotyczącą choćby upamiętnienia walk żołnierzy idących od Lenino do Berlina, sporu o „żołnierzy wyklętych” czy polsko-rosyjskiej wojny pomnikowej. A przecież nie kto inny, jak zauważa, tylko wojska radzieckie wyzwalały spod okupacji hitlerowskiej te tereny, które młodsze pokolenie mieszkańców uznaje już za ziemię rodzinną.

Marek Książek

▶ na parę tygodni odstawi wódę? I role się odwracają. Ten 12-letni chłopczyk przejmie opiekę nad „opiekunem” i to on będzie mu ojcował, bo do ojcowania wszystkim dookoła przywykł, od kiedy pamięta.

Osobliwym ojcem zastępczym jest w naszym światku filmowym – *nomen omen* – ojciec Mateusz ze znanego serialu. Wprawdzie sandomierski duchowny nie ma potomka, ale przecież jego plebania funkcjonuje jak każda inna rodzina. On jest głową, funkcję żony pełni gospodyni Natalia. Wprawdzie lubi pozzrzedzić, ale jest bez reszty oddana temu „mężowi”, od którego zależy jej pozycja życiowa, mieszkanie i dochody. Zresztą miała szczęście, że trafił się jej mężczyzna przystojny, wykształcony, błyskotliwy, łagodny w obyciu. „Rodzinę” uzupełnia babcia Lucyna z objawami lekkiej demencji i urwis Michał – odpowiednik wnuczka. Wszyscy wpatrzeni w „ojca Mateusza” jak w obrazek. Z takim to aż przyjemnie się pokazać na niedzielnej sumie.

Ja was urządzię!

To ojcostwo wzorcowe, choć zakamuflowane. A przecież zostali u nas odnotowani również ojcowie nadaktywni, co to lepiej wiedzą, co dla dziecka dobre. I chętnie po swojemu umeblują mu życie. Dziecka tradycyjnie o zdanie się nie pyta. Że ojciec chłop uważa, że nie ma większego szczęścia dla potomka jak pracować na roli, widzieliśmy sto razy. I w „Nie ma mocnych” (1974), i w „Wychściu awaryjnym” (1982) i w licznych „Koglach-moglach”. Sprawa się jednak ciągnęła od dawna, na co jest dowód w filmie „Niespotkanie spokojny człowiek” (1975), gdzie ojciec tak manipuluje narzeczonymi dla syna, by tylko taka panna uwiązała chłopaka na wsi. A jak się uda, to wyjmie brzytwę i sterroryzuje nią autobus pełen pasażerów, byle tylko szyte naprędce weselisko miało pełną obsługę gości.

Wesele? To właśnie w „Weselu” (2004) Wojtki Smarzowskiego panna młoda, której ojciec naraił męża, dał wyprawę i organizuje imprezę w remizie, płacze, ukrywając łzy pod welonem. „A płacz – powie jej matka – ja na swoim weselu też płakałam”. Bo córka wychodzi za faceta, który

zgodził się wziąć narzeczoną „z brzuchem”, ale nie za darmo. W zamian za ekstrasfurę, wakacje w Chorwacji i mieszkanie z meblami na wysoce połysk. A kupuje córce męża, bo chce tylko jednego – dochować tradycji. A ta powiada, że nieważne: szczęśliwie czy nie, byle zachowywać pozory i byle wszystko odbyło się na bogato.

Ojciec nasz

Ojcostwo duchowe. Tu już nadałby się ktoś z pomnika. Na przykład Piłsudski. Ale jego w filmie prawie nie ma. Albo pokazuje go jak schowany w Sulejówku stawia pasjansa, albo wygłasza parę komend („1920. Bitwa warszawska”, 2011). Na pomnik wystarczy, na ojcostwo – przymało. No i jako ojciec duchowy dla narodu wręcz nasuwałby się Jan Paweł II. Kino jednak słabo widziało go w tej roli. Trzy filmy biograficzne nakręcone za jego życia akcentowały raczej dystans między falującym tłumem zachwyconych rodaków a majaczącą w oddali białą postacią.

Krzysztof Zanussi („Z dalekiego kraju”, 1981) – dla przykładu – był papieżem tak dalece onieśmielony, że w filmie biograficznym (!) pokazał go zaledwie kilka razy, a i to od tyłu. Rodaków zaś – ostatecznie duchowych synów – odmalował jako zbiorowość neurasteniczną, jęczącą pod komunistycznym butem, spoglądającą na otoczenie wilkiem, zawziętą, zapijaczoną i ponurą. Jakby reżyser nie mógł się nadziwić, że to nadwiślańskie bądzieństwo wydało kogoś tak krystalicznego jak ojciec święty. W każdym razie ojcostwiej więzi trudno się tu dopatrzeć, najwyżej coś w rodzaju wysokiego duchowego patronatu.

To już więcej rodzinnych relacji można się dopatrzeć w historii („Święty interes”, 2010) o samochodzie (stara warszawa M-20), którą (wraz ze stodołą) odziedziczyli dwaj bracia z małopolskiej wioski. Tym samochodem wożono swego czasu krakowskiego biskupa Karola Wojtyłę i – jak wieść niesie – nabrał od tego właściwości uzdrawiających. Cemu więc teraz nie zarobić na takich pielgrzymkowo-prozdrowotnych, oczywiście nieźle płatnych kursach? Chętnych na pewno nie zabraknie.

Wiesław Kot

NA POWAŻNIE

PIEŚŃ O TEJ ZIEMI

Balet Romana Palestra w trzech obrazach opowiada o polskich obrzędach ludowych, o sobótcie, weselu i dożynkach. Są tu nowoczesnie opracowane muzycznie ludowe pieśni i tańce, w tym uroczy kujawiak z repertuaru Mazowsza: „A jak będzie słońce i pogoda. Pójdziemy se, Maryś, do ogrodu”. Rzecz w tym, że owa aranżacja na tyle zmienia oryginał, że nie każdy go dostrzeże. Włoski choreograf kompletnie pominął wydźwięk sugerowany przez folklorystyczne



motywy i zamienić „Pieśń o Ziemi” w uwikłanie współczesnego człowieka w wirtualny świat. Tu zdjęcia przesyła się w pikselach, a każdy zbiór składa się z bajtów. Niemniej jednak spektakl jest wizualnie atrakcyjny, scena zaś miejscami przypomina kompozycje wyświetlane na ekranie komputera. Podziwiamy żywiołową muzykę graną przez orkiestrę szczecińskiej opery i oglądamy obrazy z innej epoki.

Bronisław Tumitowicz

Roman Palester, „Pieśń o Ziemi”, dyrygent Jerzy Wołosiek, inscenizacja i choreografia Paolo Mangiola, spektakl Opery na Zamku w Szczecinie na platformie YouTube

NA EKRANACH

TYLKO SPRAWIEDLIWOŚĆ

reż. Destin Daniel Cretton, prod. USA, w kinach od 26 czerwca

Scenariusz opiera się na autentycznej historii Waltera McMilliana (Jamie Foxx), którego w latach 90. sąd skazał na śmierć. Spragniony sukcesów, początkujący prawnik Bryan Stevenson (rewelacyjny Michael B. Jordan, który jest tu podobnie zaangażowany w walkę jak jego pięściarz Creed z filmów o Rockym) położył na szali wszystko, byle tylko skazaniec miał rzetelną obronę. Nie chodzi nawet o oczyszczenie z zarzutów, ale właśnie o godny proces, który pokaże, że USA to kraj prawa, a nie uprzedzeń i dyskryminacji. Pandemia opóźniła premierę, film wchodzi do polskich kin równolegle z wydarzeniami za oceanem, a my mamy okazję przekonać się, czym jest ów systemowy rasizm, o którym media krzyczą po śmierci George’a Floyda. Reżyser Destin Daniel Cretton opowiada o nim na przykładzie człowieka, w którego biografię możemy się zagłębić z kilku perspektyw i zrozumieć, dlaczego stał się łatwym celem policji. A że efekt jest uproszczony i czuły, że powstał w słusznej sprawie? Nie zaszkodzi to nikomu, kto w kinie szuka emocji i pokrzepienia. A te dostajemy w cenie biletu.

Artur Zaborski

SERIAL

PERRY MASON

HBO i HBO GO, od 22 czerwca, godz. 21.10

Rok 1931, Stany Zjednoczone trawi Wielki Kryzys, ale Los Angeles przeżywa rozkwit dzięki ropy naftowej, olimpiadzie i filmom dźwiękowym! Jednak doszło też do porwania, w którym nic się nie udało. I tu do akcji wkracza Perry Mason, adwokat broniący w sprawach karnych, znany z powieści Erle’a Stanleya Gardniera. W tytułowej roli oglądamy Matthew Rhysa, a reżyserem ośmiu odcinkowego serialu jest Timothy Van Patten. Na platformie HBO GO można też oglądać zwiastun serialu.



MIĘDZY OKŁADKAMI



Ann Cleeves

Grzaska ziemia

tłum. Sławomir Kędzierski

Czwarta Strona, Poznań 2020

Zaczyna się zgodnie z zaleceniem Hitchcocka. Niemal dosłownie, bo od osuwiska, i to w czasie pogrzebu. Zwały mokrej ziemi uderzają w cmentarz i maleńkie gospodarstwo. Żałobnicy na szczęście wychodzą z tego

cało, ale w zniszczonym domu nasz ulubiony policjant z Szetlandów, Jimmy Perez, znajduje zwłoki. Plama koloru odcinająca się od czerni błota – kobieta w czerwonej, jedwabnej sukni. Nie powiedziałabym wprawdzie, że potem napięcie nieprzerwanie rośnie – u Ann Cleeves jest zawsze czas na przyglądanie się postaciom, na budowanie więzi czytelnika nie tylko

z bohaterami, ale też z samymi Szetlandami – jednak dramatycznych wydarzeń nie zabraknie. Już przy ustalaniu, kim była ofiara, zbyt egzotyczna jak na mieszkankę wysp, ekipę czekają niespodzianki. Do zespołu śledczego dołącza inspektor Willow Reeves. Czy to dobrze wróży życiu uczuciowemu Perezowi?

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała
Agata Gogolkiewicz

Stanisław Łubieński

To już przeszło 20 lat, odkąd żeglarz Charles J. Moore odkrył między Hawajami a Kalifornią ogromne, dryfujące na oceanie śmietnisko. Rzuciło mu się w oczy szczególnie kłbowisko plastikowych opakowań, butelek, zakrętek i nieprzebrane ilości niezidentyfikowanych odpadków. Obszar nazwano Wielką Pacyficzną Plamą Śmieci i z niepokojem obserwowano jej wzrost. Prąd Północnopacyficzny szybko akumuluje w niej kolejne odpadki.

Raport sporządzony w 2018 r. na podstawie obserwacji wody z samolotu i statków ocenił jej wielkość na przynajmniej 1,6 mln km kw. To cztery do 16 razy więcej, niż wskazywały poprzednie szacunki. Plama to dryfująca, polimerowa zupa składająca się z 1,7 bln kawałków. (...) Skąd mogły pochodzić same śmieci? Naukowcy wyłowili kilkaset przedmiotów, z których dało się odczytać słowa czy też całe zdania w dziewięciu językach. Spośród nich 30% stanowiły śmieci z japońskimi opisami, tyle samo z chińskimi. Resztę przyporządkowano do dziewięciu krajów.

Największy ekologiczny problem mórz i oceanów to porzucone i zgubione sieci rybackie. Sieci, które unoszą się na wodzie, nigdy nie przestają łowić. Ryb, morskich ssaków, skorupiaków. Łapią też inne śmieci. Wykonane z bardzo wytrzymałego poliamidu albo tańszego polipropylenu

Największy ekologiczny problem mórz i oceanów to porzucone i zgubione sieci rybackie.

nie ulegają szybkiemu rozkładowi w środowisku morskim. Jak wszystkie plastikowe odpady, rozpadają się na drobne kawałki pod wpływem światła, morskiej wody czy tarcia, ale ten proces trwa latami. Masę śmieci uwięzionych w Plamie w 2018 r. szacowano na przynajmniej 79 tys. ton, z czego 46% to właśnie zgubione, porwane przez prąd czy zwyczajnie wyrzucone ze statków fragmenty sieci.

O ile sieci i makroplastik stanowią większość masy dryfujących odpadów, o tyle ilościowo przeważa drobniutki, właściwie niepoliczalny mikroplastik. Szacunki (które stale się zmieniają) mówią, że stanowi on

Śmieci nie znają granic

Problem skupisk plastiku w oceanie jest tak rozległy, że mówi się już o ósmym kontynencie – Plastisferze

ponad 90% wszystkich dryfujących tam fragmentów.

Problem skupisk plastiku w oceanie jest tak rozległy i masowy, że mówi się już o ósmym kontynencie – Plastisferze. Ten obraz jest nieco mylący, oceaniczne śmietnisko nie ma struktury lądu, nie da się na nim stanąć, nigdy nie wyrosną tam drzewa ani nie wylądują helikoptery. Wielka Pacyficzna Plama to tylko najbardziej znane

z wielkich oceanicznych śmietnisk. Szacuje się, że na kuli ziemskiej uformowało się przynajmniej pięć wielkich wirów akumulujących plastik. Większość tworzyw sztucznych, które trafiają do mórz, ma gęstość mniejszą od wody, dlatego mogą się przenosić na ogromne odległości niesione prądami powierzchniowymi czy nawet wiatrem. Najwięcej dryfuje polietylen i polipropylen, co też odzwierciedla proporcje światowej produkcji.

Skąd plastiki biorą się w morzach? Minimum 80% trafia do morza z lądu, głównie z nurtem 10 potężnych rzek. Osiem z nich leży w Azji – Jangcy, Indus, Huang He, Hai He, Ganges,

Rzeka Perłowa, Amur, Mekong. Dwie znajdują się w Afryce, to Nil i Niger. Rzeki i ich tysiące dopływów płyną przez gęsto zaludnione obszary, nie funkcjonuje żadna zbiórka śmieci. W dorzeczu Jangcy mieszka niemal pół miliarda ludzi, wielu z nich wyrzuca odpady prosto do nurtu. Reszta lądowych śmieci spływa do morza przy wezbraniach wód powierzchniowych, choćby podczas wielkich powodzi w porze monsunu. (...)

Nasze jednostkowe wyrzeczenia, pozytywne ekologiczne praktyki, słusze nawyki mają oczywiście znaczenie, ale głównie dla nas samych. Zdarza mi się też zbierać cudze śmieci i poprawiać segregację po sąsiadach. Dlatego chce mi się położyć do łóżka, kiedy czytam komunikat o tym, że w styczniu 2019 r. kontenerowiec MSC Zoe, podczas rejsu z Antwerpii do Bremerhaven, zgubił na wzburzonej Morzu Północnym przynajmniej 345 kontenerów z różnymi towarami. Tysiące przedmiotów zostały wyrzucone na plaże Holandii i Niemiec. Zabawki, sprzęt RTV i AGD, buty, sprzęt gospodarstwa domowego, części samochodowe. Większość kontenerów zatonała w rejonie Wysp Fryzyjskich, 20 zlokalizowano w okolicach



Borkum i tyle samo zostało wyrzuconych na brzeg.

(...) Najwięcej zanieczyszczeń znaleziono na plażach wyspy Schiermonnikoog zaledwie 10 km od kontynentalnej Holandii. Nie podam liczb, bo i tak nie zrobią na nas wrażenia. Podobne katastrofy zdarzają się regularnie na morzach całego świata. Informacje o zgubionym ładunku i jego zawartości rzadko trafiają do opinii publicznej, armatorzy starają się raczej zacierać ślady. 350 kontenerów w środku Europy nie może zniknąć bez śladu. Ale gdyby do katastrofy doszło na środku Pacyfiku?

Najbardziej znaną morską zgubą jest pewnie 12 kontenerów z plastikowymi zabawkami kąpielowymi, które wpadły do wody w styczniu 1992 r. Przewożący je statek Ever Laurel płynął z Hongkongu do Tacomy, ale w połowie trasy, na wysokości archipelagu Aleutów, natrafił na potężny sztorm. Kilkunastometrowe fale zmyły kontenery z pokładu. Te akurat plastikowe zwierzątka (żółte kacuszki, czerwone boberki, zielone żabki, niebieskie żółtiki) produkcji chińskiej nie mają żadnego otworu, dlatego nigdy nie zatoną i będą pływać po morzach i oceanach, aż rozłoży się materiał, z którego są wykonane.

Pierwsze zabawki ocean wyrzucił w Sitce na Alasce, kolejne znajdowano w Japonii i Indonezji, w Australii i na wybrzeżach Ameryki Południowej. Po 1996 r. przestały pojawiać się na plażach. Curtis Ebbesmeyer, amerykański oceanograf, poza oczywistym, przykrym, śmieciowym wymiarem całej sprawy dostrzegł w tej historii naukową szansę. Zanalizował trasy, które zabawki przebyły, zaproponował model ruchu prądów morskich i postawił hipotezę, że kąpielowa armada zmierza na północ. Rzeczywiście, kacuszki i cała reszta na przełomie wieków pojawiły się na Atlantyku. Ocean wyrzucał je w Kanadzie, na Islandii i w Wielkiej Brytanii. Polscy ekologowie z zespołu prof. Marcina Węśławskiego widzieli je również na Spitsbergenie. To naprawdę nie przesada – śmieci nie znają granic, oceany to jedno wielkie naczynie, tylko dla naszej wygody podzielone jakimiś nazwami.

Czasami śmieci zmywają z ładu niespodziewane ataki żywiołów. W 2011 r. tsunami wywołane przez trzęsienie ziemi spustoszyło pół-

nocno-wschodnie wybrzeże Japonii i porwało dobytek tysięcy ludzi. Najbardziej spektakularną podróż odbyła piłka Misakiego Murakamiego z Rikuzentakaty w prefekturze Iwate. Po roku i 5 tys. km ocean wyrzucił ją na brzeg Middleton Island, małej wysepki niedaleko wybrzeża Alaski. To był pierwszy przedmiot porwany przez tsunami, który pokonał Pacyfik. (...)

Wiosną los gwałtownie zażyczył sobie naszego spotkania. O Agnieszce Dąbrowskiej, doktorce w Pracowni Oddziaływań Międzymolekularnych Wydziału Chemii UW, jednej z nielicznych polskich specjalistek (i specjalistów) od tworzyw sztucznych w środowisku morskim zaczęli mi opowiadać różni znajomi. Jakby się umówili. Agnieszka, z zamiłowania żeglarka, badała zanieczyszczenie tworzywami na morzach i oceanach. Na Antarktydzie, w Arktyce i Europie. „Czy to nie paradoks, że stworzyliśmy

Każde z badanych gniazd głuptaka zawierało pół kilo tworzyw sztucznych. Masa plastiku w całej kolonii wynosiła 18,5 tony.

niemal niezniszczalne materiały, by robić z nich jednorazowe przedmioty?”, pyta filozoficznie. Pierwszy metalowy pojemnik do zbierania próbek (potocznie zwany nietoperzem) opuściła z pokładu STS Pogorii w wody Morza Śródziemnego. Nie liczyła, że coś z tego wyniknie. Ale już po 5 milach trafia na filtry osadziły się drobiny mikroplastiku. „Nietoperz” Agnieszki ma chromoniklową siatkę o średnicy oczek od 20 mikrometrów, ale naukowcy stosują różne sita. Nie ma jednej, uniwersalnej metodologii badania. (...)

Termin mikroplastik wymyślił w 2004 r. prof. Richard C. Thompson z Uniwersytetu w Plymouth. Początkowo określał tak niewielkie kawałki antropogenicznych zanieczyszczeń w osadach i morskiej toni. Kolejne lata przyniosły rosnące zainteresowanie tematem i sam termin mikroplastik przestał być wystarczająco precyzyjny. Obecnie fragmenty plastiku w zależności od wielkości dzieli się na pięć typów: megaplastik, czyli kawałki większe niż 100 mm, makroplastik – powyżej 20 mm, mezoplastik – od 5 do 20 mm, mikroplastik – poniżej 5 mm i nanoplastik – mniej niż 100 nanometrów. (...)

W 2018 r. mikroplastik został wybrany słowem roku w Hiszpanii. Temat jest sensacyjny, media odmieniają mikroplastik przez przypadki. „Mikroplastik w ludzkim kale. Także u Polaków” – głoszą katastroficzne i trochę jednak komiczne tytuły. Znalaziono go w soli, miodzie i wodach gruntowych. Mikroplastik w środowisku wodnym ma dwa rodowody. Pierwotny, chyba tak należy go nazywać, to fabrycznie mikroskopijne drobiny, które wchodzi w skład różnych proszków do prania, płynów czyszczących, żelów do kąpieli, kremów, past do zębów czy peelingów. I wtórny, z rozpadu większych kawałków tworzyw. Mikroplastik jest uwalniany choćby podczas prania ubrań, np. z poliestru. Poliester sypie się z polarowych kurtek właściwie przy każdym poruszeniu. Parę lat temu szacowano, że w Stanach Zjednoczonych rocznie do oceanu trafia 100 ton mikrodrobinek. Dziś jest ich z całą pewnością więcej.

Jeżeli teraz boimy się mikroplastiku, to już za chwilę powinna nas ogarnąć nanohisteria. Nanocząsteczki to równocześnie rosnąca gałąź przemysłu. Znajdziemy je w farbach, klejach, powłokach ochronnych, sprzęcie elektronicznym czy choćby w dezodorantach. Oddzielają się od produktów pod wpływem ciepła w czasie swojego cyklu życia. Ich fragmenty znalaziono nie tylko w organizmach morskich, lecz także słodkowodnych. Niech nas nie zmyli rozmiar nano. Im mniejsza cząsteczka, tym łatwiej przenosi się z miejsca na miejsce i przenika przez struktury lipidowe organizmu do mięśni czy narządów. Nawet mało toksyczne związki w rozmiarach nano mogą mieć działanie zapalne. Wpływają na wydzielanie enzymów, wzrost, płodność. Upośledzają zdolności samooczyszczania organizmu. (...)

Problem śmieci w oceanach to nie odkrycie ostatnich lat. Już w latach 60. wykryto plastik w organizmach morskich. Szacuje się, że zjada go lub wchłania przez drogi oddechowate kilkaset gatunków. Są i takie, które nauczyły się korzystać z plastikowych odpadków.

Na przykład skorupiaki. W internecie można znaleźć zdjęcia krabów

► pustelników, które wykorzystują wyrzucone na plaży zakrętki po napojach jako pancerze dla swojego delikatnego odwłoka. W czasach przedplastikowych te skorupiaki poszukiwały muszli po martwych mięczakach. Co jakiś czas dla rosnącego ciała trzeba było poszukać nowego domu. O najbardziej atrakcyjne muszle pustelniki toczyły walki. Plastikowe nakrętki oferują schronienie w różnych rozmiarach, doskonale pasują krabom. Zresztą nie tylko zakrętki mogą służyć jako pancerze. Zobaczcie zdjęcie kraba, który kryje się w głowie dziecięcej lalki, trochę jakby się naoglądał ludzkich horrorów. (...)

(...) Wszechstronny wpływ tworzyw sztucznych na organizmy morskie jest stale dokumentowany. Sieci, sprzęt rybacki, pułapki na kraby pozostawione w morzu nigdy nie przestają łowią. Żeby przekonać się na własne oczy, jaka jest skala problemu, warto się wybrać na Helgoland, niewielką wyspę na Morzu Północnym, kilkadziesiąt kilometrów od niemieckiego wybrzeża. Na jej czerwonych klifach gniazdują tysiące ptaków. Bez trudu można zrobić komórką zdjęcie kolonii lęgowej głuptaków, ponieważ zaczyna się ona pół metra od barierki, tuż na skraju urwiska. (...)

Głuptaki wychowują tylko jedno pisklę w sezonie i poświęcają mu wiele uwagi. Rzadko zostawiają je sa-

me. I niestety, za bardzo nie boją się człowieka. W kwietniu, kiedy ptaki są już połączone w pary, trwa znoszenie materiału na gniazdo. Od tysięcy lat budowały je z wodorostów, od kilkadziesiąt – także z niebieskich, zielonych i pomarańczowych lin czy linek. Fragmentów sieci.

Kaszalot wyrzucony na plaży w Indonezji nosił w sobie tysiąc kawałków plastiku.

Wodorost zniknie po sezonie, sznurek pozostanie tu na wieczność. Gdzieś tam widać zwisające z klifu kłęby martwych, spętanych ptaków. Wysychające w słońcu ciała głuptaków, ale także nurzyków, alek czy mew trójpalczastych. Niektóre z żyjących tu ptaków nie mają nóg, podpierają się na amputowanych przez linki kikutach, niektóre, oplecione żyłką, czekają na powolną śmierć głodową. Artykuł naukowy z 2011 r. donosił, że każde z badanych gniazd głuptaka zawierało średnio pół kilo tworzyw sztucznych. Masa plastiku w całej kolonii wynosiła 18,5 tony. Rocznie znajdowano 60 zaplątanych w linki głuptaków. Problem może dotyczyć 80 gatunków ptaków morskich.

Spętanie sprzętem rybackim, reklamówkami czy choćby plastikowymi opakowaniami od sześciopaków piwa to problem udokumentowany

na setkach zdjęć. Regularnie czytamy o wielkich ssakach morskich, których żołądki zawierały ogromne ilości ludzkich śmieci. Masy niemożliwych do strawienia odpadków zatykały ich drogi pokarmowe. Kaszalot wyrzucony na plaży w Indonezji nosił w sobie, co policzono skrupulatnie, tysiąc kawałków plastiku (widzialnego dla ludzkiego oka). Łącznie śmieci w jego trzewiach ważyły 6 kg, najwięcej było jednorazowych kubków i reklamówek, ale znalazły się też plażowe klapki. Indonezję zamieszkuje 260 mln ludzi, co roku 40% ich śmieci trafia do oceanu.

Połykane przez zwierzęta plastikowe śmieci wywołują uczucie fałszywej sytości. Żołądek jest wiecznie pełny, bo przecież nie strawi jednorazowej zapalniczki. Ten problem przeniknął do powszechnej świadomości za sprawą zdjęć Chrisa Jordana, przedstawiających rozkładające się ciała albatrosów z wypełnionymi plastikiem trzewiami.

Zapalniczki, zakrętki, cała masa sporych, ostrych odłamków tworzyw. Parę lat po zdjęciach Chrisa Jordana wrócił na atol Midway, by nagrać dokument o życiu tych majestatycznych ptaków. Autor nie epatuje makabrą, nie zagaduje obrazu, nie przytłacza danymi. Ten film to hołd dla przyrody. Swoich bohaterów pokazuje z empatią i miłością, z podziwem. Próbuje sprawić, byśmy spojrzeli na świat ich oczami. Ptaki nie czują się zagrożone obecnością ekipy, pozwalają się obserwować z bliska. (...) Midway to raj, choć bywał piekłem. W 1942 r. ta amerykańska baza wojkowa została zaatakowana przez Japończyków. W trzdziu bitwie zwycięstwo odniosła flota i lotnictwo Stanów Zjednoczonych. Obecnie opuszczona baza to zdawałoby się miejsce, gdzie nic nie zakłóca rytmu natury. Ale to pozory. Plaże oceanu są dramatycznie zaśmiecone. Kiedy z pojedynczych jaj przychodzą na świat pisklęta, reżyser każe nam też patrzeć na ich powolną agonię. Wiele ptaków nie potrafi się pozbyć toksycznej plastikowej masy, którą karmiła je rodzice. (...)

Fragmenty Książki o śmieciach Stanisława Łubieńskiego, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020



Wyślij SMS o treści TAMARA 7412
koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910
koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950
koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

PILNE! TAMARA BŁAGA O ŻYCIE

„Jedyną stałą rzeczą w życiu jest zmiana”
Heraklit z Efezu

Siwa Tamara wychodzi z ciemnej obórki i bezzadnie rozgląda się po podwórku handlarza. Nieznane miejsce, nowe zapachy i dźwięki. Tu wszystko jest obce i napawia ją strachem.

Według handlarza życie spędziła u jednego gospodarza. Tam był jej dom – miał być na zawsze. Jakże się myliła. Ale pewnie nawet nie zastanawiała się, czy któryś z kolejnych dni może przynieść zmianę, bo życie zwykłych, wiejskich koni jest proste, a świat, w którym są, to rzecz stała. Potężna Tamara też pewnie była przekonana, że po codziennej pracy zawsze będzie na nią czekał wieczorny obrok w żłobie. Że nocą, gdy przez małe okienko zajrzy do niej księżyc, położy się na pachnącej słomie i odpocznie. Dziś, zdziwiona nowym miejscem i widokiem obcych ludzi, nie chce podejść do wyciągniętej ręki, nie chce wziąć marchewki. Wystraszona i zrezygnowana jeszcze nie wie, że czeka na podróż do rzeźni. Tamara, choć ma swoje lata, to została wyrwana z bezpiecznego domu, w którym zabrakło już dla niej miejsca, i jest zdziwiona tą nagłą, niespodziewaną zmianą.

Czemu siwa Tamara ma jechać do rzeźni? Może wiek zrobił swoje – klacz ma ponad 10 lat. Może nie daje się zażrebić, a może po prostu jest już zbędna. A zbędnych koni nikt nie chce karmić.

Nie wiemy, czy uda się Tamara ocalić. Ale chcemy spróbować. Tamara ma tylko jedną szansę na życie i jak zwykle wszystko rozbija się o pieniądze. Żyjemy w świecie, w którym bezcenne życie koni przelicza się na konkretne kwoty. Warte są tyle, ile ważą.

Tamara jest duża i ciężka, a co za tym idzie – jest droga. By spłacić jej życie, potrzeba 10500 zł. Potrzebne są też środki na transport, na kowala, na weterynarza, na owies, siano i witaminy. Prosimy, pomóżcie, jeśli możecie. Pomóżcie, jeśli uważacie, że życie potężnej Tamary jest tej pomocy warte.

Możesz pomóc dokonując darowizny z tytułem TAMARA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Fundacja Centaurus
ul. Walbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze! Regulamin: <http://centaurus.org.pl/km>

Duda – przepis na promocję

Nie wiadomo, czy śmiać się, czy płakać. PiS przeznacza wielkie pieniądze na promowanie swojej polityki w świecie. Specjalna agencja wynajmuje firmy PR-owskie, płacąc im miliony, wykupywane są strony w największych dziennikach, żeby prezydent albo premier mogli przedstawić swoje racje.

A teraz proszę – Polska nie wydała ani dolara, a piszą o niej w największych gazetach. Zawdzięczamy to Andrzejowi Dudzie, który prowadzi kampanię wyborczą i jej tematem uczynił walkę z LGBT. Przepraszam – z „ideologią LGBT”. Wołając, że to neobolszewia, nowy komunizm itd.

Tak np. „Le Monde” zatytułował swoją korespondencję następująco: „Andrzej Duda podejmuje ofensywę przeciw LGBT w Polsce”. Czytamy, że kandydat na prezydenta z ramienia konserwatywnej partii Prawo i Sprawiedliwość oświadczył, że osoby LGBT nie są ludźmi, ale „ideologią” porównywalną z „rodzajem neobolszewizmu”. A potem „Le Monde” zacytował obszerne fragmenty jego przemówienia w Brzegu, które wywołały falę oburzenia w krajach zachodnich.

O wyczynie Dudy pisały też „Libération”, belgijski „Le Soir”, gazety na całym świecie. Nawet indonezyjski dziennik „The Jakarta Post” donosił o proteście matek osób LGBT pod Pałacem Prezydenckim.

Tak oto Andrzej Duda rozstawił swoje imię. A że teraz może mieć kłopoty, by być w Europie traktowany jak normalny Europejczyk, a nie człowiek z innej cywilizacji? To najwyraźniej jest poza horyzontem jego wyobraźni.

Szkoda, bo w kilku krajach na czele rządów stały lub stoją osoby LGBT i tego nie ukrywają. Tak jak obecny

premier Luksemburga Xavier Bettel i obecny premier Irlandii Leo Varadkar, obecna pani premier Serbii Ana Brnabić czy była premier Islandii Jóhanna Sigurðardóttir. Do tego grona możemy dodać byłego szefa niemieckiej dyplomacji Guida Westerwellego, brytyjskiego polityka, byłego unijnego komisarza ds. handlu Petera Mandelsona czy też byłego premiera Belgii Elia Di Rupo. Tego samego, który, oburzony słowami Dudy, zaproponował, by Unia powiązała sprawy przekazywania środków finansowych Polsce z poszanowaniem dla praworządności i praw osób LGBT.

Mamy więc i oburzenie, i kpinę. Bo tak można zrozumieć tweet prezydenta Pragi Zdenka Hřiba, który napisał: „Według polskiego prezydenta Andrzeja Dudy ruch LGBT jest większym niebezpieczeństwem niż komunizm. Nie słyszałem o tym, żeby LGBT mordowało 100 milionów ludzi”.

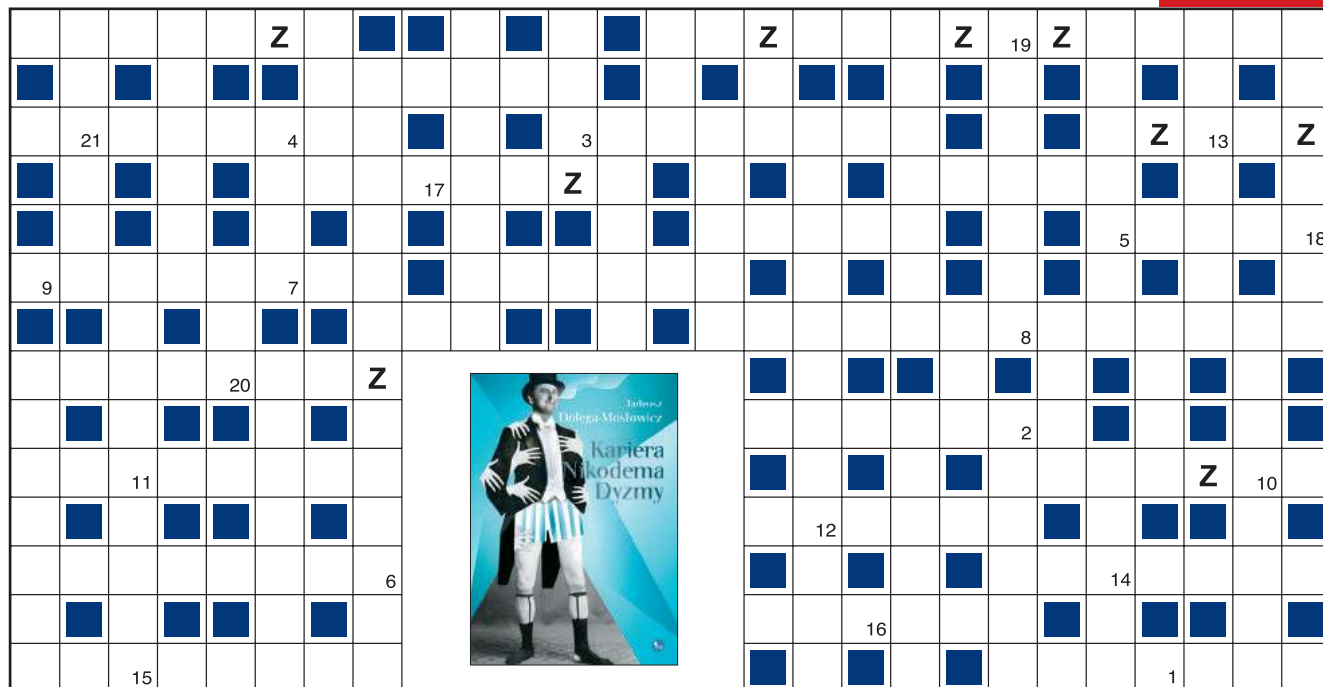
Tak oto Andrzej Duda w oczach Europy postawił się na równi z Aleksandrem Łukaszenką. Jest zresztą relacja Radosława Sikorskiego, który jako szef MSZ, razem z Guidem Westerwellem w 2010 r. odwiedził białoruskiego prezydenta, by namawiać go do tolerancji wobec mniejszości. Etnicznych (tu Łukaszenka zawołał, że „kocham Polaków”) i seksualnych (tu już było gorzej). Oto ten fragment: „Łukaszenka patrzy to na mnie, to na Westerwellego i kręcąc głową, uśmiecha się pobłaźliwie i mówi: No, nie wiem, nie wiem... A... lesbijki niech będą... nawet można popatrzeć. Ale pedałów to do autobusów, wywieźć za miasto i będziemy ich trzymać w rezerwachach”.

No to bratnią duszę PiS w świecie ma.

Attaché

Przygotowania do startu samolotu Israil Airlines z lotniska Ben Guriona w pobliżu Tel Awiwu.





1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadrywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery Z ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 21 utworzą końcowe hasło.

- zwyżkują, gdy hossa
- stolica Jordanii
- popularny gatunek kawy
- nimb, gloria
- „Zośka” lub „Parasol”
- gajowy
- łyżka wazowa
- Potocka, zwana muzą polskiego romantyzmu

- rzymska epopeja narodowa
- partii – np. z budżetu państwa
- potocznie nazywany gajem
- ordynarny
- i nieokrzesany
- Łukasz, Paweł lub Edyta z uOrkiestry

- ...Kamińska, córka Estery Racheli, zwanej matką teatru żydowskiego
- do przytrzymywania podczas obróbki
- symbole władzy królewskiej
- słomkowy kapelusz Maurice’a Chevaliera
- i homilia, i morały
- ...Tajemnic w Hogwarcie
- atak zaraz po odparciu ofensywy wroga
- sprytnie się wywinie, nikomu nie narazi
- na bagaże w samolocie
- do obserwacji odległych przedmiotów, ciał niebieskich

- czasopismo ilustrowane lub skład
- „Antoś... nie wrócił”, słuchowisko z filmu „Skarb”
- polna nie kliknie
- Wanda go nie chciała
- we własne siły lub w czyjąś bezinteresowność
- do zwąchiwania pisma
- w nim króciutkie zapiski
- na oko dla pirata
- odpowiedzialna za sprawny przebieg imprezy
- koński, żelazny – bardzo wytrzymały
- myśliwy przeniesiony przez bogów między gwiazdy
- wierzchnia szata zakładana do mszy
- wód lub piekielna

- łatwo wpada w popłoch
- ma dziób ze skórza-stym workiem
- potocznie o opóźnieniu
- tysięczna część milenium
- jest nim aceton
- wiatrów, herbaciana lub jerychońska
- przedmiot, obiekt
- gra na nim Zbigniew Namysłowski
- członek drugiej izby parlamentu
- w nim zawekowane przetwory
- ptasie zachowania w porze godowej
- stopniowanie barw, łagodzenie nastrojów
- fasoli pięć się pozwoli
- synowie Uranosa i Gai
- o wilczycy
- wrocławskiemu dyrektorał Antoni Gucwiński

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-966”. Do rozlosowania książki „Kariera Nikodema Dyźmy” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 28 czerwca 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-963” z 7 czerwca: *Serce wszystko komplikuje.*
Nagrody otrzymują: Jolanta Kulejewska z Grodziska, Zbigniew Marańda z Krakowa, Michalina Ogródnik z Ostrołęki.

PENETRACJE



PROF. RYSZARD KOZIÓŁEK,
REKTOR UNIWERSYTETU
ŚLĄSKIEGO

Jestem dość obsesyjnie przekonany, że uniwersytety są najlepszą instytucją wymyśloną przez człowieka. To miejsca, w których można postawić każde pytanie i uzyskać na nie najlepszą odpowiedź, jaka istnieje na świecie. Albo jeszcze nie istnieje – i wtedy to się nazywa nauka. W dzisiejszej Polsce są to najbardziej niezależne instytucje publiczne. Wiedza i nauka to – obok surowców i energii – największe bogactwo ludzkości. Potrzebuje ich więc każdy, kto rządzi. Polityka i biznes przede wszystkim. Swoboda myślenia i formułowania sądów nigdy nie cieszy tyranów i doktrynerów, dlatego zawsze będą chcieli podporządkować sobie uczelnie.

TYGODNIK
POWSZECHNY

**S. MAŁGORZATA
CHMIELEWSKA,**
PRZEŁOŻONA WSPÓLNOTY
CHLEB ŻYCIA

Poświęciłam wiele lat życia na doradzanie różnych rozwiązań. Oczywiście oczekuję na pomoc od państwa. Korzystamy z instytucji państwowych, z ochrony zdrowia, z pomocy społecznej. To są naszym mieszkańcom, jako obywatelom, należy. Ale niech państwo przestanie wymyślać coraz to nowe przepisy na uszczęśliwianie ludzi bezdomnych, bez zapytania o zdanie ich i tych, którzy tym się zajmują. Wiele lat temu, gdy znów się okazało, że państwo nie jest skuteczne

w pomaganiu ludziom z marginesu, siedziałyśmy z Janką Ochojską i Janka mówi tak: niech oni nam dadzą to państwo w dzierżawę, my je poprowadzimy dużo taniej i może nawet lepiej.

odra

PROF. BOGUSŁAW FIEDOR,
KOMITET NAUK
EKONOMICZNYCH PAN

W naszym myśleniu wydaje się dominować populizm. Mimo kryzysu wciąż będzie on dawał przewagę partii obecnie rządzącej. A jeśli jeszcze dodatkowo nastąpi zubożenie społeczeństwa, to ten fakt raczej PiS wzmocni. Dlatego nie sądzę, żeby w Polsce w krótkim bądź średnim okresie nastąpiła jakaś istotna zmiana, jeśli chodzi o układ sił politycznych. Będzie to skutkować rosnącą społeczną legitymizacją dla silnego i scentralizowanego państwa, także dla wzrostu roli państwa jako nie tylko regulatora zjawisk i procesów gospodarczych, ale i powiększania sektora państwowego w gospodarce.

PANI

KAMIL SIPOWICZ,
POETA, MALARZ

Mam dziś niedobłą satysfakcję, że ideologia hipisowska, z której się wywodzi, która była wyśmiewana przez ostatnie 40 lat, miłość do lasów, łąk i wzgórz, taki trochę sielsko-anielski stosunek do świata, pełen czułości do istot żywych, zaczyna być w końcu szanowana. I to jest zadanie dla wszystkich, a nie *idée fixe* grupy pięknoduchów.

Aby język giętki...

MAJA OSTASZEWSKA
O POZYTYWNEJ ENERGII

Świat można zmienić tylko pozytywną energią, bo atak powoduje gniew i jeszcze większą agresję.

RAFAŁ TRZASKOWSKI
O POPARCIU JOLANTY KWAŚNIEWSKIEJ

Jeżeli osoba, która jest lubiana i ma autorytet w społeczeństwie, decyduje się mnie wspierać, jest to dla mnie ogromne wzmocnienie.

JOANNA SZCZEPKOWSKA O WYBORACH

Chciałabym tylko, żeby ktoś przemówił nowymi słowami i żeby nie było, jak było.

ANDRZEJ OLECHOWSKI
O ANDRZEJU DUDZIE

Mam o nim bardzo złe zdanie. Przynosi Polsce wymierne straty.

JERZY STUHR
O KARIERZE POLITYCZNEJ

Jako aktor zbyt dużo wiem o ludzkiej duszy, byłoby to w polityce naprawdę niebezpieczne.

JAN NOWICKI
O TADEUSZU ŁOMNICKIM

To był gigant rangi światowej i po nim długo była pustka. Wyprzedzał epokę. Był niesamowicie pracowity.

EWA EWART O INTUICJI

Słucham swoich odczuć. Wierzę w potęgę sprawczą myśli i w to, że w dużej mierze kreują naszą rzeczywistość.

JOANNA KULIG O PARCIU DO PRZODU

Czasem trzeba zrezygnować. Posłuchać siebie, a nie doradców, którzy mają na ciebie kolejny pomysł.

ANDRZEJ STASIUK O WŁADZY

Ja nie lubię żadnej władzy. Tylko niektóre bardziej.

MAŁGORZATA FOREMNIAK
O SZANSIE

Teraz większość z nas ma przymusową, niepowtarzalną okoliczność, by zorientować się, kim jesteśmy.

ADAM FERENCY
O TYM, CZEGO NIE LUBI

Nie lubię, jak młody człowiek pierwszy wyciąga do mnie rękę, i nigdy nie będę lubił.



Chorych nawiedzać... Chorego na COVID-19 Edwina Johnsona odwiedził Jewel, koń rasy arabskiej. Lincoln, Iowa, USA.

ŚWIAT SIĘ KRĘCI

Bez pracy (serce) kołaczce

Były pracownik francuskiej firmy perfumeryjnej Interparfums dostał 40 tys. euro rekompensaty za problemy, których prażródłem była... zbyt mała liczba obowiązków zawodowych. Frédéric Desnard wspomina, że pracodawca nie przydzielił mu prawie żadnych zadań, a wynikająca stąd codzienna monotonia oraz wstyd związany z otrzymywaniem wypłaty „praktycznie za nic” zrujnowały jego zdrowie. Gdy poszedł na zwolnienie lekarskie, został zwolniony, co skłoniło go do wniesienia pozwu. Co ciekawe, zasądzona kwota to jedynie 10% tego, czego się domagał mężczyzna. Innymi słowy, znowu dostał za mało.

Do puszki za krewetki

Sąd w Tajlandii skazał na 723 lata więzienia dwóch restauratorów, którzy nie wywiązali się z warunków promocji na owoce morza. Sprzedawali oni w mediach społecznościowych bony, które miały upoważniać do korzystania z bufetu z *frutti di mare* po wyjątkowo niskiej cenie, stanowiącej równowartość kilkunastu złotych. Tysiące osób zdecydowało się skorzystać z oferty, która przyniosła restauracji duży rozgłos, jednak po obsłużeniu pierwszych gości lokal wycofał się z promocji i zaproponował pozostałym zwrot kosztów. Mimo to 347 osób zażądało interwencji prokuratury, a ta uznała, że restauratorzy od początku nie mieli zamiaru spełnić internetowej obietnicy. Ostatecznie mężczyźni zostali skazani na 1446 lat więzienia, ale ponieważ przyznali się do winy, wyrok zmniejszono o połowę.



W praktyce posiedzą nie dłużej niż 20 lat, co zapewne nie usatysfakcjonuje części oszukanych smakoszy.

Gram w grę, ile chcę!

17-letni Japończyk pozwał władze prefektury Kagawa za ograniczenie czasu, jaki młodzież może poświęcać na gry wideo. Zgodnie z nowymi przepisami rodzice mają obowiązek pilnować, aby ich dzieci poniżej 20. roku życia nie spędzały na tej czynności więcej niż godzinę dziennie w trakcie tygodnia i półtorej godziny w weekendy i wakacje. Część uczniów twierdzi, że zalecenia mające przeciwdziałać uzależnieniu od cyfrowej rozrywki naruszają prawa jednostki oraz stanowią niedopuszczalną ingerencję w życie rodzinne. Dzięki środkom z internetowej zbiórki jeden nich zatrudnił znanego prawnika, który złożył pozew w tej sprawie. Bo z graczami się nie pogrywa!

Homo sapiens kontratakuje

Firma Google wycofała się z decyzji o zastąpieniu lektora swojego systemu GPS syntezatorem mowy. Niedawno, po 12 latach, aplikacja Google Maps przestała podpowiadać polskim kierowcom ciepłym tembrem dziennikarza Jarosława Juskiewicza, którego zastąpił bezduszny głos sztucznej inteligencji. Masowe niezadowolenie użytkowników sprawiło, że już po tygodniu technologiczny gigant wrócił do współpracy z katowickim radiowcem i właścicielem studia lektorskiego. Triumfujące algorytmy aż zaniemówiły ze zdziwienia!

MEMY BEZ ŚCIĘMY





Diego, ponad 100-letni żółw uważany za super-samca ratującego przed wyginieciem gatunek *Chelonoidis hoodensis*, powrócił na rodzinną wyspę Española na zastę-żoną emeryturę. Park Narodowy Galápagos, Ekwador.



ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego
– sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:

Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Boreja (Kraków),
Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra),
Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń),
Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn),
Helena Leman (Malbork), Maja Markowska-Dzierżak,
Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek,
Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikula,
Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-
Piszc (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiliłowicz,
Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan,
Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska,
Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socza (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek,
Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski,
Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki,
Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May,
Małgorzata Tabaka

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka,
Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoredakcja: Magdalena Głuska,

Karina Krystosiak, Rafał Pyznar

Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl

Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:

Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl

Koordinator ds. innowacji i mediów społecznościowych

Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl

Sekretariat fundacji i redakcji:

Katarzyna Chleicka

Dział Kolportażu:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl

Wydawnictwa książkowe:

tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGŁADZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtуска 120

WYDAWCA:

Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821



Co z głowy spadnie, też nie przepadnie

Naukowcy z Uniwersytetu Technologicznego Queensland wyszli naprzeciw problemowi marnotrawstwa, jakim jest wyrzucanie obciętych włosów. Nowatorską koncepcją Australijczyków jest wykorzystanie ich do produkcji wyświetlaczy OLED do niewielkich urządzeń elektronicznych, takich jak tzw. inteligentne zegarki. Nowa technologia pozwala tworzyć z warkoczy i grzywek węglowe nanokropki, które pod wpływem prądu o niskim napięciu zaczynają świecić na niebiesko. Łyso nam, że to nie my pierwsi wpadliśmy na ten pomysł.

Wychodzimy na zero

Z kolei badacze z Uniwersytetu Sydney oraz Uniwersytetu Technologicznego Sydney rozstrzygnęli raz na zawsze, jak poszczególne wydarzenia życiowe wpływają na człowiecze poczucie szczęścia lub jego braku. Okazało się, że na dłuższą metę m.in. zwolnienie z pracy, ale także awans nie ma zbyt dużego znaczenia dla naszego samopoczucia. Największy pozytywny wpływ mają na nie zawarcie małżeństwa, narodziny potomka oraz znaczna poprawa sytuacji finansowej, jednak i w tych przypadkach pozytywne efekty na ogół znikają już po dwóch latach. Na pocieszenie wspomnijmy, że podobny okres zazwyczaj wystarcza, by w pełni przepracować nawet tak traumatyczne doświadczenia jak śmierć partnera czy poważne problemy zdrowotne.





Viive Noor – Noc ma swoje sekrety



Kadi Kurema – Czymże jest życie, jak nie snem

Secret Lives

Wystawę zbiorową „Secret Lives. Sekretne życie” tworzy bogaty zestaw prawie 80 prac (grafiki, rysunki, akwarele, kolaże, obiekty-rzeźby), których autorami jest piątka estońskich artystów: Viive Noor, Kadi Kurema, Regina Lukk-Toompere, Urmas Viik i Jüri Mildeberg. W prezentowanych pracach dawne treści, zaczerpnięte m.in. z estońskich mitów, bajek, podań oraz baśni, nie tracą na wartości i znaczeniu, często przybierają współczesne kształty, by pomóc odbiorcy w zrozumieniu rzeczywistości. Ilustracje, obiekty i grafiki stają się źródłem refleksji skłaniającej do wyjaśniania tego, co na co dzień jest trudne i odmienne.

Płocka Galeria Sztuki
ul. Sienkiewicza 36
do 23 sierpnia



Regina Lukk-Toompere – Stary pies



Kadi Kurema – Czerwony Kapturek



Jüri Mildeberg – Taniec śmierci

FOT. MATERIAŁY PRASOWE



KRÓL

1 października | Klub Stodoła | Warszawa



LADY PANK O DWÓCH TAKICH CO UKRADLI KSIĘŻYC

20 października | Klub Stodoła | Warszawa



LADY PANK

20 listopada | Klub Stodoła | Warszawa

21 listopada | Klub Stodoła | Warszawa



NATALIA PRZYSZ

13 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



MAREK DYJAK

16 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa



KARAŚ/ROGUCKI

17 grudnia | Klub Stodoła | Warszawa

NAJLEPSZA AKTORKA I NAJLEPSZY AKTOR 69. BERLINALE

ŻEGNAJ MÓJ SYNU

RODZINNA SAGA NA TLE TRZECH DEKAD CHIŃSKIEJ TRANSFORMACJI

„Zdobywa i łamie serca.”
VARIETY

*„Niesamowita opowieść
osnuta wokół historii Chin.”*
HOLLYWOOD REPORTER

„Śmiały i dociekliwy.”
SCREEN INTERNATIONAL

Nowy film jednego z najważniejszych chińskich reżyserów

WANGA XIAOSHUAI

W KINACH OD 26 CZERWCA

AURORA